



Ross Macdonald



ISKRY

Lewe
pieniądze

Ross Macdonald

Lewe pieniądze

Przełożył Krzysztof Zarzecki



ISKRY · WARSZAWA · 1976

Tytuł oryginału:
Black Money

Okładkę projektował
MIECZYŚLAW KOWALCZYK

Copyright © 1965 by Ross Macdonald

Redaktor: EWA KIERUZALSKA
Redaktor techniczny: BARBARA MUSZYŃSKA
Korektorzy: JOLANTA SPODAR,
BARBARA SIENNICKA

Państwowe Wydawnictwo Iskry”, Warszawa 1976 r.
Wydanie I. Nakład 160 000 + 275 egz. Ark. wyd. 13,8.
Ark. druk. 19,5. Papier druk. sat'. VII kl., 60 g, 75 cm.
Druk ukończono w sierpniu 1976 r.
Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego” w Warszawie.
Zam. nr 1675/76. J-112. Cena zł 30.—

Robertowi Eastonowi

Ze słyszenia znałem Klub Tenisowy od lat, ale jakoś nigdy nie byłem wewnątrz. Rozsiadł się on ze swymi kortami i letnimi domkami, ze swoim basenem, szatniami i pawilonami w niewielkiej zatoce Pacyfiku o parę mil za południową granicą hrabstwa Los Angeles. Sam fakt zaparkowania mego Forda na wyasfaltowanym placyku koło kortów tenisowych wystarczył, bym poczuł się nieco mniej ubogim krewnym eleganckiego świata.

Zadbana recepcjonistka w głównym budynku poinformowała mnie, że Peter Jamieson jest prawdopodobnie w bufecie. Ruszyłem dookoła pięćdziesięciometrowego basenu, obudowanego z trzech stron kabinami. Z czwartej, za drucianą siatką ogrodzenia, połyskiwał ocean jak błękitna ryba w sieci. Wokoło basenu wygrzewało się kilkoro suchych plażowiczów, jakby zahipnotyzowanych przez żółte oko słońca.

Mojego potencjalnego klienta poznałem instynktownie, gdy tylko go zobaczyłem w patio koło bufetu, również zalanym słońcem. Wyglądał na dziedzica fortuny, której początki sięgają trzech pokoleń wstecz. Chociaż niedawno przekroczył dwudziestkę, miał nalaną, pokorną twarz podstarzałego chłopca. Jego nienagannie skrojony garnitur z rodzaju noszonych na ekskluzywnych uniwersytetach tuszował warstwę tłuszczu, zbroję, która przed niczym nie chroniła. Spojrzenie jego piwnych oczu było łagodne, jak to się często zdarza u krótkowidzów. Na mój widok zerwał się od stolika, o mało nie wylewając podwójnego cocktailu mlecznego.

— Pan Archer, prawda?

Potwierdziłem.

— Cieszę się. — Podał mi do uściśnięcia dużą, miękką dłoń. — Można panu coś przynieść? W poniedziałki jest wołowina w jarzynkach po nowoangielsku.

— Dziękuję, jadłem lunch w Los Angeles. Ewentualnie

filizankę kawy.

Poszedł do bufetu po kawę. W gałęziach figowca, który zarastał jedną ścianę patio, para zięb dyskutowała sprawy rodzinne. Samczyk z czerwonym gorseм zerwał się i poleciał za jakimś interesem. Odprowadziłem go wzrokiem, dopóki nie zniknął za ścianą obramiającą błękitne niebo.

– Piękny dzień – powiedziałem do Petera Jamiesona. – I bardzo dobra kawa.

– Tak, tu umięją parzyć. – Pociągnął melancholijnie cocktail ze szklanki i nagle rzekł: – Sprowadzi ją pan z powrotem?

– Nie mogę zmusić pańskiej narzeczonej do powrotu. Powiedziałem panu przez telefon.

– Wiem, źle się wyraziłem. Ale nawet jeśli nie wróci do mnie, możemy ją przynajmniej powstrzymać od zmarnowania sobie życia. – Oparł łokcie na stoliku i pochylił się w moją stronę, chcąc mnie natchnąć swoją żarliwością. – Nie możemy dopuścić, żeby wyszła za tego człowieka. Nie mówię tego przez zazdrość. Chcę ją ratować, nawet jeśli sam jej nie będę miał.

– Ratować przed tamtym?

– Mówię poważnie. Wszystko wskazuje, że on jest poszukiwany przez policję. Podaje się za Francuza. Ni mniej, ni więcej, tylko za francuskiego arystokratę. Ale nikt naprawdę nie wie, kim jest i skąd pochodzi. Może nawet nie jest biały.

– Skąd panu to przyszło do głowy?

– Jest taki smagły, a Ginny taka... pastelowa. Mdło mi się robi, kiedy ich widzę razem.

– Ale jej się nie robi?

– Ona nie wie tego, co ja. On jest poszukiwany, to prawdopodobnie kryminalista.

– Skąd pan to wie?

– Od jednego detektywa. Złapał mnie... Bo wie pan, ja obserwowałem wczoraj wieczorem jego dom. Chciałem wiedzieć, czy Ginny z nim wróci.

– Często pan obserwuje dom Martela?

– Tylko raz, wczoraj. Nie wiedziałem, czy wrócą z weekendu.

– Więc pojechali razem na weekend?

Kiwnął ponuro głową.

— Przed wyjazdem zwróciła mi pierścionek zaręczynowy. Powiedziała, że nie chce pierścionka ani mnie.

Pogrzebał w małej kieszonce spodni i wydobył go jak *corpus delicti*. Istotnie pierścionek miał swoją wymowę. Kształtem przypominał platynową obrączkę, ale był wysadzany brylantami wartości ładnych paru tysięcy dolarów. Jego zwrot świadczył dobitnie, że Ginny myśli serio o Martelu.

— I co panu powiedział ten detektyw?

Peter jakby mnie nie słyszał, zafascynowany pierścionkiem. Obracał go w palcach, aż brylanty pochwyciły i odbiły blask nieba. Wzdrygnął się, jakby ich zimny ogień go oparzył.

— Co panu powiedział ten detektyw o Martelu?

— Właściwie nic wprost. Zapytał, czemu tak siedzę w aucie, więc mu powiedziałem, że czekam na Martela. Chciał wiedzieć, skąd Martel pochodzi, jak dawno jest w Montevíscie, skąd ma pieniądze...

— Więc Martel ma pieniądze?

— Wszystko na to wskazuje. Szasta nimi na prawo i na lewo. Ale, jak powiedziałem temu gościowi, nie wiem, skąd je bierze ani skąd się sam wziął. Z kolei zaczął mnie wypytywać o Ginny, widocznie ją widział z Martelem. Ale odmówiłem jakichkolwiek informacji o niej, więc mnie puścił.

— Czy to miejscowy detektyw?

— Nie wiem. Pokazał mi jakiś znaczek, ale niewiele zobaczyłem po ciemku. Wsunął się nagle do mojego auta i zaczął z miejsca gadać. Ma facet gadane.

— Niech pan go opisz. Młody, stary?

— W średnim wieku, jakieś trzydzieści pięć lat. Miał na sobie tweedową marynarkę i jasnopopielaty kapelusz, ściągnięty na oczy. Był mniej więcej mojego wzrostu... ja mam metr osiemdziesiąt... ale nie taki tęgi. Nie potrafię opisać twarzy, natomiast nie podobał mi się jego głos. W pierwszej chwili myślałem, że to jakiś bandzior, który chce mnie obrabować.

— Miał pistolet?

— Nie zauważyłem. Wypytał mnie o wszystko, po czym kazał mi zjeżdżać. Wtedy postanowiłem wziąć własnego detektywa.

Zabrzmiało to arogancko, potwierdzając, że chłopak należy

do klasy społecznej nawykłej do kupowania rzeczy i ludzi. Jednakże różnił się nieco od większości dziedziców pokaźnych fortun, z którymi się zetknąłem w życiu. Usłyszał brzmienie swoich słów i jął się sumitować.

— Przepraszam. Nie chciałem tego tak powiedzieć.

— W porządku. Ale niech pan na przyszłość pamięta, że mnie się nie kupuje. Można mnie jedynie zaangażować na moich własnych warunkach. Jaka jest Ginny?

Zamknęło mu to na chwilę usta. Pochylił wzrok nad pierścionkiem, który ciągle leżał na stole, aż źrenice jego piwnych oczu niemal się zbiegły. Z bufetu dochodził szcęk naczyń i odgłosy rozmowy, przetykane słodkim poświstywaniem zęb.

— Jest piękną dziewczyną — powiedział z wyrazem rozmarzenia w oczach, ciągle zezując na pierścionek. — I jest niewinna. Niedoświadczona na swój wiek, mimo całej swojej inteligencji. Nie zdaje sobie sprawy, w co się pakuje. Próbowałem jej uświadomić, . czym grozi małżeństwo z człowiekiem, o którym nic pewnego nie wiadomo. Ale nie chciała słuchać. Powiedziała, że wyjdzie za niego bez względu na moje krakanie.

— Nie powiedziała dlaczego?

— Przypomina jej ojca, to pierwszy powód.

— Jest od niej dużo starszy?

— Nie wiem dokładnie. Ale ma co najmniej trzydziestkę, może więcej.

— Czy jednym z jego powabów są pieniądze?

— Skądże! Mogła przecież wyjść za mnie, ślub był wyznaczony za miesiąc. A ja nie jestem biedny — dodał z ostrożnością ludzi majątnych. — Nie jesteśmy Rockefellerami, ale biedni też nie jesteśmy.

— Świetnie się składa. Bo ja biorę sto dolarów dziennie plus zwrot kosztów.

— To dużo.

— Nie uważam. Ledwo mi starcza na opędzenie wydatków. Nie pracuję stale, a muszę utrzymywać biuro.

— Rozumiem.

— Pana poproszę o trzysta dolarów zaliczki.

Wiedziałem z doświadczenia, że po zakończonej sprawie najtrudniej jest wyegzekwować należność od najbogatszych. Zachnął się na tę sumę, ale nie próbował się targować.

— Wypiszę czek — powiedział sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Przedtem niech pan mi powie, czego pan oczekuje za swoje pieniądze.

— Chcę, żeby pan się dowiedział, kim jest Martel, skąd pochodzi i skąd ma pieniądze. A przede wszystkim, po co przyjechał do Montevisty. Jak się o nim czegoś dowiem, będę mógł otworzyć Ginny oczy.

— I skłonić ją do wydania się za pana?

— Do niewydawania się za niego. Na nic więcej nie liczę. Wątpię, żeby kiedykolwiek wyszła za mnie.

Ale pierścionek schował starannie z powrotem do kieszonki. Dopiero potem wyciągnął książeczkę National Bank w Pacific Point i wypisał czek na trzysta dolarów. Wyjąłem swój czarny notes.

— Jak brzmi pełne nazwisko Ginny?

— Wirginia Fablon. Mieszka z matką, Mariettą Fablon. Mają dom obok nas na Laurel Drive.

Podał mi oba adresy.

— Czy pani Fablon zechce ze mną rozmawiać?

— Czemuż by nie? Jest matką Ginny, chyba jej zależy na szczęściu córki.

— Co pani Fablon sądzi o Martelu?

— Nie rozmawiałem z nią na ten temat. Przypuszczam, że ją zawojował tak jak wszystkich.

— A ojca Ginny?

— Ojca nie ma.

— Co to znaczy, Peter?

Przeszedłem na ty, ale jasne było, że nie to go wprawiło w takie zakłopotanie. Poprawił się na krześle i powiedział nie patrząc mi w oczy:

— Roy Fablon nie żyje.

— Dawno?

— Sześć, siedem lat. Ale Ginny do tej pory nie może się z tym pogodzić. Ubóstwiała ojca.

— Znałeś ją już wówczas?

— Znamy się od dzieciństwa.. Kocham się w niej od dwunastego roku życia.

— To znaczy, ile lat?

— Trzydzieści. Wiem, to feralna liczba — dodał, jakby jedynym jego zmartwieniem było czuwanie, czy nad czymś nie ciąży zły omen.

— A ile lat ma Ginny?

— Dwadzieścia cztery. Jesteśmy w jednym wieku. Ale ona wygląda młodziej, ja starzej.

Z kolei zadałem kilka pytań o jego rywala. Francis Martel przyjechał do Montevisty swoim czarnym Bentleyem mniej więcej dwa miesiące temu, pewnego deszczowego dnia w marcu. Zamieszkał w willi wynajętej wraz z całym urządzeniem od wdowy po generale Bagshawie. Stara pani Bagshaw wprowadziła go zdaje się także do Klubu Tenisowego. Martel pokazywał się tu rzadko, a kiedy się pokazał, spędzał większą część czasu w luksusowej kabinie na piętrze, którą wynajął na całe lato. Nieszczęście, że zaczęła z nim tam przesiadywać również Ginny.

— Rzuciła w końcu studia — powiedział Peter — żeby się z nim nie rozstawać.

— Co studiowała?

— Romanistykę w college'u w Monteviscie. Miała kompletnego bzika na punkcie literatury francuskiej, i pewnego pięknego dnia rzuciła wszystko, ot tak.

Chciał strzelić palcami, ale wyszło z tego żałosne plaśnięcie.

— Może zasmakowała bardziej w życiu niż w literaturze.

— Myśli pan? Dlatego że on się podaje za Francuza?

— Skąd wiesz, że nim nie jest?

— Mnie nie zwiedzie byle oszust — oświadczył.

— Ale Ginny zwiódł?

— Jest jak zahipnotyzowana. To nie jest normalny, zdrowy stosunek. Wszystko się tak poplątało przez jej ojca. Przez to, że był z pochodzenia Francuzem. Schroniła się za tę swoją

francuszczyznę po jego śmierci. Teraz są rezultaty.

— Nie bardzo rozumiem.

— Wiem, nie wyrażam się zbyt jasno. Ale zamartwiam się o nią na śmierć. Jem tyle, że boję się zważyć. Ważę już pewnie grubo ponad dziewięćdziesiąt kilo.

Pomacał się ostrożnie po brzuchu.

— Prosta rada: trzeba więcej przebierać nogami.

Popatrzył na inne zdziwionym wzrokiem.

— Proszę?

— Chodź na plażę i biegaj.

— Nie mogę. Jestem taki przybity. — Wysączył resztkę cocktailu wydobywając z dna szklanki coś na kształt przedśmiertnego rżenia. — Zabierze się pan od razu do sprawy, dobrze?

2

Montevista jest willową miejscowością sąsiadującą i koegzystującą z miastem portowym Pacific Point. Ma jedno małe centrum handlowe, nazywane Rynkiem, w którego pseudowiejskich sklepikach mieszkańcy bawią się w udawanie wieśniaków, tak jak dworzanie w Wersalu bawili się w udawanie kmiotków.

Zrealizowałem czek Petera w miejscowym oddziale National Bank. Operacja wymagała cyferki samego kierownika, bystrego młodego człowieka w dystyngowanym popielatym ubraniu, który się nazywał McMinn. Nie omieszkął się pochwalić, że zna bardzo dobrze rodzinę Jamiesonów; Peter Jamieson senior zasiada nawet w radzie nadzorczej banku. Powiedział to z ledwo powściąganą satysfakcją, nie pozbawioną namaszczenia, jakby pieniądze zapewniały stan łaski, do którego dostąpienia wystarczało się powołać na osobę majątną. Rozpromienił się jeszcze bardziej, gdy spytałem, jak trafić do willi Bagshawów.

— To kawałek drogi stąd, w jednym z kanionów. Nie trafi pan bez mapy. — Pogrzebał w dolnej szufladzie biurka i wyciągnął mapę, na której zaznaczył kilka punktów. — Wie pan, że

generał Bagshaw nie żyje?

— To przykre.

— Wszyscy w banku jesteśmy niepokieszeni. Generał był przez całe życie naszym klientem. Oczywiście pani Bagshaw nadal korzysta z naszych usług. Jeśli pan jej szuka, to się przeprowadziła do jednego z letnich domków w Klubie Tenisowym. Willę wynajął niejaki Martel.

— Zna go pan?

— Z widzenia. Korzysta z usług naszej centrali w Pacific Point. — McMinn obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem. — Jest pan znajomym pana Martela?

— Jak dotąd nie.

Zawróciłem w kierunku wzgórz. Zbocza były jeszcze zielone po wiosennych deszczach. Białe i fioletowe kwiaty wśród zarośli pachniały sennym tchnieniem słońca.

Zatrzymałem się przy skrzynce na listy z nazwiskiem Bagshawów. Pod stopami miałem ocean, zawieszony na horyzoncie jak nierówno ufarbkowane pranie na sznurze. Wywindowałem się zaledwie paręset stóp w górę, a już odczuwalna była zmiana temperatury, jakbym znacznie się zbliżył do słońca w zenicie. O dalsze paręset stóp nad szosą, u szczytu własnego kanionu, przycupnęła willa. Wydawała się z tej odległości niewiele większa od karmnika dla ptaków. Od miejsca, gdzie się zatrzymałem, wznosiła się ku niej serpentynami czarna asfaltowa droga.

Od strony miasta, ze zgrzytem przełączanych biegów, piał się za mną wysłużony kabriolet. Minawszy mnie zatrzymał się. Był to czarny Cadillac, poszarzały od kurzu. Wysiadł z niego niewysoki mężczyzna w marynarce w rzucik i w eleganckim perłowym edenie, zsuniętym zawadiacko na oko. Zbliżył się krótkim kroczkiem, w którym niepewność walczyła o lepsze z agresywnością. Nie miałem wątpliwości, że to detektyw Petera, chociaż niczym nie przypominał detektywa. Jak wonią nie mytego ciała zalatywało od niego frustracją.

Wyjąłem z kieszeni czarny notes i zapisałem numer Cadillaca. Miał kalifornijską rejestrację.

— Co pan pisze?

— Wiersz.

— Zobaczymy — powiedział głośno, ale bez zbytniego przekonania.

Sięgnął przez otwarte okno. Oczy miał niespokojne.

— Nigdy nie pokazuję nie dokończonych utworów.

Zatrzasnąłem notes i schowałem do wewnętrznej kieszeni. Zacząłem zakręcać okno. W ostatniej chwili cofnął rękę. Zamiast tego przytknął twarz do szyby, aż zapotniała.

— Co pan tam o mnie napisał? — Wyjął z kieszeni miniaturowy aparat fotograficzny i zaczął nim stukać w szybę, bez sensu, za to zapamiętałe. — Chcę wiedzieć, co pan o mnie napisał.

Była to sytuacja z rodzaju tych, których staram się unikać bądź też jak najszybciej je rozładowywać. W miarę upływu naszego stulecia — a czułem wyraźnie, jak upływa — takie bezsensowne gniewne konfrontacje prowadzą coraz częściej do gwałtu. Wsiadłem na prawą stronę i obszedłem auto z przodu.

Dopóki siedziałem za kierownicą, facet wymyślał maszynie, Cadillac wymyślał Fordowi. Teraz naprzeciw siebie stali ludzie, przy czym ja byłem wyższy i szerszy w barach. Mężczyzna przestał krzyczeć. Jego cała osobowość uległa gwałtownej przemianie. Zasłonił usta wierzchem dłoni, jakby dła poskromienia złego ducha, który w niego wstąpił i pchnął go do wyrzaskiwania na mnie. Zwątpienie ściągnęło mu twarz jak niewidoczna blizna.

— Przecież nic nie zrobiłem. Nie ma pan powodu do notowania mojego numeru.

— To się pokaże — odparłem na poły urzędowym tonem. — Co pan tu robi?

— Zwiedzam. Jestem turystą. — Omiótł bladymi oczami rzadko zabudowane wzgórze, jakby był po raz pierwszy za miastem. — To jeszcze szosa publiczna, nie?

— Wpłynął raport, że jakiś mężczyzna podawał się tu wczoraj wieczorem za detektywa.

Łypnął na mnie i zaraz spuścił wzrok.

— To na pewno nie ja. Nigdy tu nie byłem.

— Obejrzymy pańskie prawo jazdy.

— Pan posłucha, możemy się dogadać — powiedział. — Nie mam wiele przy sobie, ale mam swoje chody. — Wyciągnął z wyświechtanego portfela z cielejącej skóry samotną dziesiątkę i wetknął mi do zewnętrznej kieszonki marynarki. — Proszę, niech pan coś kupi dla dzieciaków. I niech pan mi mówi Harry.

Uśmiechnął się z wymuszonym wdziękiem. Ale wdzięk, jeśli nim kiedykolwiek dysponował, dawno wyparował z jego twarzy. Z ust błysnęły ku mnie zęby jak dłuta. Wyjąłem banknot z kieszonki, przedarłem i zwróciłem mu obie połówki. Twarz mu się wydłużyła.

— To dziesięć dolarów. Musi pan być stuknięty, żeby drzeć pieniądze.

— Podklei pan taśmą. Poproszę o to prawo jazdy, zanim pan podpadnie pod następny paragraf.

— Paragraf? — zapytał tonem chorego, który powtarza usłyszaną po raz pierwszy nazwę swojej choroby.

— Przekupstwo i podszywanie się pod przedstawiciela władzy mają swoje paragrafy w kodeksie, liany.

Popatrzył na niebo, jakby po raz nie wiadomo który sprawiło mu zawód. Wysoko na błękitcie wisiał cienki błady księżyc jak niewyraźny odcisk palca na szybie.

Ze szczytu kanionu błysnęło ostrzejsze światło, niemal mnie oślepiając. Przez moment myślałem, że wydobywa się z głowy mężczyzny stojącego z dziewczyną na tarasie Willi Bagshawów. Wydało mi się, że ma on wielkie okrągłe oczy, wysyłające błyski świetlne. Po chwili zrozumiałem, że obserwuje nas przez lornetkę. Oboje z dziewczyną wyglądali z tej odległości jak filigranowe figurki z porcelany. Dystans i wysokość przyprawiły mnie o nierealne wrażenie, że są nieosiągalni, jakby egzystowali poza czasem i przestrzenią.

Harry Paragraf rzucił się do swego auta. Chciał zapalić motor, ale starter obracał się niemrawo jak nieboszczyk w grobie. Zdążyłem otworzyć drzwiczki z drugiej strony i wsunąć się na powygryzane skórzane siedzenie.

— Dokąd jedziemy, Harry?

— Donikąd. — Przekręcił kluczyk, opuścił ręce na kolana. — Czemu pan się mnie czepia?

– Bo zatrzymałeś wczoraj wieczorem pewnego młodego człowieka na tej szosie, podałeś się za detektywa i wypytywałeś go o różne sprawy.

Zastygł w milczeniu, tylko na jego wyrazistej twarzy, dokonywała się nowa seria przemian.

– Bo jestem właściwie detektywem.

– Masz znaczek?

Sięgnął do kieszeni, prawdopodobnie po dziecienną imitację odznaki policyjnej, ale się rozmyślił.

– Nie mam – przyznał. – Jestem detektywem amatorem, prowadzę sprawę dla mojej... – Ugryzł się w język. – ...no, dla jednych takich. Nie uprzedzili mnie, że mogę podpaść.

– Może się jednak dogadamy. Pokaż to prawo jazdy.

Wyjął swój wyświechtany portfel i podał mi prawo.

HARRY HENDRICKS

10750 Vanowen, lokal nr 12

Canoga Park, Kal.

PŁEĆ m. KOLOR WŁOSOW ciemnobl. KOLOR OCZU nieb.

WZROST 1,75 WAGA 76 STAN CYWILNY wolny

DATA UR. 12,4.1928 WIEK 33

Z lewego dolnego rogu uśmiechała się do mnie krzywo twarz Harry'ego. Zapisalem w notesie adres i numer prawa jazdy.

– Po co panu te dane? – zapytał zaniepokojony.

– Żeby cię mieć na oku, Z czego żyjesz, Harry?

– Sprzedaję samochody.

– A-ha!

– Używane, za prowizję – wyjaśnił z goryczą. – Byłem likwidatorem ubezpieczeniowym, ale bo to człowiek może się ostać przy tych wszystkich cwaniakach. Robiłem w życiu różne rzeczy. Może pan pytać, wszystko robiłem.

– Kiblowałeś też?

Posłał mi obrażone spojrzenie.

– Co pan?! Wspominał pan o jakimś dogadaniu się.

– Lubię wiedzieć, z kim mam przyjemność.

– Rany, może mi pan wierzyć. Mam stosunki.

— W handlu używanymi samochodami?
— Zdziwiłby się pan — oświadczył.
— I co twoi mocodawcy kazali ci zrobić z Martelem?
— Z Martelem nic. Mam tylko kikować i wywiedzieć się, co to za jeden, jeśli się da.

— I?

Harry rozłożył ręce na kierownicy.

— Jestem niecałą dobę w mieście. Miejscowe chłopaki nic nie wiedzą. Jeśli pan jest gliną, jak pan mówi...

— Tego nie powiedziałem. Jestem detektywem prywatnym. To jest teren strzeżony.

Oba fakty były prawdziwe, tyle że się z sobą nie wiązały. Harry je powiązał.

— Jak tak, powinien się pan bez trudu wywiedzieć. To forsa, człowieku. Podzielimy się po połowie.

— Ile?

— Stówkę gwarantuję.

— Zobaczę, co się da zrobić. Gdzie się zatrzymałeś w mieście?

— Hotel „Falochron”. Na nabrzeżu.

— Co to za kobieta napuściła cię na Martela?

— Nikt nic nie mówił o żadnej kobiecie.

— Powiedziałeś mojej.

— Może myślałem o żonie. Ale ona nie ma z tym nic wspólnego.

— Bujaj zdrów. W prawie jazdy masz stan wolny.

— Ale jestem żonaty. — Obruszył się, jakbym podał w wątpliwość nie fakt jego małżeństwa, lecz przynależności do rasy ludzkiej. — W prawie jazdy jest błąd. Wołałem tego dnia zapomnieć, że jestem żonaty. To znaczy...

Przerwał mu cichy szum auta, zjeżdżającego z góry krętą asfaltową drogą. Był to czarny Bentley Martela. Mężczyzna za kierownicą miał prostokątne okulary przeciwsłoneczne, zakrywające mu górną część twarzy jak maska. Siedząca obok dziewczyna była również w okularach od słońca, które czyniły ją nieco podobną do wszystkich hollywoodzkich blond bóstw.

Harry wy dobył swój miniaturowy aparat fotograficzny, niewiele większy od zapalniczki. Przebiegł na drugą stronę

szosy i ustawił się u wylotu asfaltowej drogi, z aparatem ukrytym w dłoni. Kierowca Bentleya wysiadł. Był niewysoki, ale silnej, muskularnej budowy, ubrany w tweedowy garnitur i sportowe półbuty w stylu angielskim. Strój nie bardzo pasował do jego smagłej cery i gładkich włosów,

– Szuka pan czegoś? – zapytał opanowanym głosem o lekko cudzoziemskim akcencie.

– Tak, proszę pana. Proszę o miły uśmiech. – Harry podniósł aparat i pstryknął. – Dziękuję, panie Martel.

– Ja nie. – Grymas wykrzywił mięsiste wargi Martela. – Pan będzie łaskaw oddać ten aparat.

Słowo „aparat” wymówił z francuska, z wibrującym r i akcentem na ostatniej zgłosce. Ale na Francuza był zbyt śniady.

– Już się, rozpędziłem. Kosztował sto pięćdziesiąt dolarów.

– Dla mnie jest wart dwieście,, razem z filmem. Rozumie pan? Nie znoszę się fotografować.

Popatrzyłem na blondynkę w aucie. Nie widziałem jej oczu za okularami, ale miałem wrażenie, że mnie obserwuje przez szerokość szosy. Dół jej twarzy był nieruchomy, jakby się bała zdradzić ze swymi uczuciami. Twarz miała martwe piękno marmuru.

Harry tymczasem kalkulował. Miałem wrażenie, że słyszę tok jego myśli.

– Oddam za trzysta.

– *Tres bien*, trzysta. Ale włącznie... jak to powiedzieć?... z pokwitowaniem. Z podpisem i adresem.

– Z-zgoda.

Miałem ilustrację całego życia Harry'ego: nie umiał zachować miary, kiedy był górą. Dziewczyna wychyliła się przez otwarte drzwiczki Bentleya.

– Nie traćmy czasu, Francis.

– Nie mam najmniejszego zamiaru.

Martel podsunął się niespodzianie do Harry'ego i wyrwał mu aparat z ręki. Cofnął się, rzucił aparat na asfalt i rozgniół obcasem. Harry osłupiał.

– Nie może pan tego zrobić!

– Już zrobiłem. *Fait accompli*.

— Żądam pieniędzy.

— Nie dostanie pan. *Pas d'argent. Rien du tout.*

Martel wsiadł do czarnego auta i zatrzasnął drzwiczki.

Harry biegł za nim wykrzykując:

— Nie może mi pan tego zrobić! Aparat nie był mój! Musi pan za niego zapłacić!

— Zapłać mu, Francis – powiedziała dziewczyna.

— Nie. Miał szansę, nie skorzystał. – Martel zrobił znowu nagły ruch i w oknie ukazał się mały czarny wylot pistoletu, ślepiący znad zakrzywionego palca jego dłoni. – Posłuchaj, przyjacielu. Nie lubię mieć na karku żadnych *canailles*. Jeśli będziesz się tu dalej pętał albo zakłócisz mi spokój w inny sposób, zastrzelę cię jak psa.

Cmoknął językiem. Harry jął się wycofywać tyłem. Doszedł do skraju drogi, noga mu się powinęła i o mało nie upadł. Porzucając fałszywy wstyd, poderwał się i pomknął jak sprinter do Cadillaca. Spocony i zasapany wskoczył na siedzenie.

— O mało mnie nie zabił. Jest pan świadkiem.

— Masz szczęście, że na tym się skończyło.

— Niech pan go aresztuje. Na co pan czeka. Za dużo sobie pozwala. To zwykły oszust. Taki z niego Francuz, jak ze mnie królowa angielska.

— Masz na to dowody?

— Jeszcze nie. Ale ja się dobioreę do skóry temu makaroniarzowi. Zapłaci mi. To był kosztowny aparat, na dodatek nie mój. – Jego głos nabrzmiały był zalem: życie zawiodło go po raz tysięczny i pierwszy. – Nie siedziałby pan tak, gdyby pan był gliną, jak pan twierdzi.

Martel wyjechał z asfaltowej drogi na szosę. Jedno koło przeszło po zmiażdżonym aparacie i spłaszczyło go do reszty. Czarny Bentley zaczął się oddalać statecznie w dół.

— Muszę coś wymyślić – powiedział Harry bardziej do siebie niż do mnie.

Zdjął kapelusz, jakby to on ograniczał jego inwencję, i położył odwrócony na kolanach jak żebrak czekający na jałmużnę. Napis na jedwabnej podszewce głosił, że kapelusz pochodzi ze sklepu galanteryjnego w Las Vegas. Na skórcie wytłoczone było

złotymi literkami nazwisko L. Spillman. Albo kapelusz jest kradziony – pomyślałem – albo prawo jazdy Harry’ego wystawione na fałszywe nazwisko.

Jakby słysząc nie wypowiedziane oskarżenie, Harry obrócił się w moją stronę i wycedził mściwie:

– Proszę się nie krępować, jeśli pan się śpieszy. Niewiele mi przyszło z pańskiej obecności.

Powiedziałem, że go odszukam w hotelu. Nie wydawał się tym zbytnio zachwycony.

3

Laurel Drive była ukryta głęboko wśród żywopłotów jak wiejska droga w Anglii. Potężny zielony mur pittosporum zasłaniał zupełnie ogród pani Fablon. Na końcu ogrodu, przy stoliku z kolorowym parasolem siedziała kobieta wyglądająca z tej odległości jak siostra Ginny. Jadła lunch w towarzystwie mężczyzny o długiej, kościstej twarzy, która się jeszcze wydłużyła na mój widok. Mężczyzna wstał, otarł serwetką usta. Był wysoki, trzymał się prosto, twarz miał nawet przystojną mimo wojowniczego wyrazu.

– Będę uciekał – doszedł mnie jego przyciszony głos.

– Nie śpiesz się. Nie oczekuję nikogo.

– Ja też nie oczekiwałem – uciał.

Rzucił serwetkę na talerz z nie dojedzoną sałatką łososiową. Nie odzywając się więcej ani nie oglądając na mnie, podszedł do Mercedesa zaparkowanego pod dębem, wsiadł i wyjechał drugą stroną półkolistego podjazdu. Zachowywał się, jakby mu był na rękę pretekst do odwrotu.

Pani Fablon nie ruszyła się od stolika. Robiła wrażenie zupełnie spokojnej.

– Kim pan jest, na miłość boską?

– Nazywam się Archer. Jestem detektywem prywatnym.

– Czy doktor Sylvester pana zna?

– Jeżeli, to znajomość jest jednostronna. Czemu?

– Bo uciekł jak oparzony na pański widok.

— Przykro mi.

— Niepotrzebnie. Nie był dziś zbyt zabawny. Czyżby Audrey Sylvester kazała go śledzić?

— Jeżeli kazała, to nie mnie. A powinna?

— Na pewno nie w moim domu. George Sylvester leczy naszą rodzinę od dziesięciu lat. W naszych stosunkach jest tyle romantyzmu, co w rozdeptanych kapciach. — Uśmiechnęła się ze swego wyszukanego konceptu. — Czy pan śledzi ludzi, panie Archer?

Zajrzałem jej w oczy, czy ze mnie nie kpi. Jeżeli kpiła, to nie dała tego po sobie poznać. Oczy miała błękitne, trudno czytelne w swej bledości. Interesowały mnie, bo nie widziałem oczu jej córki. Były niewinne, nie młodzieńcze, lecz niewinne, jakby dostrzegały tylko wybrane przejawy życia. Pasowały do starannie ufarbowanych blond włosów, utapirowanych na kształtnej głowie jak bita śmietana, do nieprawdopodobnie zgrabnej figury pod zbyt młodzieńczą sukienką, do swobody, z jaką pozwalała się oglądać. Ale pod pozorną beztroską wyczuwałem w niej napięcie.

— Widać jestem poszukiwana — powiedziała z uśmiechem.

— Jestem za coś poszukiwana, tak?

Nie odpowiedziałem. Zastanawiałem się nad taktownym sposobem przejścia do sprawy Ginny i Martela.

— Zadaję panu pytania, a pan nie odpowiada. Czy tak pracują detektywi?

— Mam własne metody pracy.

— „Tajemne sposoby, by cuda swoje działać”?¹ Domyślałam się tego. Więc może mi pan powie, jakie to cuda chce pan zdziałać?

— Chodzi o pani córkę Ginny.

— Rozumiem. — Ale jej oczy nie zmieniły wyrazu. — Niech pan siada, jeśli pan ma ochotę. — Wskazała metalowy fotel naprzeciwko siebie. — Czy Wirginia jest w coś zamieszana?

¹ Jest to cytat z głośnego hymnu kościelnego wybitnego osiemnastowiecznego poety angielskiego. Williama Cowpera, napisanego do anglikańskiego śpiewnika „Olney Hymns” („Hymny z Olney”, 1979). (Przyp. Tłum.)

Nigdy nie miała podobnych kłopotów.

— Próbuje to właśnie ustalić.

— Kto pana napuścił? — zapytała nieoczekiwanie ostro. — George Sylvester?

— Skąd pani to przyszło do głowy?

— Bo tak uciekł. — Obserwowała mnie uważnie. — Więc to nie George. Durzy się w Wirginii, wszyscy mężczyźni się w niej durzą. Ale on by się tak nie afiszował.

Zamilkła.

— Afiszował?

Zmarszczyła cienkie brwi, narysowane nie na swoim miejscu.

— Ciągnie mnie pan za język, a ja mówię rzeczy, których nie myślę. — Zrobiła nagle głęboki wdech. — To Peter, na pewno Peter. Ta-ak?

— Nie jestem upoważniony do mówienia o tym.

— Jeśli to Peter, to jest bardziej beznadziejny, niż myślałam. To Peter, nie zaprzeczy pan. Odgrażał się, że zaangażuje detektywów. Szaleje z zazdrości, ale nie sądziłam, że się do tego posunie.

— Nie posunął się zbyt daleko. Polecił mi tylko zbadać przeszłość człowieka, którego chce poślubić pani córka. Przypuszczam, że pani poznała Francisa Martela?

— Poznałam, oczywiście. Czarujący człowiek.

— Niewątpliwie. Ale przed niespełną godziną zaszło coś, co potwierdza, że warto się zainteresować jego przeszłością. Sam byłem świadkiem. Pewien osobnik chciał go sfotografować na szosie poniżej jego domu. Martel przepędził go pistoletem. Groził, że go zastrzeli.

Pokiwała pobłaźliwie głową.

— Wcale mu się nie dziwię.

— Czy Martel ma zwyczaj grozić ludziom pistoletem?

— Ma prawo do samoobrony, nawet gdyby musiał użyć pistoletu. — Zabrzmiało to, jakby cytowała czyjeś słowa. — Ma swoje powody. Chce zachować incognito.

— Wie pani, kim jest?

— Obiecałam zachować tajemnicę.

Dotknęła czerwonych warg paznokciem pomalowanym na

ten sam odcień.

– Kim takim może być? Zaginionym delfinem Francji?

Niechący trafiałem w sedno. Popatrzyła na mnie z otwartymi ustami. Po chwili uprzytomniła sobie, że bardziej jej do twarzy z zamkniętymi, i zamknęła je.

– Nie mogę panu powiedzieć, kim jest. Mogłoby to mieć następstwa na skalę międzynarodową, gdyby się wydało, że tu przebywa. – Znowu zdawała się recytować wyuczoną lekcję. – Widzę, że pan przynajmniej działa ze szlachetnych pobudek, czego nie jestem pewna, jeśli chodzi o Petera. Ale muszę pana prosić, żeby pan dał temu spokój.

Tym razem nie żartowała. Jej głos był poważny.

– Chce mi pani dać do zrozumienia, że Martel jest osobistością polityczną?

– Był. I będzie znowu, gdy sytuacja dojrzeje. W chwili obecnej jest wygnańcem ze swego kraju – zakończyła dramatycznie.

– Z Francji?

– Jest Francuzem, tak, nie robi z tego tajemnicy.

– Ale nie nazywa się Francis Martel?

– Nie jest to jego prawdziwe nazwisko, ale ma prawo do posługiwania się nim.

– A jakie jest jego prawdziwe nazwisko?

– Tego nie wiem. Wiem tyle, że to jedno z wielkich nazwisk Francji.

– Ma pani na to dowody?

– Dowody? – Uśmiechnęła się z wyższością, jakby była w posiadaniu wiedzy pochodzącej od absolutu – Nie żąda się dowodów od przyjaciół.

– Ja żądam.

– Wobec tego nie ma pan chyba zbyt wielu przyjaciół. Jest pan podejrzliwy. Dobraliście się obaj z Peterem Jamiesonem.

– Zna go pani od dawna?

Chodziło mi o Martela, ale zrozumiała moje pytanie opacznie, zapewne nie przypadkiem.

– Petera? Nie wychodzi z naszego domu od dwudziestu lat.

– Zrobiła gest w stronę rozłożystego parterowego domostwa za

jej plecami. – Wycierałam mu nos przez wszystkie te lata, nie żartuję. Kiedy jego matka umarła, wzięłam go na pewien czas pod swoje skrzydła. Był wtedy małym chłopcem. Ale mali chłopcy rosną, a kiedy podrosł, zadurzył się w Ginny, do czego nie miał prawa. Ona o niego nie dba, przynajmniej nie w ten sposób. Nigdy nie dbała. Uległa jego namowom, bo nie miała nikogo innego.

Czułem, że mimo wszystko lubi Petera. Powiedziałem to.

– Oczywiście. Człowiek się przywiązuje, jeśli widuje kogoś codziennie przez dwadzieścia lat. Ale równocześnie go nienawidzę, szczególnie teraz. Moja córka ma wspaniałą szansę. Jest piękną dziewczyną – uniosła brodę, jakby uroda Ginny, jako dziedzictwo rodzinne, była i jej własnością – zasługuje na lepszą przyszłość. Nie pozwolę, żeby Peter albo pan wszystko zepsuł.

– Nie mam zamiaru nic psuć.

Westchnęła.

– Widzę, że pana nie przekonam. Nie poniecha pan tak łatwo sprawy?

– Bez bliższego zbadania nie.

– Wobec tego niech pan mi obieca jedno. Że pan to tak rozegra, żeby nie pokrzyżować Ginny planów małżeńskich. To, co ją łączy z Martelem, jest promienne, jasne, świeże. Niech pan tego nie popsuje.

– Jeżeli sprawa jest czysta, na pewno nie stanę pani córce na drodze do szczęścia.

– Jest, może mi pan wierzyć. Francis świata poza nią nie widzi, ona za nim szaleje.

Ale zabrzmiało to odrobinę jak pobożne życzenie. Postanowiłem jej wetknąć szpileczkę.

– Czy dlatego pojechała z nim na weekend?

Jej błękitne oczy, dotąd niewzruszone, uciekły przed moimi.

– Nie ma pan prawa zadawać takich pytań. Nie jest pan dżentelmenem.

– Ale Martel jest?

– Mam dosyć pańskich insynuacji, panie Archer.

Podniosła się. Odprawiała mnie.

Poszedłem do sąsiedniego domu Jamiesonów. Była to obszerna rezydencja w stylu hiszpańskim. brudnobiałego koloru, który nadawał jej wygląd instytucji dobroczynnej. Kobieta, która mi otworzyła drzwi po dłuższym dzwonieniu, miała na sobie pasiastą szarą suknię, bardzo przypominającą strój pielęgniarce. Była przystojna, smągła i miała władczy sposób bycia jedynej kobiety w dużym domu.

– Nie musi pan tak dzwonić. Słyszałam za pierwszym razem.

– Czemu pani wobec tego nie otworzyła?

– Mam ważniejsze sprawy na głowie – odparła szorstko. – Wkładałam gęś do pieca. – Popatrzyła na swoje zatłuszczone dłonie i wytarła je w fartuch. – Czego pan chce?

– Chciałem się zobaczyć z Peterem Jamiesonem.

– Juniorem czy seniorem?

– Juniorem.

– Pewnie jest jeszcze w Klubie Tenisowym. Zapytam pana starszego.

– Może mógłbym wobec tego porozmawiać z panem Jamiesonem seniorem. Nazywam się Archer.

– Może. Zapytam.

Czekałem długo w mrocznym hallu, na hiszpańskim krześle o wysokim oparciu, które wymyślił chyba sam Torquemada². W końcu gospodyni wróciła i oznajmiła nie bez zdziwienia, że pan Jamieson mnie przyjmie. Wprowadziła mnie przez dębowe drzwi do biblioteki z dębową boazerią i oknami w głębokich rozglifieniach, wychodzącymi na góry.

Przy jednym z nich, w przepastnym fotelu, siedział z książką mężczyzna o siwych włosach i niemal równie bezbarwnej twarzy. Gdy zdjął okulary i podniósł na mnie wzrok, zobaczyłem, że także oczy ma blade, nieobecne. Na niskim stoliczku koło niego stała na pół opróżniona szklanka, a na większym stoliku w zasięgu ręki butelka bourbona i dzbanek z

² Wielki inkwizytor Hiszpanii (1420–1498). (Przyp. red.)

woda.

Zauważyłem, że gospodyni łypie na butelkę i szklanke, jakby uosabiała wszystko, czego nienawidzi. Miała gniewne czarne oczy; widać było, że umie nienawidzić.

— Pan Archer — oznajmiła.

— Dziękuję, Wero. Dzień dobry. Niech pan siada. — Wskazał ręką fotel naprzeciwko siebie. Jego dłoń była pod światło prawie przezroczysta. — A może Wera zrobi panu coś do picia, póki tu jest?

— Dziękuję, za wcześnie na picie.

— Tak, ja też rzadko piję tak wcześnie. — Ale książkę trzymał do góry nogami. Nie chciał, żebym go zastał z pustymi rękami, nad kieliszkiem. Zamknął książkę i odłożył ją na stolik. — „Księga zmarłych”. Klasyka staroegipska. Możesz już iść, Wero. Potrafię się sam zająć panem Archerem.

— Jak pan uważa — odparła z powątpiewaniem.

— Wera to despotka — powiedział, gdy drzwi się za nią zamknęły. — Jest prawdziwą zakałą mego życia. A zarazem . błogosławieństwem. Bez niej ten dom zszedłby zupełnie na psy. Zastępowała matkę mojemu biednemu synowi. Bo wie pan, moja żona nie żyje od lat. — Zmarszczki dokoła jego oczu się pogłębiły, jakby ta śmierć miała spaść na niego ponownie. Dla odżegnania jej pociągnął długi łyk ze szklanki. — Może pan się jednak napije?

— Nie piję podczas pracy.

— Podobno pracuje pan dla mego syna. Radził się mnie w tej sprawie. Powiedziałem mu, żeby pana zaangażował.

— Cieszę się, że pan o tym wie. Mogę mówić bez ogródek. Sądzi pan, że Martel jest oszustem?

— Któż nim nie jest w mniejszym czy większym stopniu? Ja pierwszy. Jestem cichym pijakiem, jak pan widzi. A im więcej piję, tym większą mam ochotę się z tym kryć. Jedyнным sposobem zachowania resztek godności byłoby dla mnie picie jawne i stawienie czoła Peterowi No, i naturalnie Werze.

— Zrzucił pan kamień z serca — odparłem z uśmiechem. — Ale niewiele mi pan powiedział o Martelu.

— Bo ja wiem, co powiedzieć. Wszystkiego, co wiem o

ludziach, nauczyłem się z obserwacji samego siebie. To powolny i żmudny proces. – Mówił, jakby zapatrzony we własne wnętrze. – Jeżeli Martel jest oszustem, to idzie na wielkie ryzyko.

– Zna go pan osobiście?

– Osobiście nie. Ale mimo że żyję w całkowitym odosobnieniu, otrzymuję regularne komunikaty z miejscowego świata. Martel wzbudził w Montevíście znaczne zainteresowanie.

– I co orzekła opinia?

– Są dwa obozy, jak zwykle. To najgorsza strona demokracji, że w każdej sprawie muszą być dwa zdania. – Mówił jak człowiek, który długo czekał na słuchacza. – Ci, którym przypadł do serca, głównie kobiety, biorą wszystko za dobrą monetę i uważają go za wartościowego młodego Francuza, niezależnego materialnie. Reszta podejrzewa, że jest niebieskim ptakiem.

– Hochsztaplerem?

Uniósł swoją przezroczywą dłoń.

– To niewłaściwe słowo. Nie ulega wątpliwości, że jest wykształconym Europejczykiem.

– I nie ulega wątpliwości, że jest niezależny materialnie?

– Chyba nie. Przypadkiem wiem, że otwierając sobie konto w miejscowym banku wpłacił sumę sześciocyfrową.

– Słyszę, że zasiada pan w radzie nadzorczej.

– Więc interesował się pan i mną – powiedział z ironią. – Nie za wielki zaszczyt?

– Dowiedziałem się przypadkowo od pana McMinna realizując czek. Nie mógłby się pan dowiedzieć, z jakiego źródła pochodzą pieniądze Martela?

– Mogę spróbować.

– Niewykluczone, że je pożyczył – ciągnąłem. – Zdarza się, że kombinatorzy pożyczają pieniądze, niekiedy od gangsterów, żeby sobie szybko zdobyć pozycję w prowincjonalnych sferach handlowych.

– W jakim celu?

– Słyszałem o jednym, który kupił na spłaty miejskie

przedsiębiorstwo autobusowe, złupił je, doprowadził do ruiny i zniknął. W ostatnich latach zdarzało się nawet wykupywanie banków.

— O ile wiem, Martel nic nie kupuje.

— Z wyjątkiem Wirginii Fablon.

Jamieson zmarszczył czoło. Podniósł szklanekę, stwierdził, że jest prawie pusta, i wstał, żeby ją napęlić. Był wysoki, chudy, kruchej budowy. Poruszał się jak stary człowiek, choć podejrzewam, że nie był wiele starszy ode mnie — miał najwyżej pięćdziesiątkę. Poczekalem, aż naleje sobie bourbona i wody, pokrzepi się solidnym łykiem i usadowi z powrotem w skórzanym fotelu, po czym zapytałem:

— Czy Ginny ma pieniądze?

— Nie tyle, żeby zwabiły oszusta matrymonialnego. Nie należy do dziewcząt, które potrzebują majątku, żeby mieć powodzenie u mężczyzn. Przypuszczam, że odprawiła z kwitkiem więcej starających się, niż może się zamarzyć większości kobiet. Między nami mówiąc, byłem zaskoczony, kiedy przyjęła oświadczyzny Petera, a bynajmniej nie zaskoczony, kiedy z nim zerwała. Próbowalem mu to tłumaczyć wczoraj wieczorem. Historia z Ginny była dobra, kiedy chodzili razem do szkoły. Ale piękna młoda żona może się łatwo stać przekleństwem mężczyzny, szczególnie kiedy go rzuci. — Zmarszczki wokół jego oczu się uwydatniły. — To niebezpieczne dostać, czego człowiek pragnie. Prosta droga do tragedii. Ale mój nieszczęsny syn tego nie rozumie. Młodzi nie potrafią wyciągać nauki z doświadczeń ojców.

Zaczął się robić gadatliwy. Spojrzałem przez jego ramię na góry za oknem i ogarnęło mnie uczucie nierealności, jakby świat zalany słońcem odpływał w dal.

— Mówiliśmy o Fablonach i ich majątku.

Jamieson zebrał myśli z widocznym wysiłkiem.

— Tak, oczywiście. Zostało im chyba niewiele. Mieli kiedyś pieniądze, ale Roy lwią część przegrał. Chodziły słuchy, że był to jeden z powodów jego samobójstwa. Szczęśliwie Marietta ma jakieś niewielkie prywatne dochody. Starcza im to na swobodne życie, ale wątpię, żeby się na to połakomił oszust

matrymonialny. A co dopiero oszust, który ma w banku własne sto tysięcy.

— Czy sto tysięcy w banku to wszystko, czego potrzebował Martel, żeby się dostać do klubu?

— Do Klubu Tenisowego? No, niezupełnie. Musiał mieć przynajmniej jednego członka wprowadzającego i zostać zatwierdzony przez komisję członkowską.

— Kto był tym członkiem wprowadzającym?

— Przypuszczalnie pani Bagshaw. To przyjęta praktyka, gdy któryś z członków wynajmuje swój dom w mieście. Gest dobrej woli wobec kontrahenta.

— Gest na kredyt? Czy panu przemawia do przekonania wersja, że Martel jest uciekinierem politycznym?

— To zupełnie możliwe. Szczerze mówiąc nie odwodziłem Petera od zamiaru zaangażowania pana także dlatego, że chciałem zaspokoić ciekawość. Ale przede wszystkim chciałbym, żeby się od tego raz na zawsze uwolnił. Ta historia z Ginny kosztuje go więcej, niż pan przypuszcza. Jestem jego ojcem, wiem. Może nie zawsze wywiązywałem się najlepiej z obowiązków ojcowskich, ale znam swego syna. I znam Ginny.

— I nie chce jej pan za synową?

— Wprost przeciwnie. Wniosłaby radość do domu, nawet do naszego domu. Ale obawiam się, że nie kocha mego nieszczęsnego syna, że zgodziła się za niego wyjść z litości.

— Pani Fablon myśli bardzo podobnie.

— Więc rozmawiał pan z Mariettą?

— Trochę.

— To kobieta znacznie bardziej serio, niżby się wydawało. Zresztą Ginny też. Ginny była poważną małą kobietką już jako dziewczynka. Spędzała całe weekendy tu w mojej bibliotece pochłaniając książki.

— Z „Księgą zmarłych” włącznie?

— Wcale bym się nie dziwił.

— Wspomniał pan, że jej ojciec popełnił samobójstwo.

— Tak. — Jamieson poruszył się. niespokojnie w fotelu i sięgnął po szklanekę, jakby rozcieńczona w niej powolna śmierć była lekiem homeopatycznym na nieuchronną śmierć

ostateczną. – W minionym dziesięcioleciu szeregi moich przyjaciół bardzo się przerzedziły. Nie wspominając już o wrogach.

– Do których należał Roy Fablon? Do przyjaciół czy do wrogów?

– Roy był moim przyjacielem, swego czasu bardzo bliskim przyjacielem. Oczywiście nie pochwalam krzywdy, którą wyrządził żonie i córce. Ginny miała wtedy szesnaście, siedemnaście lat. Przeżyła to bardzo boleśnie.

– Jak to właściwie było?

– Wszedł pewnej nocy w ubraniu do oceanu. Znalezione jego ciało po jakichś dziesięciu dniach. Dobrały się do niego rekiny, był prawie nie do poznania.

Przesunął dłonią po szarej twarzy, pociągnął nowy łyk ze szklanki.

– Widział pan ciało?

– Owszem, proszono mnie o identyfikację. Było to nader upokarzające.

– Upokarzające?

– Tak, to okropne przekonać się naocznie, jakimi jesteśmy przemijającymi istotami i co może z nas zrobić czas i woda morska. Pamiętam Roya z okresu, gdy był jednym z najprzystojniejszych studentów w Princeton i jednym z najlepszych sportowców.

– Znał go pan za czasów studenckich?

– Czy znałem? Mieliśmy wspólny pokój w akademiku. Na dobrą sprawę to ja go ściągnąłem tu do Montevisty.

Wstałem, żeby wyjść, ale zawrócił mnie od drzwi.

– Chciałbym panu zadać jedno pytanie. Czy zna pan dobrze Montevistę? Nie chodzi mi o topografię, tylko o tutejsze stosunki.

– Nie za dobrze. To nie na moje możliwości.

– Więc niech pan pozwoli, że jako stary montevistanin coś panu powiem. Tutaj może się zdarzyć wszystko. Czego tu już nie było? Zapewne częściowo powodem jest upojny klimat, ale jeśli mam być szczerzy, w znacznej mierze również nadmiar pieniędzy. Montevista jest od blisko stu lat międzynarodowym

kapieliskiem. Zdetronizowani maharadźowie ocierają się tu o laureatów nagrody Nobla, córki chicagoskich fabrykantów konserw wychodzą za synów południowoamerykańskich miliarderów. Martel nie jest w tym towarzystwie niczym nadzwyczajnym. Prawdę mówiąc, w zestawieniu z wieloma obywatelami Montevisty wydaje się niewinnym jagnięciem. Powinien pan o tym pamiętać.

— Postaram się.

Podziękowałem mu i wyszedłem.

5

Południowy upał ustępował w miarę zniżania się słońca. Dojeżdżając do Klubu Tenisowego poczułem na twarzy chłodny powiew od oceanu. Na dachu głównego budynku trzepotała flaga.

Recepcjonistka poinformowała mnie, że Peter bierze prawdopodobnie natrysk. Przed paroma minutami widziała go wracającego z plaży. Najlepiej, żebyśmy na niego poczekał nad basenem.

Niebieski płócienny fotel ratownika był pusty, więc w nim usiadłem. Popołudniowy wiatr wygnał większość plażowiczów. Na drugim końcu basenu, pod osłoną szklanej ścianki, cztery siwowłose panie grały w karty ze skupieniem rasowych brydżystek. Trzy mitologiczne Parki plus jedna rezerwowa, pomyślałem z żalem, że nie mam się z kim podzielić swoim spostrzeżeniem.

Z szatni wyszedł barczysty chłopak, który nie wyglądał na słuchacza mogącego docenić mój koncept. Rozpostarł swoje posągowe ciało na płycie koło mnie. W oczach miał coś niepokojącego, co nie pasowało do gładkiej, dobroduszej twarzy. Jego jasnoblonde włosy wyglądały jak tlenione. Były mokre, drobno pobrużdżone widać dopiero co się cesał.

— Czy Peter Jamieson jest w szatni?

— Tak, ubiera się. Zajął pan mój fotel, ale nic nie szkodzi. Mogę posiedzieć tutaj. — Poklepał kafelki koło siebie. — Jest

pan jego gościem?

— Niezupełnie. Umówiliśmy się tutaj.

— Urządził sobie biegi na plaży. Powiedziałem mu, żeby z tym nie przesadzał. Trenować trzeba z umiarem.

— Od czegoś trzeba zacząć.

— Niby tak. Ja tam nie biegam za dużo. To psuje muskulaturę. — Z beznamiętną dumą zlustrował brązowe mięśnie swoich piersi i ramion. — Chcę wyglądać na typowego kalifornijskiego ratownika.

— Wyglądasz.

— Dziękuję. Wkładam w to dużo czasu i energii. Najlepszy jest surfing. Wziąłem tę pracę głównie, ze względu na znakomite warunki do surfingu. Bo w ogóle to chodzę do college'u.

— Jakiego?

— Miejscowego. Do college'u stanowego w Montevíscie.

— Kto tu prowadzi romanistykę?

— Nie mam pojęcia. Studiuję reklamę i handel nieruchomościami. To pasjonujące. — Przypominał mi owe blondyneczki nie grzeszące intelektem, od których się roiła Kalifornia za moich młodych lat. Teraz za ich przykładem szli chłopcy. — Chce się pan uczyć francuskiego?

— Nie, mam tylko kilka pytań.

— Pan Martel jest Francuzem. Może on by panu mógł odpowiedzieć.

— A jest tutaj?

— Tak, przed chwilą z nim rozmawiałem. Mówi po angielsku jak pan czy ja.

Wskazał pokój na końcu tarasu pierwszego piętra, najbliżej morza. Przez rozsunięte drzwi dostrzegłem mężczyznę kręcącego się w cieniu opuszczonej markizy. Przenosił sterty różnokolorowych rzeczy.

— Wyprowadza się — wyjaśnił ratownik. — Zaofiarowałem się z pomocą, ale nie chciał, żebym grzebał w jego rzeczach.

— Wyjeżdża?

— W każdym razie zwalnia pokój. Szczyt wszystkiego, że mi zostawia całe umeblowanie. Wprawdzie to tylko meble

ogrodowe, ale prawie nowe. Musiały go kosztować prawdziwą fortunę. Będą wspaniale wyglądały w moim pokoju, bo jak dotąd mam tylko śpiwór. Wydaję wszystko na auta.

— Auta?

— Tak, mam kombi na wypadki surfingowe i do spółki z kumplem wóz sportowy na dalsze wyjazdy. To ogromna oszczędność czasu.

Chłopak mógł doprowadzić do rozpacz. Nieszczęście, że się ostatnio namnożyło takich jak on, neoprymitywnych młodych ludzi, którzy jakby nie należeli do współczesnego świata. Z zaskoczeniem uświadomiłem sobie, że kto wie, czy nie są do niego lepiej przystosowani ode mnie. Pędzą na plażach żywot szczęśliwych dzikusów, a komputery i programiści podejmują za nich decyzje i wykonują lwią część pracy.

— Czemu pan Martel zwalnia pokój? To chyba dobry pokój?

— Najlepszy. Widać z niego cały brzeg, aż do rafy, gdzie wszyscy jeżdżą na surfing. — Wyciągnął muskularne ramię. — Pan Martel często siedział na tarasie i przyglądał się godzinami. Powiedział mi kiedyś, że sam za młodu uprawiał surfing.

— A nie powiedział gdzie?

— Chyba na tej rafie.

— Był tu już kiedyś?

— Czy ja wiem? Nie za moich czasów.

— Nie wiesz także, dlaczego zwalnia pokój?

— Nie podoba mu się tutaj. Wiecznie miał o coś pretensje. Na przykład, że w basenie jest słodka woda. Uważał, że powinna być słona. No, i miał zatargi z niektórymi członkami klubu. — Nagle zamilkł. W jego umyśle zderzyły się dwa fakty i skrzesały iskłę. — Niech pan tylko nie wspomina Peterowi, że dostałem te meble. Byłby wściekły.

— Dlaczego niby byłby wściekły?

— Jest jednym z tych, którzy mieli zatargi z panem Martelem. Parę razy o mało nie doszło do bójki.

— O Wirginię Fablon?

— Wie pan wszystko?

— Nie, nie wiem.

– Więc lepiej, żebym panu nie mówił. Jeszcze dojdzie do Petera i dostanie mi się za rozpuszczanie plotek o członkach klubu.

Zmieszał się, że już mi za dużo powiedział. Od dalszej indagacji wybawiła go jedna z brydzystek wołając z drugiego końca basenu:

– Stan, nie przyniósłbyś nam czterech kaw? Bez śmietanki.

Chłopak się podniósł i powłókł leniwie do bufetu.

Włożyłem ciemne okulary i w ich nienaturalnym półcieniu wszedłem na piętro. Skierowałem się ku drzwiom na końcu tarasu. Pośrodku pokoju Martela stał trzcinowy stół ze stertą rzeczy. Były tu męskie i damskie kostiumy i szlafroki kąpielowe oraz utensylia plażowe, płetwy i maski do nurkowania, butelki bourbona i brandy, grzałka elektryczna i bambusowa laska. Z jednej z dwu przebieralni w głębi wyszedł Martel z miniaturowym telewizorem, który postawił na stole.

– Wyprowadza się pan?

Spojrzał na mnie przenikliwie. Tym razem ja byłem w okularach przeciwsłonecznych, on bez. Oczy miał ciemne i połyskliwe, zdawało się w nich ogniskować całe napięcie jego ciemno-połyskliwej twarzy. Długi, lekko zakrzywiony nos nadawał mu dociekliwy i jakby nieco apodyktyczny wygląd. Nic nie wskazywało, by mnie poznał.

– Jeśli nawet, to co? – zapytał podejrzliwie.

– Myślałem, że może mógłbym zająć ten pokój.

– Wykluczone. Wynająłem go na cały sezon.

– Ale jeśli nie będzie pan z niego korzystał?...

– To jeszcze nie powiedziane.

Mówił bardziej do siebie niż do mnie. Jego mroczne spojrzenie pobiegło nad moim ramieniem wzdłuż linii brzegu. Odwróciłem się, by popatrzeć za jego wzrokiem. Niebieskie fale załamywały się białą o rafę. Nieco dalej kilkunastu chłopców kłęczało na deskach surfingowych jak wyznawcy nieznanego kultu.

– Uprawiał pan kiedyś surfing?

– Nie.

– Tylko nurkowanie? Bo widzę, że ma pan sprzęt płetwonurka.

— Tak, trochę nurkuję.

Wsluchiwałem się uważnie w jego głos. Cudzoziemski akcent był znacznie trudniej uchwytny niż w sprzeczce z Harrym Hendricksem i Martel nie wtrącał teraz francuskich słów. Fakt, że wówczas był podenerwowany.

— Nurkował pan kiedyś w Morzu Śródziemnym? Podobno płetwonurkowanie stamtąd się wywodzi.

— Owszem, nurkowałem. I rzeczywiście stamtąd się wywodzi. Jeśli pan chce wiedzieć, urodziłem się we Francji.

— Gdzie we Francji?

— W Paryżu.

— Tak? Byłem w Paryżu podczas wojny.

— Mnóstwo Amerykanów było — odrzekł sucho. — Przepraszam, ale muszę się zająć rzeczami.

— Może panu pomóc?

— Nie, dziękuję. Do widzenia.

Uklonił się sztywno. Idąc wzdłuż tarasu, starałem się uporządkować swoje wrażenia. Kruczoczarne włosy, jędrna gładka skóra i nie stępiony blask oczu kazały go oceniać najwyżej na trzydzieści lat. Ale była w nim powściągnięta siła i pewność siebie starszego mężczyzny. Nie wiedziałem, co o nim myśleć.

Znalazłem zejście do labiryntu szatni na parterze. Było już po szkole i kotłowała się tu zgraja chłopców okładając się ręcznikami po nogach, obrzucając chełpliwymi pogróżkami i wybuchając szyderyczym śmiechem. Kazałem im się uciszyć. Poczekali, aż się oddalę, i wybuchnęli jeszcze przeraźliwszym rechotem.

Peter wiązał krawat przed zaparowanym lustrem. Dostrzegłszy moje odbicie obrócił się z uśmiechem, pierwszym, który widziałem na jego twarzy. Był zaróżowiony, promieniał.

— Nie wiedziałem, że pan tu jest. Biegałem na plaży.

— Świetnie — odparłem. — Rozmawiałem przed chwilą z Martelem. Wyprowadza się z klubu. Niewykluczone, że się szykuje do wyjazdu.

— Z Ginny?

— Nie uważałem za wskazane pytać. W normalnej sytuacji w

ogóle bym nie ryzykował bezpośredniej rozmowy. To nie najlepsza metoda. Ale zdaje się, że zostało nam niewiele czasu.

Peter zagryzł wargi. Uśmiech już przed chwilą zniknął z jego twarzy.

— Myślałem, że pan znajdzie sposób, żeby go zatrzymać.

— Jeszcze nie zrezygnowałem. Bieda w tym, że nie bardzo wiem, o co pytać. Nigdy nie byłem we Francji, a całą szkolną francuszczyznę już dawno zapomniałem.

— Ja też. Na pierwszym roku chodziłem wprawdzie na francuski do profesora Tappingera, ale mi nie zaliczył.

— Czy to było tu, w Monteviście?

— Tak. — Poczul się w obowiązku wyjaśnić, że nie dostał się do Princeton, bo miał za słabe stopnie. — Ale ukończyłem w zeszłym roku college stanowy.

— A Ginny miała ukończyć w tym?

— Tak. Przerwała na parę lat studia. Pracowała jako recepcjonistka w klinice doktora Sylvestra, ale jej się znudziło i w zeszłym roku wróciła do college'u.

— Czy ten Tappinger uczył i ją?

— Tak, prowadzi większość zajęć na romanistyce.

— Czy to dobry specjalista?

— Ginny twierdzi, że tak. Była jedną z jego najlepszych studentek.

— Wobec tego powinien nam pomóc.

Poleciłem Peterowi, żeby się z nim umówił, o ile możliwości jeszcze na dzisiaj, i uzgodniłem, że się spotkamy za chwilę na parkingu. Nie chciałem, żeby Martel nas widział wychodzących razem.

6

— Pan Jamieson przed chwilą wyszedł — poinformowała mnie recepcjonistka w hallu. — Nie rozumiem, jak się panowie mogli rozminąć.

Miała starannie modulowany głos i była szczerze zmartwiona, żeśmy się nie spotkali. Przyjrzałem jej się bliżej. Była

przygaszoną młodą kobietą w brązowym tweedowym kostiumie. Interesującą owalną twarz otaczały czarne włosy. Była za bardzo umalowana, ale to się mogło łączyć z jej obowiązkami zawodowymi.

– Rozmawiałem z panem Jamiesonem w szatni. Tylko niech pani nikomu nie mówi.

– Komu miałabym mówić?

– Może panią ktoś pytać.

– Nie mam zwyczaju wdawać się w rozmowy o członkach ani gościach klubu. Zresztą zapomniałam, jak pan się nazywa.

– Archer. Lew Archer.

– Ella Strome. – Tabliczka na jej biurku precyzowała: „Pani Ella Strome. Sekretarka”. Zauważyła, że rzuciłem okiem na napis, i dodała wyjaśniająco: – Nie jestem już mężatką.

– Ja też nie jestem żonaty. O której pani wychodzi na obiad?

– Dzisiaj w ogóle nie. Mamy wieczorem zabawę. Ale dziękuję.

– Nie ma za co.

Peter czekał na mnie w swojej Corvetcie przy kortach tenisowych. Parking otaczała zwarta zielona ściana drzew eukaliptusowych i w powietrzu wisiał ich lekko apteczny zapach. Tylko jeden z pół tuzina kortów był zajęty. Trener w koszulce z napisem „Klub Tenisowy” pokazywał bardzo małej dziewczynce, jak serwować, pod okiem jej matki, która się przyglądała zza linii autowej.

– Profesora Tappingera nie ma ani w domu, ani w college’u

– poinformował mnie Peter. – Żona przypuszcza, że jest w drodze do domu.

– Nawet dobrze się składa. Skorzystam, żeby porozmawiać z panią Bagshaw. Podobno mieszka w klubie?

– Wynajmuje jeden z domków.

Zrobił gest w kierunku eukaliptusów w głębi parkingu.

– Rozmawiałeś z nią o Martelu?

– Nie.

– Ale ją znasz?

– Nie za dobrze. Znam wszystkich w Montevíście – dodał bez entuzjazmu. – I chyba wszyscy mnie znają.

Minąłem gaj eukaliptusowy i przez furtkę w płocie z kołków wszedłem na rozległy trawiasty teren, przylegający do ogrodzenia basenu. Stało tu w luźnym szyku kilkanaście szaro tynkowanych domków, osłoniętych od wzroku sąsiadów murkami patiów i ukwieconymi żywopłotami. Mały Meksykanin w kombinezonie koloru khaki zraszał krzewy gumowym węzem.

— *Buenos días* — powiedziałem.

— Piękny dzień — odparł z błyskiem białych zębów i skierował strumień wody w niebo jak fontannę. — Szuka pan kogoś?

— Pani Bagshaw.

— Tamten domek. — Wskazał dach częściowo ukryty w chmurze fioletowych bugenwilli. — Wróciła parę minut temu.

Okazało się, że pani Bagshaw jest jedną z brydzystek znad basenu, tą, która posłała Stana po kawę. Była żywą kobietą koło siedemdziesiątki.

— Czy to nie pan rozmawiał przed chwilą ze Stanem? — zapytała, ledwo otworzywszy drzwi.

— Tak, ja.

— A potem z panem Martelem?

— Tak.

— A teraz przychodzi pan do mnie. Ciekawa marszruta. — Potrząsnęła siwymi lokami. — Nie wiem, czy mam się czuć mile połączona, czy zakłopotana.

— Ani jedno, ani drugie, proszę pani. Nazywam się Archer. Jestem detektywem prywatnym, jak pani się pewno domyśla.

Wprowadziła mnie do saloniku, w którym było za dużo mebli. Na podłodze leżał tak wspaniały wschodni dywan, że się zawahałem, nim postawiłem na nim nogę. Pani Bagshaw spostrzegła moje wahanie.

— Nie pasuje do tego domku. Ale nie mogłam się z nim rozstać. — Nie zmieniając tonu ciągnęła: — Niech pan siada. Przypuszczam, że oddaje się pan najmodniejszemu sportowi miejscowemu: wścibianiu nosa w prywatne sprawy pana Martela.

— To mój zawód, nie sport, proszę pani.

- Kto pana tu ściągnął? – zapytała bezceremonialnie.
- Miejskowa rodzina.
- Marietta Fablon?
- Owszem, pani Fablon interesuje się moimi dochodzeniami.
- Dochodzenia to zbyt piękne słowo na to, co pan robi. Wypędza pan pana Martela z miasta. Czy o to chodziło?
- Nie.
- Nie jestem taka pewna. Bo wyjeżdża, wie pan? Nie minął kwadrans, jak mi to sam powiedział.
- Czy Ginny Fablon wyjeżdża z nim?
- Opuściła wzrok na kolana.
- O pannie Fablon nie było mowy. Ginny ma dwadzieścia cztery lata... ja w tym wieku byłam od pięciu lat mężatką... i nie potrzebuje opieki, potrafi sama decydować o swojej przyszłości.
- Jej głos, który się załamał na chwilę, odzyskał swoją siłę. – Lepiej niż większość młodych kobiet, jeśli pan chce wiedzieć.
- Więc uważa pani, że Ginny z nim wyjeżdża?
- Nie wiem. Ale jest jeszcze wolność w tym kraju.
- Tak, tylko żeby z niej właściwie korzystać, trzeba wiedzieć, z kim i z czym się ma do czynienia. Bez znajomości faktów nie można podejmować wiążących decyzji.
- Potrząsnęła siwymi lokami. Jej twarz pozostała niewzruszona jak skała.
- Nie potrzebuję pańskich kazań. To ja wprowadziłam pana Martela do... w tutejsze towarzystwo i nie żałuję tego. Lubię go. Istotnie, nie mogę panu przedstawić jego drzewa genealogicznego, ale nie wątpię, że jest dobre. To najbardziej dystyngowany Francuz, jakiego zdarzyło mi się spotkać.
- Więc jest Francuzem?
- Czy mogą być co do tego wątpliwości?
- Zawsze mogą, dopóki nie zostaną ustalone fakty.
- A pan uważa się za arbitra powołanego do ustalania faktów?
- Prowadząc sprawę muszę z natury rzeczy uzurpować sobie do tego prawo.
- Była to dosyć ostra wymiana zdań, która wprawiła panią Bagshaw w gniew. Dla dania mu ujścia roześmiała mi się w

twarz.

— Nie brak panu tupetu.

— Muszę nadrabiać miną. Niestety jak dotąd nie doprowadziło mnie to do niczego.

— Bo nie ma do czego. Z faktu, że pan Martel wygląda inaczej niż wszyscy, nie wynika jeszcze, że w jego przeszłości kryje się jakaś wstydliva tajemnica. Kłopot z ludźmi jest tutaj prosty. Nie mają nic do roboty, więc piorą brudy bliźnich jak wiejskie baby. A jak im nie dość prawdziwych brudów, obrzucają ludzi błotem.

Czułem, że jest niezbyt pewna swego — inaczej nie mówiłaby tak dużo i tak gładko. Poczowała się do odpowiedzialności.

— Wyrzebał pan coś przeciwko panu Martelowi? — rzuciła w ciszę, która zaległa między nami.

— Właściwie nie. Jak dotąd nic.

— Znaczy, że spodziewa się pan coś znaleźć?

— Nie wiem. W jaki sposób pani go poznała? Przez pośrednika mieszkaniowego?

— Nie, mamy wspólnych znajomych.

— Tu, w Monteviscie?

— W Waszyngtonie. Ściślej mówiąc, w Georgetown. Mieszkaliśmy tam, dopóki mój mąż był w czynnej służbie.

— I tam pani poznała Martela?

— Tego nie powiedziałam. Jest znajomym naszych dawnych sąsiadów, państwa... — Zawahała się, obrzuciła mnie powątpiewającym spojrzeniem. — Wolę nie wymieniać nazwiska.

— Bardzo by mi to pomogło.

— Nie. To bardzo kulturalni i wrażliwi ludzie. Nie chcę ich narażać na takie przyjemności.

— Martel się na nich powołuje. Może sobie tego nie życzą? Może go w ogóle nie znają?

— O to jestem spokojna.

— Dali mu list polecający?

— Nie.

— Więc ma pani tylko jego słowo?

— Zdaje się... zdawało mi się, że to dosyć. Opowiadał o nich dużo i z przekonaniem. — Ale jej wątpliwości się pogłębiały i

umacniały, podważając jej zaufanie do własnego sądu. – Czy pan rzeczywiście przypuszcza, że jest jakimś naciągaczem?

– Nie wykluczam takiej możliwości. Próbuję panią na nią uczulić.

– I wydusić ze mnie nazwisko – nie ustępowała.

– Obejdę się bez niego, jeśli mi pani zechce pomóc.

– W jaki sposób?

– Niech pani zadzwoni do swoich waszyngtońskich przyjaciół i zapyta, co wiedzą o Martelu.

Uniosła głowę.

– Może to i dobra myśl.

– Bardzo panią o to proszę. To jedyny konkretny trop, jaki mam.

– Dobrze. Zadzwonię jeszcze dzisiaj.

– Będę mógł się wieczorem dowiedzieć o wyniki?

– Chyba tak.

– Przepraszam, jeśli panią wyprowadziłem z równowagi.

– Nie wyprowadził pan. To w gruncie rzeczy problem moralny. Czy postąpiłam słusznie, czy nie? Chociaż oczywiście gdybyśmy chcieli z góry rozważać potencjalne konsekwencje wszystkiego, co robimy, to przestalibyśmy cokolwiek robić.

– Jak prędko Martel wyjeżdża?

– Zaraz. Dziś, jutro.

– Nie mówił, dlaczego?

– Nie, jest bardzo powściągliwy. Ale ja wiem, dlaczego.

Wszyscy go tu podejrzewają. Nie zaprzyjaźnił się z nikim.

– Oprócz Ginny.

– O Ginny nie było mowy.

– Ani o tym, dokąd jedzie?

– Nie.

Peter czekał na mnie przy furtce w płocie z kołków, z wiadomością, że profesor Tappinger jest w domu i przyjmie nas.

Tappinger mieszkał w mieście portowym przylegającym do Montevisty, na zaniedbanej uliczce, której jedyną ozdobą był widok na ocean. Ciężkie czerwone słońce zniżyło się już prawie do horyzontu i jego odbicie rozlewało się po wodzie jak plama ognia.

Domek Tappingera, poza tym, że był tynkowany na zielono, stanowił dokładną kopię co trzeciego domu w sąsiedztwie. Porozrzucane wrotki i rowerki na dwóch i trzech kółkach czyniły z betonowej dróżki prowadzącej do drzwi istny tor przeszkód. Otworzyła nam dziewczynka może sześć - czy siedmioletnia. Była ostrzyżona na pazia, miała olbrzymie badawcze oczy.

— Tatuś powiedział, że mogą panowie wejść do pracowni.

Poprowadziła nas przez salon, który wyglądał jak stratowany, do kuchni, w której obierała kartofle młoda kobieta, pochylona nad zlewem w pasywno-agresywnej postawie. Może trzyletni chłopczyk stukał ją głową w nogi, zanosząc się śmiechem. Kobieta nie zwracała na niego najmniejszej uwagi, nas też właściwie zignorowała. Miała najwyżej trzydziestkę i była przystojna, z dziewczęcym końskim ogonem i błękitnymi oczami, którymi zmierzyła mnie chłodno od stóp do głów.

— Jest w pracowni — powiedziała wskazując łokciem drzwi w głębi.

Prowadziły one do przerobionego garażu o ścianach zabudowanych półkami na książki. Nad stołem zasłanym papierami i pootwieranymi książkami wisiała na łańcuszku jarzeniówka. Profesor siedział do nas tyłem. Nie odwrócił się, gdy Peter do niego przemówił. Dawał nam do zrozumienia, że przerywamy mu intensywną pracę umysłową.

— Panie profesorze? — powtórzył Peter.

— Słyszę. — W jego głosie było zniecierpliwienie. — Dajcie mi, panowie, minutkę. Usiłuję skończyć zdanie.

Podrapał się tępym końcem pióra w głowę i jał coś spieszenie gryzmolić. Jego miedziano-rude włosy były na skroniach przyprószone siwizną. Kiedy w końcu wstał, okazało się, że jest niskim mężczyzną, co najmniej o dziesięć lat starszym od swojej przystojnej żony. Był chyba kiedyś równie przystojny,

miał subtelne usta i regularne rysy. Teraz jednak wyglądał jak po ciężkiej chorobie, której wspomnienie przyczaiło się w oczach ukrytych za okularami do czytania. Uściśnął nam chłodno dłonie.

— Witam pana. Jak się masz, Peter? Przepraszam, że kazałem panom czekać. Chwytam każdą chwilę w Bergsonowskim strumieniu czasu. Przy dwunastu godzinach zajęć tygodniowo, z rozlicznymi przygotowaniami, jakich to wymaga, niełatwo jest cokolwiek napisać. Zazdroszczę Flaubertowi luksusu spędzania całych dni na szukaniu właściwego słowa, *le mot juste*...

Wyglądało, że ma zawodowy zwyczaj mówienia non stop. Przerwałem mu:

— Nad czym pan pracuje?

— Nad książką, w miarę, jak mi czas pozwala. Zajmuję się wpływami francuskimi we współczesnej literaturze amerykańskiej. Ślęczę obecnie nad tylekroć walkowanym problemem Stephena Crane'a. Ale cóż to pana obchodzi? Peter mówi, że jest pan detektywem.

— Tak. Zbieram informacje o niejakiem Francisie Marcelu. Nie natknął się pan przypadkiem na niego?

— Nie wydaje mi się. Ale to interesujące nazwisko. Jedno z historycznych nazwisk francuskich.

— Martel podaje się za Francuza. Za uchodźcę politycznego.

— Ile ma lat?

— Ze trzydzieści. — Opisałem go: — Średniego wzrostu, ruchliwy, elegancki. Czarne oczy, czarne włosy, smągła cera. Mówi z francuskim akcentem, chwilami bardzo wyraźnym, chwilami mniej.

— I pan uważa, że to robione?

— Nie wiem. Jeżeli się stroi w cudze piórka, to udało mu się wprowadzić w błąd mnóstwo ludzi. Chciałbym ustalić, kim i czym naprawdę jest.

— Prawda to rzecz względna — powiedział Tappinger sentencjonalnie. — I co? Chce pan, żebym posłuchał jego francuszczyzny i orzekł, czy jest rodowitym Francuzem?

Mówił półżartem, ale potraktowałem to jak najbardziej serio:

— Ba, gdyby to było możliwe. Ale Martel zbiera się do odjazdu. Więc pomyślałem, że może zechciałby mi pan zasugerować parę pytań, na które potrafi odpowiedzieć tylko wykształcony Francuz.

— Rodzaj testu, tak?

— Z odpowiedziami.

— Można o czymś takim pomyśleć. Na kiedy panu to potrzebne? Na jutro?

— Zaraz.

— To po prostu niemożliwe.

— On gotów lada chwila wyjechać.

— Nic na to nie poradzę! — Tappinger podniósł głos jak rozhisteryzowana baba. — Muszę dzisiaj poprawić czterdzieści prac. Te urzędasy z college’u nie chcą mi dać choćby jakiegoś absolwenta do pomocy. Nie mam czasu dla własnych dzieci...

— Trudno — powiedziałem. — Poradzimy sobie bez tego. Może to w ogóle nie najlepszy pomysł.

— Ależ musimy coś zrobić — wtrącił się Peter. — Chętnie za to zapłacę, panie profesorze.

— Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Chcę tylko dysponować własnym czasem, to wszystko.

Tappinger już niemal krzyczał. Drzwi od kuchni się otworzyły i zajrzała jego żona. Twarz miała ułożoną w wyraz troski, który? jednak robił wrażenie nieco stępionego przez częste użycie.

— Co się stało, tatuśku?

— Nic! I nie nazywaj mnie tatuśkiem. Nie jestem wiele starszy od ciebie.

Uniosła jedno ramię gestem fizycznej wzgardy i zwróciła pytające spojrzenie na mnie.

— Stało się coś?

— Po prostu działamy pani mężowi na nerwy. Nie w porę przyszliśmy.

Tappinger zwrócił się do żony spokojniejszym tonem:

— To ciebie nie dotyczy, Bess. Chcą, żebym przygotował kilka pytań dla sprawdzenia francuszczyzny pewnego podejrzanego typu.

— I to wszystko?

– Wszystko.

Zamknęła za sobą drzwi. Tappinger obrócił się do nas.

– Przepraszam, że się uniosłem. Głowa mnie boli. – Przycisnął dłoń do bladego wypukłego czoła. – Napiszę to panom od ręki. Straciłem dwa razy tyle energii na rozprawianie o tym. Tylko nie rozumiem tego całego pośpiechu.

– Martel chce zabrać z sobą Ginny – powiedział Peter. – Musimy go powstrzymać.

– Ginny?

Tappinger zrobił zaskoczoną minę. Obróciłem się do Petera.

– Myślałem, że panu wyjaśniłeś.

– Próbowałem, ale nie chciał słuchać przez telefon. – Zwrócił się do Tappingera: – Pamięta pan Wirginię Fablon, panie profesorze?

– Oczywiście, że pamiętam. Jest w to wmieszana?

– Jeszcze jak. Chce wyjść za Martela.

– A ty się w niej kochasz, o to chodzi?

Peter się zaczerwienił.

– Tak, ale nie robię tego z egoistycznych pobudek. Ginny nie zdaje sobie sprawy, na co się naraża.

– Powiedziałeś jej to?

– Usiłowałem, ale jest zadurzona w Martelu. Rzuciła dla niego studia.

– Naprawdę? A ja myślałem, że choruje. Mówili mi jej koledzy.

– Nic jej nie jest. To wszystko jego wina.

– A Wirginia wierzy, że Martel jest Francuzem?

– Kupił ją zupełnie – odparł Peter.

– W takim razie chyba jest Francuzem. Wirginia opanowała nad podziw francuski.

– Może być równocześnie Francuzem i hochsztaplerem – wtrąciłem. – Chodzi także o stwierdzenie, czy jest wykształconym arystokratą, za jakiego się podaje.

Na twarzy Tappingera pojawiło się po raz pierwszy zainteresowanie.

– To powinno się dać zrobić. Spróbujmy. – Usiadł przy biurku zawalonym papierami i chwycił za pióro. – Niech

panowie mi zostawią dziesięć minut.

Wróciliśmy do salonu. Pani Tappinger wyszła za nami z kuchni, z trzylatką deptającą jej po piętach.

— Czy tatuškowi nic nie jest? — zapytała głosem małej dziewczynki, tak cienkim i słodkim, że brzmiał jak autoparodia.

— Chyba nie.

— Jest od roku w nie najlepszej formie. Odmówili mu nominacji na profesora zwyczajnego. To był dla niego wielki cios. Odbija sobie to na... na wszystkich. Głównie na mnie.

Zrobiła ten sam wzgardliwy ruch jednym ramieniem, lecz tym razem wzgarda zdawała się skierowana przeciwko niej samej.

— Ależ, proszę pani — powiedział Peter. — Pan profesor już przeprosił.

— To ładnie. Normalnie nie przeprasza. Szczególnie jeśli chodzi o członków rodziny.

Miała na myśli siebie. Szukała okazji do zwierzeń, a osobą, której się chciała zwierzyć, byłam ja. Ukradkowe spojrzenia jej błękitnych oczu, opuszczone kąciki ust, przegięcie ciała opartego o framugę drzwi, wszystko to mówiło dobitniej niż słowa, że jest królową uwięzioną w domku chylącym się ku ruinie, z rozkapryszonym profesorem, który nie dostał oczekiwanej nominacji. Malec stuknął ją głową, napinając kreton sukienki na jej krągłych udach.

— Jest pani piękną kobietą — powiedziałem korzystając z obecności Petera jako przyzwoitki.

— Byłam jeszcze ładniejsza, kiedy za niego wychodziłam dwanaście lat temu.,

Zrobiła biodrem ruch w kierunku pracowni. Potem wzięła malca na ręce i wyniosła go do kuchni jak pokutne brzemie.

Na ogół nie gustuję w mężatkach z małymi dziećmi, ale ta kobieta mnie zaintrygowała. Rozejrzałem się po jej salonie. Był obskurny, z przetartym dywanem i poobijanymi klonowymi meblami. Ściany miał niemal bez reszty wytapetowane reprodukcjami postimpresjonistów, majakami doskonale promiennego świata.

Zachód za oknem szedł o lepsze z promiennością Van Goghów

i Gauguinów w salonie. Słońce płonęło jak brander na wodzie, tonąc powoli, aż pozostał tylko pióropusz czerwonego dymu na niebie. Do portu wchodził kuter rybacki, czarny i zagubiony na tle ogromnego zachodu. Nad jego połyskliwym kilwaterem kołowało kilka mew jak spopielające iskry.

– Boję się o Ginny – powiedział Peter za moim ramieniem.

Też się o nią bałem, ale wolałem tego nie mówić głośno. Jak żywy stanął mi przed oczami moment, gdy Martel ni z tego, ni z owego wymierzył pistolet w Harry’ego Hendricksa, choć wówczas wydawało mi się to niezbyt realne. W zestawieniu z tym, pomysł egzaminowania Martela z kultury francuskiej wydał mi się teraz lekko absurdalny.

Przez drzwi frontowe wszedł rudy chłopiec, może jedenastoletni. Przedfilował z ważną miną do kuchni i oznajmił matce, że idzie do sąsiadów na telewizję.

– Nigdzie nie pójdziesz. – Jej ostry macierzyński ton był biegunowo różny od sposobu, w jaki przemawiała do męża i do mnie. – Siedź w domu. Niedługo będzie obiad.

– Umieram z głodu – powiedział do mnie Peter.

Chłopiec zapytał matkę, dlaczego w domu nie ma telewizora.

– Z dwóch powodów. Mówiliśmy o tym wiele razy. Po pierwsze, tatuś nie uznaje telewizji. Po drugie, nie stać nas na to.

– A kupujecie ciągle książki i płyty – odparł chłopiec. – Telewizja jest o wiele lepsza.

– Czyżby?

– O całe niebo lepsza. Jak się dorobię własnego domu, będę miał kolorowy telewizor w każdym pokoju. Będziesz mogła przychodzić i oglądać – zakończył łaskawie.

– Może i skorzystam.

Drzwi od garażu-pracowni otworzyły się przerywając dyskusję. Do salonu wkroczył profesor Tappinger powiewając arkušem papieru w każdej ręce.

– Pytania i odpowiedzi – oznajmił. – Ułożyłem pięć pytań, na które powinien odpowiedzieć wykształcony Francuz. Wątpię, żeby potrafił odpowiedzieć ktokolwiek inny, może z wyjątkiem absolwenta romanistyki. Odpowiedzi są bardzo

proste, tak że będzie je pan mógł sprawdzić bez specjalnej znajomości francuskiego.

– To świetnie. Nie przeczytałby pan, panie profesorze?

Zaczął czytać na głos:

– Pytanie pierwsze: Kto napisał oryginalną wersję „Niebezpiecznych związków” i kto nakręcił zmodernizowaną wersję filmową? Odpowiedź: Oryginał napisał Choderlos de Laclos, film nakręcił Roger Vadim. Pytanie drugie: Uzupełnij następujący cytat: „*Hypocrite lecteur...*” Odpowiedź: „*Hypocrite lecteur, mon semblable, mon frere*”, ze wstępnego wiersza „Kwiatów zła” Baudelaire’a. Pytanie trzecie: Podaj nazwisko wielkiego malarza francuskiego, który uważał, że Dreyfus jest winien. Odpowiedź: Degas. Pytanie - czwarte: Jaki gruczoł jest według Descartes’a siedzibą duszy ludzkiej? Odpowiedź: Szyszynka. I pytanie piąte: Kto się najbardziej przyczynił do wydostania Jeana Geneta z więzienia? Odpowiedź: Jean-Paul Sartre. Czy o coś takiego panu chodziło?

– Tak, tylko to może zbyt jednostronne. Czy nie powinno się tu znaleźć także coś z historii i polityki?

– Nie zgadzam się. Jeśli ten człowiek jest oszustem podszywającym się pod uchodźcę politycznego, to się obkuł przede wszystkim z polityki i historii. Moje pytania są subtelniejsze, dotyczą dziedzin, których musiałby się kuć latami. – Oczy mu zabłysły. – Chętnie zadałbym mu te pytania osobiście.

– Dobrze by było. Ale to może być niebezpieczne.

– Serio?

– Martel groził dzisiaj komuś pistoletem. Załatwię to lepiej sam.

– Ale nie beze mnie – powiedział Peter. – Jadę z panem bez względu na wszystko.

Tappinger wyprowadził nas aż przed dom, jakby chcąc zrekompensować swoją wcześniejszą nieuprzejmość. Chciałem mu zaproponować wynagrodzenie, pięć czy dziesięć dolarów, ale po namyśle postanowiłem nie ryzykować. Mogłoby mu to przypomnieć, że potrzebuje pieniędzy, i wywołać nowy wybuch gniewu.

Ruszyliśmy w głąb łądu, Peter w swojej Corvecie pierwszy, ja w swoim wozie za nim. Nadbrzeżne wzgórza tonęły już do połowy w granatowym górskim mroku. Na zboczach rozsiane były tu i ówdzie światełka, migotliwe jak wieczorne gwiazdy. Jedno z nich świeciło w domu Martela.

Peter zatrzymał się tuż przed skrzynką na listy. Nazwisko wymalowane na niej szablonem połyskiwało czarno w świetle reflektorów: „Hiram Bagshaw, generał major w stanie spoczynku”. Peter zgasił reflektory i jął się gramolić z wozu.

Nagle wieczorna cisza pękła jak kryształ. Od strony domu dobiegł wysoki, cienki, wibrujący krzyk. Mógł to być krzyk pawia lub dziewczyny. Peter rzucił się ku mnie.

— To Ginny! Słyszał pan?

— Coś słyszałem.

Próbowałem go przekonać, żeby poczekał w swoim wozie, ale uparł się jechać ze mną.

Dom Bagshawów był solidną budowlą z kamienia i szkła, usytuowaną na parapecie wyżłobionym w zboczu kanionu. Reflektor nad drzwiami oświetlał jasno podjazd z kamiennych flizów, na którym stał czarny Bentley. Drzwi wejściowe były otwarte. Peter ruszył w ich stronę, ale go powstrzymałem.

— Wolnego. Chcesz się dać zastrzelić?

— Ginny to moja dziewczyna — odparł wbrew oczywistym faktom.

Jak na zawołanie w drzwiach ukazała się Ginny. Była w popielatym kostiumie podróżnym. Miała chwiejne ruchy i nieco błędny wzrok, jakby już odbyła zbyt długą i forsowną podróż. Jej twarz sprawiała wrażenie szarej i porowatej, może wskutek jaskrawego światła padającego z góry. Ale wobec jej urody — kształtu głowy, linii policzka i brody, wykroju ust — wszystko inne stawało się nieważne. Zatrzymała się na betonowym ganku, w pozie dystygowanej rezygnacji. Peter podszedł i chciał ją objąć ramieniem, ale się wywinęła.

– Mówiłam ci, żebyś tu nie przyjeżdżał.
– To ty krzyczałaś, prawda? Zrobił ci krzywdę?
– Głupi jesteś. Zobaczyłam szczura. – Obróciła w moją stronę oczy pozbawione blasku. – Kim pan jest?
– Nazywam się Archer. Czy pan Martel jest w domu?
– Nie dla pana.
– Mimo to niech mu pani powie, że chcę z nim porozmawiać.
Nic więcej.

Obróciła się do Petera.

– Proszę cię, idź sobie i zabierz tego pana. Nie macie prawa nas nachodzić. – Wykrzesła z siebie iskrę gniewu: – Jak sobie nie pójdziesz, to się do ciebie nie odezwę więcej słowem.

Jego nalana twarz stężała w jaskrawym świetle, jakby chciał wysiłkiem woli zetrzeć z niej piętno pospolitości.

– Trudno, Ginny. Bylebyś ty była bezpieczna.

– Jestem absolutnie bezpieczna ze swoim mężem – odparła obserwując z niewinną miną jego zaskoczenie.

– Wyszłaś za niego?

– Pobraliśmy się w sobotę. Nie byłam nigdy taka szczęśliwa

– oświadczyła bez śladu szczęścia na twarzy.

– Małżeństwo można anulować.

– Nic nie rozumiesz. Kocham swego męża. – Powiedziała to cicho, ale z taką zjadliwością, że Peter się wzdrygnął. – Francis jest mężczyzną, o jakim zawsze marzyłam. Nic na to nie poradzisz, więc lepiej się z tym pogódź.

– Dziękuję, *ma chérie*.

Był to Martel, ze swoim charakterystycznym akcentem. Widać czekał na efektowne wejście. Stał w drzwiach za Ginny i ujął ją za ramię. Jego smągła dłoń odcinała się od jasnopopielatego rękawa jej kostiumu prawie jak opaska żałobna.

Peter zagryzł wargi. Podszedłem bliżej. Bez względu na to, czy mąż Ginny był francuskim arystokratą, czy pospolitym oszustem, czy mętną mieszaniną jednego i drugiego, nie ulegało wątpliwości, że niebezpiecznie było z nim zaczynać.

– Gratuluję małżeństwa – powiedziałem możliwie bez ironii. Skłonił się, z dłonią na piersi.

— *Merci beaucoup.*

— Gdzie się odbył ślub?

— W kancelarii sędziego pokoju. Celebrował sam sędzia. To chyba zgodne z literą prawa?

— Miałem na myśli miejscowość.

— Czy to takie ważne? Zresztą każdy ma prawo do życia prywatnego. Ja bardzo cenię dyskrecję, a moja żona podziela to upodobanie.

Pochylił się z uśmiechem nad twarzą żony. Jego uśmiech zmienił wyraz, gdy po chwili podniósł wzrok na mnie. Był teraz szeroki, drwiący.

— Czy myśmy się nie spotkali dzisiaj w klubie?

— Owszem.

— On tu był już przedtem — poinformowała Ginny — kiedy ten facet chciał cię sfotografować. Siedział w jego samochodzie.

Martel wyminął żonę i zrobił parę kroków w moją stronę. Ciekaw byłem, czy i tym razem pojawi się w jego ręce pistolet. Ciekaw byłem również, jaka to ciemna ciecz pozostawiła odcisk połowy obcasa na stopniu ganku. Ta sama ciecz połyskiwała na prawym obcasie Martela.

— Można wiedzieć, kim pan jest, *monsieur*? I co pana upoważnia do zadawania mi pytań?

Powiedziałem mu swoje nazwisko.

— Jestem detektywem, zostałem zaangażowany do zadawania pytań.

— Przez niego?

Posłał Peterowi wzgardliwe spojrzenie.

— Tak jest — odrzucił Peter. — I nie przestaniemy panu deptać po piętach, dopóki się nie dowiemy, czego pan chce.

— Ja już mam to, czego chciałem.

Obrócił się do Ginny, z wyciągniętym ramieniem. Było to dość operowe, i to raczej z opery komicznej niż tragicznej. Brakowało tylko, żeby teraz na scenę wkroczyli poczciwi wieśniacy i rozpoczęli taniec weselny. Dla zakłócenia sielanki powiedziałem:

— Interesuje mnie w tej chwili jedna rzecz. Czy to krew na pańskim obcasie?

Spojrzał na swoje buty, potem szybko na mnie.

— Wcale bym się nie zdziwił.

Ginny podniosła dłonie z zakrzywionymi palcami do ust, jakby w gardle wzbierał jej jeszcze jeden pawi krzyk. Martel powiedział spokojnie i gładko:

— Moja żona przeraziła się szczura, jak panu już mówiła. — A więc słuchał. — Zabiłem go.

— Obcasem?

— Tak. — Tupnął o beton. — Uprawiam szermierkę. Jestem bardzo szybki w ruchach.

— Rzeczywiście musi pan być szybki. Można zobaczyć zwłoki?

— Trudno by je było znaleźć. Jeśli to w ogóle możliwe. Rzuciłem je w zarośla, na żer dla rysiów. Mamy tu mnóstwo dzikiej zwierzyny, prawda, *ma chérie*?

Ginny opuściła dłonie i potwierdziła. Patrzyła na Martela z mieszaniną szacunku i lęku. Jeśli to była forma miłości, to forma dość niezwykła. Ciszę przerwał Martel:

— Oboje z żoną lubimy dzikie zwierzęta.

— Z wyjątkiem szczurów.

— Tak, z wyjątkiem szczurów. — Posłał mi jeszcze jeden szeroki, chłodny uśmiech. Znad grymasu warg zdawały się grozić mi jego zimne oczy i wydatny nos. — Zostawi nas pan teraz w spokoju, mój panie? Wykazałem dużo cierpliwości, odpowiedziałem na wszystkie pańskie pytania. I niech pan będzie tak dobry zabrać jego.

Zrobił w stronę Petera taki ruch głową, jakby tęgi młodzieniec nie należał do rasy ludzkiej.

— Niech pan mu zada te pięć pytań — odezwał się Peter. — Na co pan czeka?

Martel uniósł brwi.

— Pięć pytań? Dotyczących mnie?

— Niebezpośrednio.

Teraz, gdy przyszedł na nie czas, pytania wydały mi się dziecinne, wręcz śmieszne. Komiczno-operowa nuta, na której krawędzi balansowała cała rozmowa, zaczynała grawitować ku operze buffo. Jaskrawo oświetlone podwórze, otoczone amfiteatrem kanionu, było jak scena, na której nie może się

wydarzyć nic realnego. Powiedziałem bez przekonania:

— Pytania dotyczą kultury francuskiej. Ponoć powinien na nie odpowiedzieć każdy wykształcony Francuz.

— A pan wątpi, że ja nim jestem?

— Ma pan okazję dowieść tego raz na zawsze. Więc jak? Spróbuj pan odpowiedzieć na te pytania?

Wzruszył ramionami.

— *Pourquoi pas?* Czemu nie?

Wydobyłem oba arkusze.

— Pytanie pierwsze: Kto napisał oryginalną wersję „Niebezpiecznych związków” i kto nakręcił zmodernizowaną wersję filmową?

— „Niebezpieczna związki”, „*Les Liaisons dangereuses*” – powiedział z namysłem po francusku. — Oryginał napisał Choderlos de Laclos, adaptacji filmowej dokonał Roger Vadim. O ile dobrze pamiętam, przy scenariuszu współpracował z Vadimem Roger Vailland. Czy to wystarczy, czy też mam streścić fabułę? Jest dość skomplikowana, z diaboliczną intrygą seksualną, demoralizowaniem maluczkich et cetera, et cetera.

Jego głos był sardoniczny.

— Nie będziemy w to wchodzić. Pytanie drugie: Uzupełnij następujący cytat: „*Hypocrite lecteur...*”

— „*Hypocrite lecteur, mou semblable, mon frère.*” Zakłamanym czytelniku, mój bracie, mój... *comment-a-dire?*... odpowiedniku?

Obrócił się do Ginny.

— Sobowtórze – poddała z bladym półuśmiechem. — To z samego początku „Kwiatów zła”.

— Mogę panu zadekklamować wiele wierszy z tego tomu. jeśli pan sobie życzy – powiedział Martel.

— To zbyt cenne. Trzecie: Podaj nazwisko wielkiego malarza francuskiego, który uważał, że Dreyfus jest winien.

— Najwybitniejszy był Degas.

— Czwarte: Jaki gruczoł jest według Descartes’a siedzibą duszy ludzkiej?

— Szyszynka. To niezbyt znany fakt, ale tak się składa, że niemal codziennie czytuję Descartes’a.

– Piąte: Kto się najbardziej przyczynił do wydostania Jeana Geneta z więzienia?

– Przypuszczalnie chodzi o Jean-Paula Sartre'a – odparł Martel. – Cocteau i inni także mieli w tym swój udział. Czy to wszystko?

– Wszystko. Odpowiedział pan na piątkę z plusem.

– Więc może w nagrodę zechce nas pan zostawić w spokoju?

– A nie odpowiedziałby pan na jeszcze jedno pytanie, skoro pan tak dobrze na wszystko odpowiada? Kim pan jest i co pan tu robi?

Zesztywniał.

– Nie mam obowiązku na to odpowiadać.

– Myślałem, że zechce pan ukręcić łeb plotkom.

– Plotki mnie nie obchodzą.

– Dotyczą teraz nie tylko pana. Poślubił pan mieszkankę Montevisty.

Nie mógł mi nie przyznać racji.

– Więc dobrze. Powiem panu, jeśli pan mi odpłaci tą samą monetą. Kim jest facet, który mnie chciał sfotografować?

– Nazywa się Harry Hendricks. Jest sprzedawcą używanych samochodów. Mieszka w Dolinie San Fernando.

W oczach Martelaomalowało się zdziwienie.

– Nigdy o nim nie słyszałem. Dlaczego mnie chciał sfotografować?

– Widać mu ktoś zapłacił. Ale nie chciał powiedzieć, kto.

– Domyślam się – oznajmił Martel tajemniczo. – Niewątpliwie agencji *du grand Charles*.

– Czyi?

– Mojego wroga, prezydenta de Gaulle'a. Zmusił mnie do opuszczenia mojej *patrie*... ojczyzny. Ale widać nie wystarczyło mu to. Nastaje na moje życie.

Powiedział to głosem cichym i dramatycznym. Ginny zadrżała. Nawet Peter był pod wrażeniem.

– Co ma przeciwko panu de Gaulle? – zapytałem.

– Zagrażam jego władzy.

– Należy pan do kliki *Algérie-Française*?

– Nie jesteśmy kliką – odparował gniewnie. – Jesteśmy...

jak by to określić?... organizacją patriotyczną. To *le grand Charles* jest wrogiem swego kraju. Ale dosyć. I tak za dużo powiedziałem. Jeśli jego agenci rzeczywiście trafili za mną aż tutaj, .muszę sobie poszukać innego miejsca;

Wzruszył z rezygnacją ramionami. Potem się rozejrzał po ciemnych zboczach, po rozgwieżdżonym niebie. Było to pożegnanie, świadomie teatralne, jakby gwiazdy stanowiły jego widownię. Ginny przytuliła się do niego-

— Jadę z tobą.

— Naturalnie. Wiedziałem, że mi nie pozwolą zagrzać miejsca w Montevíście. Zbyt tu pięknie. Ale zabiorę z sobą cząstkę jej piękna.

Pocałował żonę we włosy, otulając jej głowę ciasno jak jasna jedwabna chusta. Ginny oparła się o niego, a on objął ją dłońmi w pasie. Peter jęknął i ruszył w kierunku mego auta.

— Proszę nam wybaczyć — zwrócił się Martel do mnie — ale musimy omówić nasze plany. Chyba odpowiedziałem już na wszystkie pańskie pytania?

— Dla przypiecztowania sprawy mógłby mi pan pokazać swój paszport.

Rozpostarł dłonie po obu bokach Ginny.

— Gdyby to 'było możliwe! Niestety wyjechałem z Francji, nazwijmy to, nie całkiem oficjalnie.

— Więc w jaki sposób wywiózł pan pieniądze?

— Lwią część zostawiłem. Szczęściem moja rodzina ma lokaty w różnych częściach świata.

— Czy „Martel” to pańskie prawdziwe nazwisko?

Podniósł ręce dłońmi na zewnątrz, jak pod groźbą pistoletu.

— Oboje z żoną wykazaliśmy maksimum cierpliwości. Nie chce pan chyba, żebyśmy. ją na koniec stracili? Dobranoc.

Mówił spokojnie, ale włożył w te słowa cały swój autorytet. Weszli oboje do domu i zatrzasnęli ciężkie drzwi.

Idąc do swego auta, zająrzałem na przód Bentleya. Nigdzie nie było karty rejestracyjnej. Na tylnym siedzeniu leżały zwalone na kupę rzeczy, które Martel zabrał z Klubu Tenisowego. Wszystko wskazywało, że szykuje się do rychłego wyjazdu.

Nic więcej nie mogłem zrobić. Wsiadłem za Peterem do wozu

i ruszyłem w dół do szosy. Peter siedział w milczeniu, ze zwieszoną głową. Dopiero gdy się zatrzymałem przy skrzynce na listy, obrócił się do mnie z niespodziewaną gwałtownością.

— Wierzy mu pan?

— Bo ja wiem. A ty?

— Ginny mu wierzy — powiedział z namysłem. — Zna go lepiej od nas. Jest bardzo przekonujący.

— Zbyt przekonujący. Ma na wszystko gotową odpowiedź.

— Może mówi prawdę.

— Mówi za dużo. Człowiek w jego sytuacji, ścigany przez rząd francuski za spiskowanie przeciwko de Gaulle'owi, nie zdradzałby byle komu swoich sekretów. Nie zdradzałby nawet żonie, gdyby miał odrobinę oleju w głowie. A Martel jest nie w ciemię bity.

— Nie ulega wątpliwości, że jest wykształcony. Odpowiedział na wszystkie pytania profesora. Czym pan to wytłumaczy, jeśli rzeczywiście kłamie? Kogo chce zwieść?

— Może Ginny. Zgodziła się zostać jego żoną.

Peter westchnął.

— Umieram z głodu. Od śniadania nie miałem w ustach nic konkretnego.

Wysiadł z auta i ruszył na drugą stronę szosy, do swojej Corvety. Po drodze zawadził nogą o coś, co wydało cichy metaliczny brzęk. Wyjrzałem w mrok. Był to aparat zmiażdżony przez Martela. Wysiadłem, podniosłem go i schowałem do kieszeni marynarki.

— Co pan robi? — spytał Peter.

— Nic ważnego. Rozglądam się.

— Przyszło mi do głowy, że dziś jest w klubie zabawa. Może by pan zjadł ze mną kolację. Zastanowilibyśmy się, co dalej robić.

Zacznalem mieć dość jego melancholijnego towarzystwa. Ale również byłem głodny.

— Dobrze, spotkamy się w klubie.

Zjeżdżając z góry zatrzymałem się, bo jakieś ćwierć mili od drogi dojazdowej Bagshawów, w cieniu wiecznie zielonego dębu, stał zaparkowany samochód, przypominający kształtem Cadillaka Harry'ego Hendricksa. Wsiadłszy z latarką w rękę stwierdziłem, że się nie mylę.

W środku nie było nikogo, na tablicy rozdzielczej nie znalazłem karty rejestracyjnej. Również schowek koło miejsca kierowcy był pusty, jeśli nie liczyć mapy samochodowej wielkiego Los Angeles, która liczyła sobie ładne parę lat i była równie sfatygowana jak Cadillac. Prawdopodobnie Harry wypożyczył wóz ze składu używanych samochodów, w którym pracował.

Podniosłem maskę i pomacałem motor. Był ciepły. Harry myszkował widać gdzieś w zaroślach koło domu Martela. Zastanawiałem się przez chwilę, czyby na niego nie poczekać, ale mój żołądek domagał się swoich praw. Zdecydowałem, że równie dobrze mogę go odszukać później w hotelu „Falochron”.

Wstąpiłem natomiast przed kolacją do pani Bagshaw. Zostawiłem auto koło pustych kortów tenisowych i w gęstym mroku eukaliptusów dotarłem do jej domku. Otworzyła mi drzwi w sztywnej szeleszczącej sukni, ze sznurem pereł połyskujących zimno na krepdeszynowym gorsie.

— Właśnie wychodziłam. Rozmawiałam z Waszyngtonem.

Była wyraźnie zdenerwowana. Mimo różu na policzkach, a może właśnie dlatego, wyglądała o wiele starzej. Powiedziała unikając mego wzroku:

— Moi przyjaciele nie znają Martela. Nie znają nikogo o tym nazwisku. Nie rozumiem tego. Opowiadał o nich z takim przekonaniem i swadą. Wie wszystko o ich domu.

— Mógł się dowiedzieć od służby.

— Ależ on zna Waszyngton. Nie myślę się co do tego. Nie, jestem przekonana, że zna albo znał Plimsollów... moich waszyngtońskich przyjaciół. Może występował pod innym nazwiskiem, nie jako Martel.

— I to możliwe. Opisała go pani swoim przyjaciołom?

– Rozmawiałam z pułkownikiem Plimsollem. Owszem, próbowałam go opisać. Ale to bardzo trudno kogoś opisać, szczególnie kogoś w południowym typie. Wszyscy Latynosi są dla mnie jednakowi. Pułkownik powiedział, że gdybym mu przysłała zdjęcie...

– Niestety, nie mam zdjęcia Martela.

– To nie wiem, co jeszcze można zrobić. – Usprawiedliwiała się, lecz w jej głosie był ton uciśnionej niewinności, a nawet lekkiej pretensji. – Nie mogę odpowiadać za Martela, a tym bardziej za pannę Fablon. Każdy musi myśleć o sobie.

– Tak, ale czasami starsi myślą również o młodszych.

– Dość się namartwiłam o własną rodzinę – powiedziała ostro – często w sytuacjach, o których wolałabym zapomnieć. Nie jestem zbyt zaskoczona, że Wirginia nie potrafi sobie dobrać towarzystwa. Nic dziwnego po tym, co zrobił jej ojciec, kiedy była w wieku dojrzewania. Zresztą Roy Fablon był i za życia niewiele wart. – Potrząsnęła siwymi lokami. – Ale dość tego. Jestem umówiona na kolację. Pan wybaczy.

Musiałem sobie dośpiewać, co jej mam wybaczyć. Lekomyślne poparcie, jakiego udzieliła Martelowi? Czy bezceremonialne potraktowanie mojej osoby?

Obszedłem pawilony otaczające basen, kierując się do głównego budynku klubowego. Przede mną weszła do środka grupa elegancko ubranych osób. Ella Strome witała każdego po nazwisku zza swego biurka. Robiła trochę sztywne wrażenie jakby świadomie zachowywała dystans.

– Wygląda pani jak westalka.

– Byłam dwukrotnie zamężna – odparła sucho. – Pan Jamieson czeka na pana w jadalni.

– Nic mu się nie stanie, jak trochę poczeka. Ja byłem żonaty tylko raz.

– Nie wypełnia pan obowiązków wobec piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego – powiedziała z uśmiechem, ale jej oczy pozostały zimne.

– Zdaje się, że stan małżeński nie przypadł pani zbyt do gustu.

– Nie miałam nic przeciwko stanowi małżeńskiemu. Nie

przypadli mi do gustu moi małżonkowie. Czy robię na panu wrażenie kobiety macierzyńskiej?

— Nie.

— A jednak coś w tym jest. Bo przyciągam mężczyzn szczególnego rodzaju. Obaj moi mężowie byli, lekko mówiąc, dziwni. To nie mógł być przypadek. Nie ma aż tylu dziwnych mężczyzn.

— I owszem, są. Skoro już mówimy o dziwnych mężczyznach, co pani sądzi o panu Martelu?

— Nie mam o nim wyrobionego zdania. Był dla mnie zawsze uprzejmy. — Jej dłonie złączyły się na czarnym polerowanym blacie i odepchnęły od siebie czubkami palców. — Niech pan o niego zapyta pana Stolla. Miał z nim przykre zajście, o ile wiem.

— Kto to jest pan Stoli?

— Kierownik klubu.

Stoli urzędował w gabinecie za biurkiem Elli Strome. Na ścianach wyłożonych orzechową boazerią wisiały zdjęcia klubowych balów, meczów tenisowych i innych imprez sportowych. Stoli nie wyglądał na człowieka, który by brał w nich udział. Był przystojnym czterdziestoletnim mężczyzną o chłodnych oczach, przesadnie elegancko ubranym i przesadnie ugrzecznionym. Jak zwykle bywa z ludźmi, którzy zbyt chętnie podobać, skłaniał swoim zachowaniem do rezerwy. Na jego biurku stała tabliczka z napisem: „Reto Stoli, kierownik klubu”.

Usłyszawszy nazwisko Jamiesonów zrobił się jeszcze wylewniejszy.

— Proszę, niech pan siada. — Miał lekki akcent niemiecki. — Czym mogę służyć?

Usiadłem naprzeciwko niego, po drugiej stronie biurka.

— Pani Strome napomknęła, że miał pan jakieś zajście z panem Martelem.

— Drobiazg. Było, przeszło, nie odgrzebujemy minionych spraw. Szczególnie teraz, kiedy pan Martel nas opuszcza.

— Czy wyjeżdża z powodu zatargu z panem?

— Zapewne częściowo tak. Nie prosiłem go o to, ale również nie zatrzymywałem, kiedy wyraził chęć wyjazdu. Odetchnąłem

z ulgą, gdy dzisiaj zapłacił rachunek i zwrócił klucze.

Stoli rozpostarł wymanikiowaną dłoń na swojej dwurzędowej kamizelce.

— Czemu?

— To wulkan, nie człowiek. Każdej chwili można po nim oczekiwać wybuchu. A my pragniemy utrzymać w klubie spokojną, przyjacielską atmosferę.

— Niech pan mi opowie o tej historii. To może być ważne. Co właściwie zaszło?

— Chciał mnie zabić. Mam opowiedzieć wszystko od początku?

— Proszę pana bardzo.

— To było kilka tygodni temu. Pan Martel zamówił do pokoju coś do picia. Absynt, jeśli idzie o ścisłość. Pomocnik barmana był zajęty, więc poszedłem sam. Robię czasami takie gesty w stosunku do niektórych gości. Była u niego akurat panna Fablon, rozmawiali po francusku. Ponieważ francuski jest jednym z moich języków ojczystych, mimo woli zatrzymałem się przy drzwiach. Nie miałem oczywiście zamiaru podsłuchiwać. — Stoli podniósł cnotliwie wzrok na sufit. — Ale pan Martel uważał widocznie, że go szpieguję. Zerwał się i rzucił na mnie.

— Z pięściami?

— Ze szpadą. — Stoli przesunął dłoń z piersi na wypukły brzusek. — Miał szpadę ukrytą w bambusowej lasce.

— Widziałem tę' laskę. I dźgnął pana?

— Nie, wziął mnie tylko na sztych. — Poglądził się przez sztuczkowe spodnie po cennej wypukłości. — Szczęśliwie panna Fablon go pohamowała. Przeprosił mnie zaraz, ale już nigdy nie czułem się swobodnie w jego obecności.

— O czym rozmawiali, kiedy pan nadszedł?

— On mówił. Brzmiało to jak wykład. Perorował o jakimś filozofie, który uważał, że myślenie jest podstawą wszystkiego, *la source de tout*. — Umysł Stolla balansował między dwoma językami. — Ale pan Martel był zdania, że ten *philosophe* się myli. *Réalité* wytwarza się dopiero, gdy dwie osoby myślą wspólnie. Zatem podstawą wszystkiego jest *l'amour*. — Kąciki

jego ust wyciągnęły się w dół. – Moim zdaniem, to wszystko się nie trzymało kupy.

– A zdaniem panny Fablon?

– To inna sprawa. Pan Martel się do niej zalecał. O to właśnie poszło. Wpadł we wściekłość, bo mu przerwałem trans. Kiedy teraz wracam do tego myśla, utwierdzam się w przekonaniu, że ten człowiek jest psychopata. Normalni ludzie nie wyskakują ze skóry o taką drobnostkę. – Zaciśnął pięść, ale niezbyt mocno. – Powinienem być go z miejsca prosić o rezygnację z członkostwa.

– Dziwię się, że pan tego nie zrobił.

Zaczerwienił się lekko.

– Rozumie pan, pan Martel jest... względnie był protegowanym pani Bagshaw, jednej z najstarszych członkiń klubu, która w dodatku zajmuje domek sąsiadujący z moim. Nie chciałem jej denerwować. Uważam, że podstawowym obowiązkiem kierownika klubu jest pełnienie roli... czegoś w rodzaju buforu. – Znowu podniósł oczy na sufit, jakby nad jego głową rezydował bóg hotelarzy. – Chronienie członków przed nieprzyjemnościami życia.

– Nie wątpię, że pan w tym celuje.

Skwitował komplement ceremonialnym ukłonem.

– Dziękuję panu. Klub Tenisowy cieszy się w branży opinią jednego z najlepiej prowadzonych. Poświęciłem mu dziesięć lat życia, a jestem wychowankiem szkół hotelarskich w Zurychu i Lozannie.

– Co pan miał na myśli mówiąc, że francuski jest jednym z pańskich języków ojczystych?

– Mam cztery języki ojczyste: francuski, niemiecki, włoski i retoromański. Urodziłem się w retoromańskiej części Szwajcarii. W Silvaplana.

Wymówił nazwę pieszczotliwie jak imię ukochanej.

A gdzie się urodził Martel, nie wie pan?

– Zastanawiałem się nad tym. Powiedział pani Bagshaw, że w Paryżu, ale nie mówi po francusku jak pa-ryżanin, sądząc po tym, co słyszałem. Jego francuszczyzna jest zbyt prowincjonalna, zbyt sztywna. To może być francuszczyzna

kanadyjska albo południowoamerykańska. Nie wiem, nie jestem językoznawcą.

— Pańska opinia jest równie cenna jak opinia językoznawcy — powiedziałem dla ośmielenia go. — Więc sądzi pan, że Martel może pochodzić z Kanady albo z Południowej Ameryki?

— To tylko przypuszczenie. Nie miałem zbyt wiele do czynienia z żadną z tych odmian francuszczyzny. Ale jednego jestem pewien: że Martel się nie wychował w Paryżu.

Podziękowałem Stollowi, który odprowadził mnie w lansadach do drzwi.

Wchodząc do jego gabinetu zauważyłem w głębi recepcji tablicę ogłoszeniową. Do jej korkowej powierzchni przypiętych było kilka powiększonych zdjęć z jakiejś zabawy tanecznej. Pod nimi, jak przypomnienie czyścica u wrót rajy, wisiała pisana na maszynie lista siedmiu członków zalegających ze składkami. Jednym z nich była pani Marietta Fablon. Zagadnąłem o to Elle.

— Tak, pani Fablon ma ostatnio kłopoty finansowe. Podobno zawiodły ją jakieś inwestycje. Przykro mi było wywieszać jej nazwisko, ale co miałam robić, regulamin.

— To nasuwa ciekawą hipotezę. Czy przypadkiem Wirginia Fablon nie poleciała na pieniądze Martela?

— Nonsens, przecież mogła wyjść za Petera Jamiesona. Jamiesonowie mają dziesięć razy więcej pieniędzy, niż panu Martelowi może się zamarzyć.

— Jest pani pewna?

— Umiem odróżnić ludzi majątnych od niemajątnych.

I ludzi, którzy mają pieniądze z dziada pradziada, od -ludzi, którzy dopiero co do nich doszli. Jeśli pana interesuje moje zdanie, to pan Martel jest nowobogackim, i to bardziej nowo, niż bogackim. Źle się tutaj czuł. Szastał pieniędzmi jak pijany marynarz, ale niewiele mu z tego przyszło.

— No, zdobył Ginny. Pobrali się w sobotę.

— Biedna dziewczyna.

— Dlaczego pani tak uważa?

— Mam trochę doświadczenia życiowego. Długo każe pan jeszcze czekać panu Jamiesonowi? Pracuje pan dla niego,

prawda?

– Tak.

– Jest pan detektywem prywatnym?

– Zgadza się. Co pani sądzi o moim kliencie?

– Przypomina mi złotą myśl, którą kiedyś wyczytałam. Że w każdym grubasie żyje chudzielec, który chce się wyswobodzić. W dodatku Peter jest ciągle chłopcem, to jeszcze pogarsza sytuację. Ale sądzę, że ma zadatki na mężczyznę – dodała po chwili zastanowienia.

– To się okaże. – Wysunąłem wielki palec w kierunku tablicy ogłoszeniowej. – Widzę tu zdjęcia z jakiejś zabawy. Czy klub zatrudnia stałego fotografa?

– Tak, ale tylko na pół etatu. Czemu?

– Interesuje mnie, czy nie ma przypadkiem fotografii Martela.

– Wątpię, ale mogę sprawdzić. Niestety Eryk ma dziś wolne.

– Niech go pani ściągnie. Proszę powiedzieć, że mu zapłacę.

– Zobaczę, co się da zrobić.

– Może pani zrobić więcej niż zobaczyć. Chodzi o ustalenie tożsamości Martela. Zdjęcie bardzo by to ułatwiło.

– Powiedziałam, że zobaczę.

Wskazała mi drogę do jadalni. Składała się ona z dwu połączonych sal, z których jedna miała lśniący parkiet do tańca. Na podium rezydowała kilkusobowa orkiestra, która aktualnie odpoczywała. Druga sala mieściła może trzydzieści stolików, mieniących się kwiatami i srebrem.

Peter siedział pod oknem, wpatrzony ponuro w ciemną plażę.

Na mój widok poderwał się skwapliwie, ale nie ulegało wątpliwości, że jego skwapliwość wiąże się bardziej z myślą o kolacji niż z moją osobą. Jedzenie nakładali przy bufecie służący w białych kucharskich czapach. Znalazłszy się w ich obliczu Peter przeszedł taką metamorfozę, jakby jego melancholijna namiętność do Ginny należała do innego świata. Kazał sobie nałożyć dwa kopiaste talerze – na jeden pięć rodzajów sałatek, zimną szynkę, krewetki i kraby, na drugi rostbef z kartoflami, sosem i zielonym groszkiem.

Pochłaniał to wszystko z taką skupioną, nabożną za-

chłannością, że się poczułem tak, jakbym podglądał. Żuł z nieruchomym, tępym wzrokiem, aż pot wystąpił mu na czoło. Skończywszy wytarł talerz kawałkiem chleba, który również spałaszował. Następnie oparł brodę na pięści i jął się zastanawiać.

– Nie wiem, co wziąć na deser.

– Dość zjadłeś i bez deseru.

Zmierzył mnie takim wzrokiem, jakbym mu zagroził miesięczną głodówką o chlebie i wodzie. Miałem ochotę rzucić całą sprawę. Patrząc, jak je, nie mogłem się oprzeć wątpliwościom, czy się dobrze przysłużę Ginny kojarząc ją z powrotem z moim żarłocznym klientem. Martel był przynajmniej mężczyzną. Peter może miał zadatki na mężczyznę, jak uważała Ella, ale zasiadłszy do stołu zamieniał się w odrażającego robota do pochłaniania pokarmów.

– Waham się między eklerami z kremem czekoladowym a melbą z topioną czekoladą.

– Weź jedno i drugie.

– To wcale nie śmieszne. Mój organizm potrzebuje paliwa.

– Zatankowałeś już więcej niż statek na rejs stąd do Honolulu.

Krew nabiegła mu do twarzy.

– Pan zdaje się zapomina, dla kogo pan pracuje i czyim pan jest gościem.

– Zapominam? Więc odłóżmy sprawy osobiste na bok i pomówmy o rzeczach zasadniczych. Opowiedz mi o Ginny.

– Jak zjem deser.

– Nie, zanim się obezresz do otepienia.

– Nie pozwolę tak do siebie mówić.

– Ktoś ci to musi powiedzieć. Ale nie sprzecajmy się o słowa. Powiedz mi lepiej, czy Ginny należy do dziewcząt, które tracą głowę dla każdego mężczyzny?

– Nie, to pierwszy raz.

– A czy miała dużo do czynienia z mężczyznami?

– Bardzo mało. Prawdę mówiąc, mało z kim prócz mnie. – Znowu się oblał rumieńcem. – Ja nie byłem zawsze taki gruby, jeśli pan chce wiedzieć. Chodziliśmy ze sobą w szkole. Ale

potem przestały ją interesować te sprawy. Rozumie pan, całowanie się i w ogóle. Pozostaliśmy przyjaciółmi, w dalszym ciągu gdzieś ją czasem zabierałem, ale już nie chodziliśmy ze sobą jak dawniej.

— Co spowodowało zmianę?

— No, po pierwsze zabrała się serio do nauki. Miała świetne stopnie, a ja nie. — Widać gnębiło go to ciągle. — Ale główną przyczyną była historia z jej ojcem. '

— Jego samobójstwo?

Kiwnął głową.

— Ginny była bardzo przywiązana do ojca. Dopiero niedawno się z tego otrząsnęła.

— Kiedy popełnił samobójstwo?

— Blisko siedem lat temu. Na jesieni minie siedem lat. Poszedł w nocy na plażę i utopił się kompletnie ubrany.

— Na tę plażę?

Zrobiłem ruch w stronę okna. Był odpływ i fale załamywały się daleko w głębi plaży. Widać było tylko biel piany pojawiającą się w równomiernych odstępach.

— Niezupełnie. Poszedł jakieś pół mili stąd. — Wskazał cypel majaczący ciemną plamą na tle świateł portu. — Ale tu jest stały prąd w naszą stronę i ciało wypłynęło na wysokości klubu. Potem przez dłuższy czas nie wchodziłem do oceanu. O ile wiem, Ginny nie weszła do dziś dnia. Kapie... kąpała się tylko w basenie.

Zamilkł na chwilę, zgarbiony nad stołem.

— Proszę pana, czy nie można by jakoś zagiąć Martela? — zapytał. — Sprawdzić, czy wzięli legalny ślub albo coś takiego?

— Na pewno wzięli. Ginny nie ma powodu kłamać, nie sądzisz?

— Nie ma. Ale jest pod jego urokiem. Sam pan widział, to nienaturalne.

— Wygląda, że jest po prostu zakochana.

— To niemożliwe! Musimy mu przeszkodzić w wywiezieniu jej.

— W jaki sposób? To jeszcze wolny kraj.

— Nie sądzi pan, że Martel przebywa w Ameryce nielegalnie?

Przyznał się, że nie ma paszportu.

— Można się tym zainteresować. Ale najgorsze, co go może spotkać, to wydalenie. Wówczas Ginny prawdopodobnie wyjedzie z nim.

— Rozumiem. To by tylko pogorszyło sytuację. Oparł otłuszczony podbródek na dłoni i pogrążył się w zadumie.

Nasza połowa jadalni wypełniła się tymczasem gośćmi, świeżo przybyłymi do klubu bądź wychodzącymi z baru. Niektórzy byli w wieczorowych strojach, tu i ówdzie, jak okruchy przeszłości, skrzyły się na dłoniach i szyjach brylanty i rubiny. Cichy szum tonął w napływających i odpływających falach muzyki i rozmów. Wszyscy mówili jeden przez drugiego, jakby dla odstraszenia mroku czającego się za oknami. Mnie wciąż intrygowała śmierć Roya Fablona.

— Mówisz, że Ginny była bardzo przywiązana do ojca?

Peter drgnął wyrwany z zadumy.

— Tak.

— Co to był za człowiek?

— Bo ja wiem? Typ sportowca. Pasjonował się polowaniem na grubego zwierza, łowieniem ryb, żeglarstwem, grą w polo, autami, samolotami.

— Wszystkim naraz?

— Nie, po kolei. Jak go znudził jeden sport, przerzucał się na inny. Jakoś nie mógł znaleźć rzeczy, która by go przykuła na dobre. Przez jakiś czas, kiedy byłem w szkole, pozwalał mi łączyć za sobą. Zabierał mnie nawet na przejażdżki swoim samolotem.

— Oczy zasnuły się Peterowi marzycielską mgiełką. — Służył kiedyś w lotnictwie, ale go zwolnili ze względów zdrowotnych.

— Co mu było?

— Nie wiem dobrze. Rozbił samolot podczas lotu ćwiczebnego, w ogóle go nie wysłali na wojnę. To był dla niego wielki cios. Od tej pory lekko utykał. Myślę, że to był jeden z powodów, dla których próbował tych wszystkich sportów.

— Jak wyglądał?

— Powiedziałby pan pewnie, że był przystojny. Miał czarne włosy, czarne oczy, był zawsze opalony na brąz. Ginny odziedziczyła karnację po matce. Ale nie rozumiem, dlaczego

pan się tak interesuje jej rodziną. Po co panu te wszystkie wiadomości?

– Chcę ją zrozumieć. Próbuję dojść, dlaczego straciła głowę dla Martela. Czy przypomina jej ojca?

– Trochę – przyznał Peter niechętnie. – Ale pan Fablon był przystojniejszy.

– Mówiłeś, że miał w sobie krew francuską. Czy mówił po francusku?

– Myślę, że mógł się porozumieć. Powiedział mi kiedyś, że mieszkał we Francji.

– Gdzie we Francji?

– W Paryżu. Studiował malarstwo.

Zaczynałem sobie wyrabiać pojęcie o Royu Fablonie. Należał do stosunkowo pospolitego gatunku w swoich sferach – ludzi, którzy próbowali wszystkiego i nie potrafili się w niczym wybić.

– Skąd brał pieniądze na swoje zachcianki? Prowadził interesy?

– Próbował rozmaitych rzeczy. Tuż po wojnie założył firmę transportu powietrznego. Niestety, że miał za konkurentów takie linie, jak „Latający Tygrys”. Powiedział mi kiedyś, że w ciągu pół roku utopił w tym pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ale miał kupę zabawy, jak się wyraził.

Ton Petera stał się melancholijny, marzycielski. W innym czasie i w innym ciele chciałby może sam prowadzić życie nieboszczyka Roya Fablona.

– Kto płacił za tę zabawę?

– Pewnie pani Fablon. Jest Proctorówną z domu. – Urwał, zmarszczył lekko czoło. – Przypomniało mi się coś. Nie ma to wiele wspólnego ze sprawą, ale jest interesujące. – Obrócił się do okna, wskazując ponownie mroczny cypel, – Plaża, na której się utopił pan Fablon, była kiedyś własnością Proctorów. Otrzymała ją w spadku matka Ginny. Musiała ją sprzedać jakieś dziesięć lat temu.

– Trzy lata przed śmiercią męża?

– Tak. Gdyby poczekała do dziś, dostałaby za nią co najmniej milion. A tak podobno ją sprzedała za marne pieniądze dla spłacenia długów męża.

— Kto ją kupił?

— Towarzystwo budowy cmentarzy. Ale jak dotąd nic tam nie wybudowali.

— Karygodna opieszałość.

Peter zasepił się nad moją frywolnością. Po chwili wstał i ulotnił się z jadalni. Parę minut później dostrzegłem go przy wejściu, pogrążonego w rozmowie z wysokim mężczyzną w smokingu. Gdy mężczyzna obrócił nieco głowę, rozpoznałem długą szczękę doktora Sylvestra., któremu mimo woli przerwałem lunch z panią Fablon.

Po jakimś czasie doktor wszedł do baru, a Peter począł na koniec kolejki przed stołem z deserami. Stał skupiony jak przed ołtarzem, ze wzrokiem wędrującym z lubością po ciastach, tortach i kremach.

10

Wszedłem za doktorem Sylvestrem do baru. Barman o czarnych oczach, ruchliwych jak żywe srebro, nalał mu bez pytania podwójną szkocką. Sylvester zwracał się do niego per Marco. Barman miał na sobie czerwoną kamizelkę, białą koszulę z długim szpiczastym kołnierzykiem i powiewny czarny jedwabny fontaż.

Poczekalem, aż doktor Sylvester wychyli może połowę swego alkoholu, po czym zająłem obok niego stołek przy barze i przyglądałem się, jak Marco miesza daiquiri³. Sylvester obracał w kanciastych owłosionych dłoniach na pół opróżnioną szklaneczkę. Włosy na dłoniach miał lekko szpakowate, na głowie tak samo. Ostre bruzdy biegnące od nasady jego nosa do kącików ust podkreślały wydatne kości policzkowe. Nie wyglądał na człowieka, z którym łatwo nawiązać rozmowę.

Dla zajęcia czymś rąk zamówiłem bourbona. Barman nie chciał wziąć mojego dolara.

³ Daiquiri – cocktail z rumu, soku cytrynowego lub limonowego, cukru pudru oraz lodu, nazwany tak od gatunku rumu wytwarzanego w Daiquiri na wschodnim wybrzeżu Kuby. (Przyp. tłum.)

– Przykro mi, nie przyjmujemy gotówki. Czy pan jest członkiem?

– Nie, gościem Petera Jamiesona.

– Wobec tego zapiszę na jego rachunek.

Doktor Sylvester obrócił się w moją stronę, unosząc w dziwny sposób swoje czarne brwi. Poruszał nimi, jakby stanowiły dodatkowy narząd zmysłu, co odwracało uwagę od jego nieustępliwych błyszczących oczu.

– Jamiesona seniora czy juniora?

– Znam obydwu. Zauważyłem, że pan rozmawiał z młodszym.

– Rozmawiałem.

Przedstawiłem się, podałem mu swój zawód.

– Peter zaangażował mnie w związku ze sprawą swojej byłej narzeczonej.

– Zastanawiałem się właśnie, jak pan się tutaj dostał. – Nie zabrzmiało to wprawdzie, jakby mnie chciał obrazić, ale było przypomnieniem mi miejsca, jakie zajmuję w jego świecie. – Czy ja pana nie widziałem dzisiaj w domu pani Fablon?

– Owszem. Słyszałem, że był pan swego czasu chlebodawcą Wirginii Fablon.

– Byłem.

– Co pan sądzi o jej małżeństwie?

Udało mi się go zainteresować.

– Mój Boże, więc wyszła za tego faceta?

– Tak twierdzi. Pobrali się w sobotę.

– Rozmawiał pan z nią?

– Jakąś godzinę temu. Niestety nie udało mi się dojść, co się roi w jej pięknej głowce. Okoliczności były niezbyt sprzyjające. Ale odniosłem wrażenie, że żyje w romantycznym śnie.

– Większość kobiet żyje w romantycznym śnie – skonstatował sucho Sylvester. – A widział pan jego?

– Rozmawiałem z obojgiem w jego domu.

– Ja jakoś nie miałem okazji go poznać. Widywałem go w klubie, ale zawsze na odległość. Co pan o nim myśli?

– To bardzo inteligentny człowiek, wykształcony, o niezaprzeczonej indywidualności. Wydaje się, że Wirginia jest całkowicie pod jego wpływem.

— To nie potrwa długo — zawyrokował doktor. — Nie zna pan tej młodej osóbk. Ma charakter. Od śmierci jej ojca występowałem *in loco parentis* — powiedział z przekąsem — i zapewniam pana, że to nie była łatwa rola. Wirginia lubi sama decydować o swoich sprawach.

— W kontaktach z mężczyznami?

— W jej życiu nie było mężczyzn, przynajmniej ostatnio. To całe nieszczęście. Od śmierci ojca nic, tylko pracowała i kuła się francuskiego. Tak jakby jej całe życie miało być pomnikiem ku czci Roya. I nagle przed kilkoma tygodniami, jak można się było spodziewać, wszystko poszło w kąt. Zawróciła sobie głowę Martelem do tego stopnia, że rzuciła studia, chociaż była o krok od dyplomu. — Doktor pociągnął ze szklaneczki. — To niepokojący stan, przyzna pan.

— Czy jest pan jej lekarzem?

Byłem do bardzo niedawna. Jeśli pan chce wiedzieć, przemówiliśmy się na temat jej... jej nieodpowiedzialnego postępowania. Uznałem, że najlepiej będzie skierować ją do innego lekarza. Czemu pan pyta?

— Nie podoba mi się stan, do którego się doprowadziła. Wmówiła sobie, że nie może żyć bez Martela. Postawiła wszystko na jedną kartę i czeka ją brutalne przebudzenie, jeśli się okaże, że postawiła na fałszywą.

— Próbowałem jej to tłumaczyć. Uważa pan, że to oszust, tak?

— W jakiejś mierze na pewno. Postarałem się o sprawdzenie jednej z jego referencji w Waszyngtonie, u ludzi, na których się powoływał. Wynik był negatywny. A są jeszcze inne rzeczy, które wolałbym przemilczeć.

Bajeczka ze szcurem, krew na obcasie, pistolet wymierzony w Harry'ego.

— Cóż, ja jej nie mogę pomóc — oświadczył Sylvester. — Złapała się na lep, musi się sama uwolnić.

Zrobił pauzę, wysączył do dna szklaneczkę.

— Nalać jeszcze jedną, panie doktorze? — zapytał barman.

— Nie, dziękuję, Marco. Jedną z rzeczy, których się nauczyłem w ciągu dwudziestu lat praktyki lekarskiej — powiedział do mnie — jest to, że nie można ludzi ustrzec od

błądów. Trzeba czekać, aż sami dojdą do opamiętania. Prędkiej czy później astmatyk rzuci palenie, kobieta szukająca zapomnienia w kieliszku stanie się abstynentką, a dziewczyna chora na przewlekły romantyzm przemieni się w realistkę. Jak moja droga żona.

Za nami zatrzymała się postawna kobieta w narzuconym szalu. Pod czarną koronką jej pierś połyskiwała jak perłowa macica. Wysoko zaczesane blond włosy jeszcze ją podwyższały, tak że mi prawie dorównywała wzrostem, gdy się zsunąłem ze stołka barowego. Usta miała nadąsane.

— Co o mnie mówicie? — zapytała. — Uwielbiam, kiedy mężczyźni o mnie rozmawiają.

— Mówiłem, że jesteś realistką, Audrey. Że kobiety zaczynają jako romantyczki, a kończą jako realistki.

— Mężczyźni nas do tego zmuszają. Czy to *daiquiri* dla mnie?

— Tak. A to pan Archer. Jest detektywem.

— Fascynujące. Musi mi pan opowiedzieć swoje życie.

— Zacząłem jako romantyk, a skończyłem jako realista.

Zaśmiała się, wypiła cocktail, po czym oboje poszli na kolację. Inni goście też się porozchodzili. Zostałem sam przy barze. Marco zapytał, czy chcę jeszcze bourbona. Przyglądał mi się badawczo, jakby coś rozważał w myśli. Wargi poruszały mu się w takt nie wypowiedzianych słów. Odparłem, że chętnie wypiję jeszcze jednego.

— Na mój rachunek — powiedział stawiając z fasonem szklaneczkę na barze. Dla towarzystwa nalał sobie coca-coli. — Słyszałem, jak pan mówił, że pan jest detektywem. I to o pannie Fablon też.

— Znasz ją?

— Tylko z widzenia, ona nie pije. Ale pracuję tu już przeszło dwanaście lat, znałem jej ojca. Pan Fablon lubił sobie popić, ale miał mocną głowę. To był prawdziwy mężczyzna. Miał *machismo*⁴.

Marco wysunął czerwone wargi smakując rodzime słowo.

⁴ Machismo (hiszp., czytaj: macizmo) — męskość, żywotność połączona z autorytetem, cecha szczególnie ceniona u mężczyzn w Ameryce Południowej. (Przyp. tłum.)

– Słyszę, że popełnił samobójstwo – powiedziałem neutralnym tonem.

– Może. Ja w to nigdy nie wierzyłem.

Potrząsnął bujną czupryną.

– Myślisz, że to był wypadek?

– Tego nie powiedziałem.

– Pozostaje tylko morderstwo.

– Tego też nie powiedziałem. – Chociaż nie zmienił pozycji za barem, jakby się odsunął ode mnie. Po chwili się przeżegnał.

– Morderstwo to wielkie słowo. Brzydkie słowo. ,

– Fakt jest jeszcze brzydszy. Czy pan Fablon został zamordowany?

– Niektórzy tak uważali.

– Kto taki?

– Przede wszystkim żona. Po jego zaginięciu narobiła wrzasku na cały klub. Potem nagle nabrała wody w usta. Nie pisnęła więcej słówka, ale to było wiele mówiące milczenie.

– Oskarżała kogoś?

– Nie po nazwisku.

– Co spowodowało zmianę jej stanowiska?

– Wie pan tyle co ja, jeśli nie więcej. – Temat wyraźnie mu nie odpowiadał. Zmienił go: – Ale nie o tej sprawie chciałem mówić, tylko o tym ważniaku Francuzie, który się każe nazywać Martelem.

– Co chciałeś o nim powiedzieć?

– Mam dziwne wrażenie, że już go gdzieś widziałem. – Marco rozpostarł palce. – W każdym razie jestem pewien, że taki z niego Francuz jak ze mnie hrabina.

– Kim jest, jeśli nie Francuzem?

– Może tym samym co ja. – Zrobił minę półgłówka, ośmieszając się dobrowolnie, żeby uczynić swoją sugestię tym obraźliwszą dla Martela. – Zwykłym *paisano*⁵. Faktem jest, że przyszedł tutaj jeden jedyny raz. Zobaczył mnie, zawrócił na pięcie i więcej się nie pokazał.

Orkiestra zaczęła grać. Z jadalni przyszło kilka osób i zamówiło koniak. Prześliznąwszy się między tańczącymi

5 Paisano (hiszp.) – wieśniak, kmiotek. (Przyp. red.)

parami, wróciłem do stolika Petera. Siedział z błogą, ale niezbyt pewną miną. Na talerzyku przed nim nie było śladu po deserze, jeśli nie liczyć kilku czekoladowych plam.

— Myślałem, że pan poszedł — powiedział.

— Rozmawiałem w barze o Ginny i jej ojcu.

— Z doktorem Sylvestrem?

— Między innymi.

— Ja też z nim rozmawiałem. Udaje niewzruszonego jak to on, ale jest o nią niespokojny, mówię panu.

— Wszyscy jesteśmy niespokojni.

— Myśli pan, że powinniśmy wrócić do domu Martela?

Zrobił taki ruch, jakby już chciał wstawać.

— Dopiero jak będziemy mieli coś konkretnego przeciwko niemu.

— Na przykład?

— Jakiś dowód, że nie jest tym, za kogo się podaje. Zaczyna się coś ruszać.

— Ale co ja mam robić?

Isć potrenować jeszcze raz na plaży, miałem ochotę powiedzieć. Zamiast tego powiedziałem:

— Czekać. I oswajać się z myślą, że może się to skończyć nie tak, jak byś sobie życzył.

— Znalazł pan coś?

— Nic konkretnego, ale czuję pismo nosem. Zaczęło się to wszystko niefortunny i może się niefortunny skończyć. Przypuszczam, że korzenie sięgają co najmniej rzekomego samobójstwa Roya Fablona.

— Rzekomego?

— Rozmawiałem z kimś, kto nie wierzy, że to było samobójstwo. Wynikałoby z tego, że został zabity.

— Ten pański ktoś zmyśla niestworzone historie.

— Niewykluczone. Jest katolikiem, Roy Fablon mu imponował, może nie chce dopuścić do siebie myśli, że skończył śmiercią samobójczą. Ale twój ojciec powiedział mi także zastanawiającą rzecz.

— Rozmawiał pan z moim ojcem?

Powiedział to chłodnym, podejrzliwym tonem, jakbym nagle

przeszedł do obozu wroga.

— Szukałem cię po południu, wstąpiłem do domu. Twój ojciec powiedział mi między innymi, że do Roya dobrały się rekiny. Podobno trudno było zidentyfikować zwłoki. Dokładnie w jakim stanie była twarz?

— Nie widziałem. Ojciec go identyfikował. Mnie pokazali tylko płaszcz.

— Utopił się w płaszczu?

— Tak, nieprzemakalnym.

Usłyszawszy własne słowa, skwitował grymasem ironię. Przez mój mózg jakby przebiegła iskra. Trudno było sobie wyobrazić żeglarza i sportsmena, który w płaszczu nieprzemakalnym idzie się topić do oceanu. A w dodatku wybiera do tego plażę, do której sprzedania zmusił żonę swoją finansową beztroską. Chyba że chciał jej i córce zrobić na pożegnanie makabryczny żart.

— Skąd wiadomo, gdzie się właściwie utopił?

— Zostawił na plaży portfel i zegarek. W portfelu nie było nic prócz dowodu, natomiast zegarek był bardzo cenny, ofiarowany przez panią Fablon, z wygrawerowanymi na kopercie inicjałami ich obojga oraz jakąś łacińską sentencją.

— Nie zostawił listu pożegnalnego?

— O żadnym liście nie słyszałem, ale to niczego nie dowodzi. Policja nie zawsze podaje takie rzeczy do wiadomości publicznej.

— Czy w Montevíście zdarza się dużo samobójstw?

— Nie możemy się uskarżać na brak. Rozumie pan, kiedy człowiek ma w bród pieniędzy, ładny dom, piękną pogodę przez większą część roku, a mimo to życie mu się nie układa, to kogo może winić?

Peter zdawał się mówić o sobie.

— Czy tak sprawy wyglądały z Royem Fablonem?

— Niezupełnie, chociaż miał swoje kłopoty. Byłem w krytycznym okresie gościem w ich domu. Nie powinienem tego pewnie powtarzać, ale to już nie ma teraz znaczenia. — Wciągnął głęboko powietrze. — Słyszałem, jak groził pani Fablon samobójstwem.

— Właśnie tego wieczoru?

— Poprzedniego albo dwa dni przedtem. Byłem u nich na obiedzie, kłócili się o pieniądze. Pani Fablon powiedziała, że nie może mu dać ani centa .więcej, bo nie zostało jej już nic.

— Na co mu były potrzebne pieniądze?

— Na długi karciane. Nazywał to długiem honorowym. Powiedział, że jeśli nie zapłaci, będzie musiał popełnić samobójstwo.

— Czy Ginny była przy tym?

— Tak, słyszała wszystko. Byliśmy przy tym oboje. Państwo Fablon doszli już dawno do punktu, w którym przestali się czymkolwiek krępować. Każde starało się nas przeciągnąć na swoją stronę.

— I kto zwyciężył?

— Nikt nie zwyciężył. Wszyscy ucierpieli.

Orkiestra znowu grała i przez sklepiony pasaż widziałem pary tańczące w sąsiedniej sali. Zarówno większość melodii, jak, tancerzy przeżyła najlepsze lata w dwudziestoleciu międzywojennym. Razem robili takie wrażenie, jakby zabawia trwała już długo za długo, aż ze szlagierów i danserów pozostały smętne strzępy, jak odwłoki owadów obgryzionych przez pająki.

11

Brzegiem parkietu szła w naszą stronę Ella Strome.

— Ściągnęłam fotografa – powiedziała do mnie. – Czeka w recepcji.

Fotograf był chudym mężczyzną w pogniecionym ciemnym garniturze. Miał bujne kasztanowate włosy, masywną słowiańską szczękę i ciepłe oczy, ukryte za rogowymi okularami. Ella przedstawiła go jako Eryka Mal- kovsky'ego.

— Bardzo mi miło – powiedział, choć nie było mu wcale miło. Popatrzył niespokojnym wzrokiem na drzwi. – Wybieramy się z żoną do Klübü Filmowego. Mamy abonament.

— Zapłacę panu.

— Nie o to chodzi. Nie chcę jej robić zawodu.

— To może się okazać ważne.

— Vrie dla mnie. — Zwracał się do mnie, ale naprawdę miał żal do Elli. Widać przyszedł tylko na jej usilne nalegania. — Zresztą, jak już mówiłem Elli, nie mam zdjęć pana Martela. Proponowałem mu, jak wszystkim gościom, że go sfotografuję, ale odmówił. I to dość stanowczo.

— W nieprzyjemny sposób?

— To za dużo powiedziane. Ale zdecydowanie nie chciał się fotografować. Kim on właściwie jest? Jakąs znakomitością czy czym?

— Właśnie, czym?

Moja wymijająca odpowiedź zirytowała go, poczerwieniał lekko na twarzy.

— Pytam dlatego, że już ktoś mnie dzisiaj nagabywał o jego zdjęcie.

— Nie powiedziałaś mi tego — wtrąciła się Ella.

— Nie było okazji. Młoda kobieta, przysłała do mojego atelier w mieście tuż przed zamknięciem. Kiedy jej powiedziałem, że nie mam zdjęcia pana Martela, zaproponowała, że mi zapłaci, jeśli pójdę go sfotografować do jego domu. Oświadczyłem, że nie mogę tego zrobić bez jego zgody. Wściekła się i wypadła jak bomba.

— Pewnie się panu nie przedstawiła?

— Nie, ale mogę ją opisać. Ruda, wysoka, bajecznie zgrabna. Jakieś trzydzieści lat. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że już ją kiedyś widziałem.

— Gdzie?

— Tutaj, w klubie.

— Nie przypominam sobie nikogo takiego — powiedziała Ella.

— To nie było za twoich czasów, co najmniej pięć lat temu. — Malkovsky zmarszczył połowę twarzy, jakby patrzył przez wizjer aparatu. — Chyba robiłem jej nawet zdjęcia. Tak, na pewno robiłem.

— Ma pan jeszcze te zdjęcia?

— Może i mam, ale znalezienie ich byłoby benedyktyńską pracą. Prowadzę kartotekę tylko za bieżący i ubiegły rok.

Wszystkie starsze zdjęcia składam w kartonach na zapleczu. — Spojrzał w popłochu na zegarek. — Muszę już naprawdę iść. Żona mnie zamorduje, jeśli jej przejdzie koło nosa Bunuel. Zresztą klub mi nie płaci za pracę poza godzinami.

Rzucił kwaśne spojrzenie za Ellą, która odeszła do swego biurka.

— Zapłacę panu podwójnie za cały czas, który panu to zajmie.

— To wypadnie siedem dolarów za godzinę. I może trwać całą noc.

— Wiem.

— W dodatku nie ma żadnej gwarancji, że coś znajdę. Może się okazać, że to była zupełnie inna kobieta. Bo jeśli ta sama, to zmieniła kolor włosów. Ta, którą pamiętam, była blondynką.

— Mnóstwo blondynek farbuje się na rudo. Niech pan mi powie coś więcej o kobiecie, którą pan pamięta.

— Była oczywiście młodsza, świeża jak wiosenny poranek. Urocze stworzenie. Przypominam sobie teraz, jak ją fotografowałem. Jej mąż był z tego bardzo niezadowolony, ale ona się uparła.

— Kim był jej mąż?

— Starszy facet. Mieszkali przez parę tygodni w jednym z domków.

— W którym to było roku?

— Dokładnie panu nie powiem. Jakies sześć, siedem lat temu. Ale jeśli znajdę te zdjęcia, to się pewnie da ustalić. Notuję zwykle datę na odwrocie.

Malkovsky rwał się teraz do czekającej go roboty. Przed odjazdem zostawił mi adres i telefon swego atelier na Rynku. Obiecałem, że się z nim skontaktuję mniej więcej za godzinę.

Podziękowałem Elli i ruszyłem w stronę parkingu. Od gór zerwał się porywisty wiatr o ziarnistym smaku pustyni. Eukaliptusy się chwiały, pokładały i szamotały za każdym podmuchem jak długowłose furiatki w napadzie szału. Nad nimi majaczyła noc, przytłaczająca i groźna.

Od momentu gdy przy drodze prowadzącej do domu Martela znalazłem pustego Cadillaka, z myśli nie schodził mi Harry Hendricks. Mimo że nie zasłużył sobie na moje względy

bardziej od szczura, którego jakoby zabił Martel, odczuwałem irracjonalne pragnienie, żeby jeszcze zobaczyć Harry'ego przy życiu.

Droga do portu oddalała się od oceanu przecinając nasadę cypla, z którego rzucił się do wody po raz ostatni Roy Fablon, po czym wracała nad brzeg. Jadąc w porywach wiatru nadmorskim bulwarem byłem tak zaabsorbowany myślą o Harrym, że ujrawszy przy krawężniku zaparkowanego Cadillaka wziąłem to w pierwszej chwili za przywidzenie. Zahamowałem, cofnąłem się i stanąwszy tuż za Cadillakiem wysiadłem. Nie było wątpliwości, że to sfatygowany wóz Harry'ego. Stał-niewinnie, pusty, z zimnym silnikiem, jakby sam się stoczył ze wzgórz. W stacyjce tkwiły kluczyki. Przedtem ich nie było.

Rozejrzałem się dokoła. Miejsce było' odludne, szczególnie o tej porze i przy takim wietrze. Nigdzie ani śladu innych aut, po drugiej stronie bulwaru tylko szelest palm i pomruk oceanu. Od strony lądu rósł wysoki cyprysowy żywopłot, odgradzający bulwar od torów kolejowych i obozowisk trampów. Przez dziurę w żywopłocie dostrzegłem ciemne cienie mężczyzn przycupniętych przy ognisku, które strzelało płomieniami w coraz to inną stronę.

Przelazłem przez dziurę i podszedłem do nich. Było ich trzech, popijali ciemne czerwone wino z dwulitrowego gąsiorka, już prawie pustego. W świetle ogniska podniosły się ku mnie trzy twarze: pobrużdżona, szczerbata twarz podstarzałego białego; nieustępliwa, płaska fizys młodego Murzyna; miedziane rysy chłopca o kamiennych, apatycznych oczach Indianina. Chłopak miał powyżej pasa jedynie kamizelkę założoną na gołe ciało.

Murzyn poderwał się z półtorametrowym drągiem w rękę. Ruszył w moim kierunku potykając się o nierówności gruntu.

— Spierdalaj stąd, koleś. Nić tu po tobie.

— Możesz chyba odpowiedzieć na grzeczne pytanie? Szukam znajomego.

— Gównu mnie obchodzą twoi znajomi.

Wielki i pijany, stał oparty na swoim drągu jak dzikus na

włócznie. Jego trójnogi cień tańczył po żywopłocie.

— Stoi tu jego auto, Cadillac – powiedziałem szybko. – To męczyzna średniego wzrostu, w kraciastej marynarce. Nie widzieliście go?

— N-nie.

— Chwileczkę. – Biały podniósł się chwiejnie. – Może ja go widziałem. A może nie. Zależy, co będę z tego miał.

Podszedł blisko, tak że poczułem jego ognisty oddech i mogłem zajrzeć w głąb zapadłych zwich oczu. Malowała się w nich febryczna pustka mózgu wypalonego przez alkohol. Stoczył się już tak nisko, że nie było dla niego powrotu.

— Nic nie będziesz miał, mądralo. Kombinujesz, jak by zarobić na następnym gąsiorek.

— Widziałem go, jak rany Chrystusa, widziałem. Niski facet w kraciastej marynarce. Dał mi pięćdziesiątaka. Wziąłem z pięknym podziękowaniem. Nie zapomina się tak szybko krajana, który wesprze potrzebującego pięćdziesiątąką.

Za każdym oddechem wydawał świst przez szpary po brakujących zębach.

— To pokaż tego pięćdziesiątaka.

Zaczął grzebać ostentacyjnie po kieszeniach.

— Gdzieś się, kurwa, zapodział.

Odwrociłem się. Doszedł za mną aż do auta i zaczął bębnić gruzłowatymi pięściami po szybie.

— Miej pan litość, jak rany Chrystusa. Daj pięćdziesiątaka. Powiedziałem ci o twoim znajomym.

— Nie daję na wino.

— To na jedzenie. Umieram z głodu. Przyjechałem tu zbierać pomarańcze, ale mnie wylali. Mówią, że nie nadaję się do roboty.

— Nakarmią cię w Armii Zbawienia.

Wydał usta i plunął na szybę. Ślina zaczęła ściekać po oddzielającym nas szkle. Zapuściłem motor.

— Odsuń się, bo cię potrącę.

— Już jestem przetrącony – odparł z żałością w głosie.

Zawrócił chwiejnie do żywopłotu i zniknął nagle w dziurze jak pochłonięty przez noc.

Hotel „Falochron” mieścił się zaledwie o parę przecznic od miejsca, gdzie znalazłem Cadillaka Harry’ego. Było niewykluczone, chociaż mało prawdopodobne, że Harry dla jakichś sobie tylko wiadomych powodów zaparkował tutaj wóz i poszedł dalej na piechotę.

Hall hotelu był zapewne kiedyś przynętą dla turystów, ale już dawno został pozbawiony wszystkiego, co mogło stanowić atrakcję. Fotele były wysiedziane przez tysiące ciał, filodendrony zalegała warstwa kurzu. Podstarzały boy miał na sobie starą granatową liberię, która wyglądała, jakby w niej walczył w wojnie secesyjnej.

W recepcji nie było nikogo, ale na kontuarze leżała otwarta książka gości. Musiałem odwrócić stronę, żeby odnaleźć nazwisko Harry’ego; mieszkał w pokoju 27. Rzuciłem okiem na przegródki zajmujące pół ściany za kontuarem. Przy numerze 27 nie dostrzegłem klucza.

— Czy pan Hendricks jest u siebie? — zapytałem boya.

Poskrobał się po szczecinie na brodzie. Wyglądała jak szary plusz, solidnie nadgryziony przez mole, ale zaskrzypiała jak papier ścierny.

— Ja tam nic nie wiem. Goście kręcą się w tę i we wtę. Nie płacą mi za pilnowanie.

— Gdzie jest kierownik?

— Tam.

Wskazał kciukiem drzwi za portierą, z palącym się u góry napisem: Sala Samońska. Znaczyło to zapewne, że wewnątrz są bambusowe meble i sieci rybackie rozwieszane na suficie — nie omyliłem się co do tego — oraz że specjalnością zakładu są cocktaile rumowe na soku ananasowym z puszek i z pływającymi owocami. Na barze grało w kości trzech wypłowiałych zawodowców. Tłusty barman przyglądał im się znad swego brzucha. Zmęczona panienka do towarzystwa zafundowała mi na powitanie przelotny uśmiech.

Powiedziałem jej, że mam interes do kierowcy nika.

– Pan Smythe go zastępuje. Panie Smythe!

Pan Smythe był, sądząc z wyglądu, najbardziej zawodowym z zawodowców. Oderwał się na moment od kości. Jeśli stanowiły jego własność, były prawdopodobnie spreparowane. Jego uroda rasowego sportowca była już mocno nadwerężona, jak stylowy mebel z politurą złączoną na kantach.

– Pan szanowmy w sprawie pokoju?

– Może później. Na razie chciałem się dowiedzieć, czy pan Hendricks jest u siebie?

– Nie, chyba że wrócił w ciągu ostatnich paru minut. Czeka na niego na gorze żona.

– Nie wiedziałem, że jest żonaty.

– Jest, i to jak. Oddałbym wszystkie kawalerskie uciechy, gdybym mógł podłapać takie ciało.

Nakreślił rękami w zadymionym powietrzu kształt klepsydry.

– Może od niej się dowiem, gdzie jest mąż.

– Sama nie wie. Pytała mnie, a ja go nie widziałem od popołudnia. Co, nawarzył jakiegoś piwa?

– Wszystko możliwe.

– Pan z policji?

– Nie, przeprowadzam prywatny wywiad – odparłem wymijająco. – Dlaczego pan przypuszcza, że nawarzył piwa?

– Pytał mnie, gdzie można kupić niedrogą pukawkę.

– Dzisiaj?

– No, po południu. Poradziłem mu, żeby popytał w lombardach. Co, źle zrobiłem? Chyba nie zastrzelił nikogo?

– NFic mi o tym nie wiadomo.

– To dobrze. – Ale w jego głosie zabrzmiał skrywany zawód.

– Jeśli pan chce porozmawiać z panią Hendricks, to w recepcji jest telefon.

Podziękowałem mu; mógł wrócić do swoich kawalerskich uciech. Wolałem się nie bawić w telefonowanie ani nie korzystać z windy. Znalazłem w głębi hallu czerwono oświetlone schody zapasowe i wszedłem na piętro. Pokój 27 był na końcu korytarza. Przez chwilę nasłuchiwałem pod drzwiami. Z wnętrza dochodziła przytłumiona muzyka, ludowy blues.

Zapukałem. Muzyka urwała się raptownie.

— Kto tam? — odezwał się kobiecy głos.

— Harry.

— No, nareszcie.

Przekreśliła zatrząsk i otworzyła drzwi. Natarłem na nią ciałem, zdjąłem jej dłoń z klamki i zamknąłem za sobą drzwi na wypadek, gdyby niemy krzyk, zastygły na jej wargach, eksplodował dźwiękiem. Ale nie doszło do tego. Tylko kurczowy grymas wykrzywił jej twarz. Podniosła instynktownie prawą pięść na wysokość oczu i przyglądała mi się zza jej osłony.

— Niech pani się nic nie boi, pani Hendricks. Nie zrobię pani krzywdy.

— Co pan powie — odparła. Ale rozluźniła się na tyle, że była w stanie otworzyć zaciśniętą pięść i przyglądzić rude włosy. Krzywy grymas ustąpił z jej ust. — Kim pan jest?

— Znajomym Harry'ego. Umówiłem się z nim.

Nie uwierzyła mi. Robiła wrażenie kobiety, która nie wierzy już w nic prócz cyfr na banknotach oraz cen strojów i ludzi. Ubrana była ze smakiem, w coś luźnego, brązowego, z rękawami trzy czwarte, co podkreślało jej figurę, ale bez przesady. Piękne kształtne ręce i nogi miała opalone na brąz. Natomiast twarz malowała tak, jakby zwątpiła w swoją urodę albo chciała ją ukryć pod makijażem. Przyglądała mi się podejrzliwie spod powiek bardziej zielonych od jej oczu, przez rzęsy sterczące w przestrzeń jak anteny sztywne od tuszu.

— Jak pan się nazywa? — zapytała.

— Czy to ważne?

— Wobec tego wynocha z mojego pokoju!

Ale nie liczyła, że posłucham. Jeśli na coś jeszcze liczyła, to tylko na to, że los jej łaskawie oszczędzi dalszych upokorzeń.

— To nie pani pokój, tylko Harry'ego. A on się tu ze mną umówił.

Rozejrzała się po pokoju — po wytartym dywanie, wyblakłych kwiatach na tapecie, lampce nocnej z przy- żółconym tekturowym abażurem — jakby się przymierzała do otoczenia. Pozornie nie pasowała do niego zupełnie. Miała styl, który

można kupić, ale nie od ręki u „Bullocksa i Magnina”. Jej brązowa torebka, leżąca na łóżku, była ściągana jak sakiewka na złote sznurki i wyglądała na paryską. Lecz jej właścicielka, mimo całego szyku, należała duchem do tego pokoju, jak więzień do swojej celi. Była już w życiu więźniem takich pokoi i czuła, że grozi jej to znowu.

– To także mój pokój – powiedziała.

Dla zadokumentowania tego, a może i dla rozładowania atmosfery podeszła do szafki nocnej i nastawiła głośniejsze radio tranzystorowe. Blues jeszcze się nie skończył. Minęły zaledwie dwie minuty.

– C-co...?

Głos jej się załamał. Była ciągle tak pełna napięcia, że ledwo oddychała. Przełknęła dla rozluźnienia zdławionej krtani. Nie mogłem oderwać oczu od cudownego mechanizmu jej szyi.

– C-co pan ma za interes do Harry’ego? – wykrztusiła w końcu.

– Chcę z nim porównać dane o Francisie Martelu.

Zatrzepotała rzesami.

– O kim?

– O Martelu. Człowieku, którego zdjęcie próbowała pani zdobyć.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Wie pani dobrze. Rozmawiałem przed chwilą, z fotografem Malkovskym. Proponowała mi pani zrobienie zdjęcia Martela. A pani - mąż nadstawiał dziś osobiście karku, żeby go sfotografować.

– Pan z policji?

– Niezupełnie.

– To skąd pan tyle o mnie wie?

– Niestety, to wszystko, co wiem. Chciałbym, żeby mi pani powiedziała więcej.

Niezręcznie, lekko drżącymi palcami wyjęła ze swojej brązowej sakiewki złotą papierośnicę. Otworzyła ją, wyłuskała papierosa i wsunęła między wargi. Podałem jej ognia. Usiadła na łóżku i oparłszy się na łokciu jąła pracowicie wydmuchiwać kłęby dymu na sufit, jakby dla przesłonięcia jego brudu.

– Niech pan tak nade mną nie sterczy. Zachowuje się pan tak, jakby mi pan chciał skoczyć do gardła.

– Podziwiałem pani szyję.

Przysunąłem sobie jedyne krzesło i usiadłem.

– Czaruje mnie pan? – Jej głos był ironiczny. Zasłoniła szyję palcami jak cielistym kołnierzykiem i obserwowała mnie przez chwilę. – Nie mogę pana rozgryźć. Chyba że mnie pan bierze pod włos, żeby coś ze mnie wydobyć. Ale nic z tego.

– Jest pani naprawdę żoną Harry’ego⁷

– Owszem, jestem. – Zabrzmiało to tak, jakby ją samą to dziwiło. – Pokazałabym panu świadectwo ślubu, ale tak się nieszczęśliwie składa, że go nie mam przy sobie.

– Jak Harry może sobie pozwolić na taką żonę jak pani?

– Nie może. Toteż położyliśmy krzyżyk na naszym pożyciu. Ale pozostaliśmy przyjaciółmi. Harry nie zawsze był taki przegrany – dodała z rodzajem szorstkiej melancholii. – Za dawnych czasów można było przy nim boki zrywać.

– A pani nie zawsze była taka wygrana.

– Kto panu to powiedział?

– Nikt mi nie potrzebował mówić.

Twój głos mi powiedział, królowo, i sposób, w jaki się obnosisz ze swoim ciałem, jakbyś stąpała po wodzie. I wzrok, którym lustrowałaś ten pokój, mi powiedział, i uczucia, którymi ta lustracja zagrała na twojej twarzy.

– Pan z Las Vegas? – zapytała.

– Na przyszłość radziłbym o to pytać z uśmiechem.

– Tak czy nie?

– Jestem z Hollywoodu.

– I czym pan się zajmuje, Hollywoodzie? Jeśli pan się w ogóle czymś zajmuje.

– Prowadzę prywatne dochodzenia.

– Aha, rozpracowuje mnie pan?

Po jej twarzy przemknął znowu strach. Nie przeszkodziło jej to wskazać mi wzrokiem, że potrzebuje popielniczki z szafki nocnej, i zgasić niedopałek, gdy ją podsunąłem na dłoni. Następnie zmieniła pozycję ciała, układając się ciężko na boku, z półświadomą niezdarnością, mającą mi zapewne

zademonstrować jej bezradność. Ale jej dorodne kształtne ciało nie potrzebowało mojej pomocy; radziło sobie świetnie na łóżku hotelowym.

– Myli się pani – powiedziałem. – Zostałem zaangażowany dla rozpracowania Martela.

– Przez, kogo?

– Przez kogoś stąd. Nazwisko nie ma znaczenia. Martel ukradł mu narzeczoną.

– To by się trzymało kupy. Zgadzało – poprawiła się. – Martel to złodziej.

– Co pani ukradł?

– Słuszne pytanie. Ale najpierw chciałabym się upewnić, czy to ten sam człowiek. Widział go pan?

– Parę razy.

– Niech pan go opisze. Może się dogadamy.

– Jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, średniej budowy ciała, nietęgi, ale musukularny, szybki w ruchach, Może mieć trzydzieści lat. Włosy czarne, kruczoczarne, zachodzące dość nisko na czoło. Czesze się do góry. Cera ciemna, prawie jak u Indianina. Nos długi, często roz- dyrna nozdrza. Mówi z francuskim akcentem, wtrąca słowa francuskie, twierdzi, że jest antygaullistowskiin uchodzącą politycznym.

Słuchała potakując głową, dopiero ostatnie zdanie zbiło ją z tropu.

– C-co? – zapytała.

– Podaje się za Francuza, który musiał uciekać z Francji, bo się nie zgadza z de Gaullé'em.

– A! – powiedziała, lecz ciągle nie rozumiała.

– De Gaulle jest prezydentem Francji.

– Co pan? Wiem. Słucham komunikatów.

Wskazała wzrokiem radio, które grało rock-and-rolla.

– Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że to zgaszę?

– Może pan trochę przyciszyć, ale niech pan nie gasi. Nie znoszę zawodzenia wiatru.

Przyciszyłem muzykę ledwo, ledwo. Moje drobne gesty zaczynały wytwarzać między nami rodzaj porozumienia, jakbyśmy powoli wchodzili w role narzucone nam przez ten

pokój. Było to jednak bardzo niepewne porozumienie, uzależnione od fluktuacji jej obaw i wątpliwości. Stawiała mi rzeczowe pytania i zdawała się wierzyć odpowiedziom, ale w jej oczach wciąż się czaiła niepewność, czy nie przyszedłem jej zabić.

– Wie pani, kim on jest? – zapytałem.

– Domyślam się. Na pewno nie jest Francuzem.

– A kim?

– Powiem panu – odrzekła raźniej, jakby się w końcu zdecydowała, co powiedzieć. -- Jestem sekretarką osobistą bardzo wpływowego handlowca z Południa. Otóż rzekomy Martel wkradł się w łaski mojego chlebodawcy i stał się jego prawą ręką.

– Skąd pochodzi?

– Nie wiem dokładnie. Ale chyba gdzieś... skądś z Ameryki Południowej. Mój szef popełnił niewybaczalny błąd zawierając mu szyfr do sejfu. I co się dzieje? Nasz pan Martel ulatnia się z fortuną w obligacjach na okaziciela, które właśnie usiłujemy z Harrym... które Harry i ja usiłujemy odzyskać.

– A czemu nie policja?

Miała gotową odpowiedź.

– Bo mój szef ma nadal słabość do pana Martela. Ponadto w grę wchodzi bardzo delikatne interesy.

– Jakie interesy?

– Tego nie mogę zdradzić – odparła oględnie. Zmieniła znowu pozycję, jakby liczyła, że symetria i estetyka jej ciała, którego mogę sięgnąć wyciągniętą ręką, odwrócą moją uwagę od luk zaimprovizowanej historyjki. – Mój szef zobowiązał mnie do bezwzględnej tajemnicy.

– Jak się nazywa pani szef?

– Nie mogę powiedzieć, ale zna pan na pewno jego nazwisko. Jest bardzo bogatym człowiekiem, bardzo wpływowym w pewnych kręgach.

– W dolnych kręgach piekieł?

– C-co pan powiedział?

Ale dobrze słyszała. Wydeła wargi i zmarszczyła cienkie malowane brwi. Nie za bardzo jednak, bo od tego się robią

zmarszczki. Co gorsza, mogłem ją każdej chwili zabić, a nie chciała umrzeć z grymasem na ślicznej buzi.

– Gdyby pan mnie potraktował serio i pomógł mi odzyskać te pieniądze i tak dalej, mój szef na pewno by pana hojnie wynagrodził. Ja też bym się odwdzięczyła.

– Musiałbym wiedzieć więcej o sprawie.

Na przykład, co się kryje pod „i tak dalej”.

– Oczywiście, to zrozumiałe. Pomoże mi pan?

– Zobaczymy. Zrezygnowała pani już z pomocy Harry’ego?

– Tego nie powiedziałam.

Ale w jej zielonych oczach odmalowało się zaskoczenie. W usilnej koncentracji na mojej osobie. i zaimprovizowanej historyjce rodem z kiczowatego filmu zapomniała widać o Harrym. Pokój przewidywał role tylko dla dwóch osób. Widziałem już swoją rolę, gdybyśmy pozostali w nim dłużej. Jej ciało prężyło się do mnie jak tygrys, ów tygrys z chińskiego przysłowia, którego niebezpiecznie jest dosiąść, a jeszcze niebezpieczniej z niego zsiąść.

– Niepokoję się o Harry’ego – powiedziałem. – Widziała go pani dzisiaj?

Potrząsnęła głową. Jej włosy rozbłysły jak ogień. Wiatr za oknami zajęczał głośniejsze od radia.

– Wspominał coś o kupnie pistoletu.

– Po co?

Wzmianka o pistolecie przejęła ją organicznym strachem.

– Przypuszczalnie przeciwko Martelowi, który mu za- laż dzisiaj za skórę. Przegonił go pistoletem, zniszczył mu aparat fotograficzny.

Wyjąłem z kieszeni spłaszczony aparat. Zasepiła się nad nim.

– Kosztował mnie sto pięćdziesiąt dolarów. Powinnam była mieć dość oleju w głowie, żeby go nie dawać Harry’emu.

– Może to był w ogóle nie najlepszy pomysł z tym fotografowaniem. Martel jest uczulony na tym punkcie. A propos, jak on się naprawdę nazywa?

– Nie wiem. Występuje pod różnymi nazwiskami. -- Wróciła do tematu Harry’ego. – Myśli pan, że Harry’emu się coś stało?

— Niewykłuczone. Jego wóz stoi na bulwarze jakieś pół mili stąd, z kluczami w stacyjce.

Poderwała się na łóżku jak oparzona.

— Czemu mi pan tego nie powiedział?

— Właśnie powiedziałem.

— Niech pan mnie tam zaprowadzi.

Chwyciła radio i torebkę, porwała z szafy płaszcz, który włożyła dopiero, gdyśmy czekali na windę. Nie wiem, czy sprawił to odgłos windy lub radia, czy też jej ciało Wysyłało sygnały na odległość, dość że wszyscy trzej zawodowcy gapili się zza kotary Sali Samońskiej, kiedy szła ze mną przez hall.

Zawróciłem i pojechaliśmy wzdłuż bulwaru. Wiatr się jeszcze wzmógł, tak że spychał wóz w stronę oceanu, który od czasu do czasu manifestował swoją obecność białymi grzywami fal. Lekko fosforyzujące, wylaniały się jak duchy, by zostać zaraz pochłonięte przez mrok. Kobieta obok mnie ślepiła na ciemne plaże. Zasunęła okno od strony oceanu.

— Dobrze się pani czuje? Pani Hendricks!

— Dobrze, dobrze. Tylko niech' pan mnie tak nie nazywa. — Jej głos brzmiał jakoś młodziej i mniej pewnie. — Mam wrażenie, jakbym się podszywała pod cudze nazwisko.. Niech pan mi mówi Kitty.

— Nie jest pani żoną Harry'ego?

— Prawnie tak, ale nie żyjemy ze sobą. Przeprowadzilibyśmy dawno rozwód, tylko że Harry jest praktykującym katolikiem. No i ludzi się ciągle, że do niego wrócę. — Pochyliła się, żeby wyrzucić na moją stronę. — Przejechaliśmy już pół mili. Gdzie ten wóz?

Nie mogłem go znaleźć. Kitty zaczynała się robić niespokojna. Zawróciłem i odszukałem dziurę w żywopłocie z cyprysów. Z ogniska pozostało ledwie parę węgielków pulsujących w popiele, trzej pijacy się rozplnęli. Tylko pusty gąsiorek poniewierał się na ziemi, a W powietrzu wisiał zapach rozlanego wina.

— Co pan tam robi? — zawołała za mną Kitty. — Znalazł pan Harry'ego?

— Nie.

Przelazła przez dziurę w żywopłocie. Torebkę i radio miała przewieszona przez przegub. Radio zanosiło się śpiewem jak samoistny stwór bez twarzy. Kitty się rozejrzała otulając ciało ciaśniej płaszczem. Nie było tu nic do oglądania – tylko dogasające ognisko, rozjazdy kolejowe połyskujące matowo w świetle gwiazd i stratowana szpetna ziemia.

– Matko święta – powiedziała. – Nic się tu nie zmieniło przez dwadzieścia lat.

– Zna pani to miejsce?

– No chyba. Urodziłam się dwie ulice stąd. Po tej gorszej stronie torów. Chociaż obie strony są gorsze – dodała cierpko – jeśli się mieszka za blisko kolei. Kiedy przejeżdżał pociąg, u mamy w kuchni brzęczały wszystkie naczynia. – Spojrzała za mroczne bocznice kolejowe. – Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby mama jeszcze tam mieszkała.

– Możemy się o tym łatwo przekonać.

– Nie! To ponad moje siły jeszcze przed nią grać komedię. Lepiej nie wracać do przeszłości.

Zrobiła chwiejny ruch w stronę żywopłotu, jakby w obawie, że znajome miejsce może ją sprowadzić na śliskie tory dalszych zwierzeń. Znała dobrze niebezpieczeństwa czyhające w pokojach hotelowych, ale zasadzki czarnej nocy pod gołym niebem przerastały jej doświadczenie. Poczucie zagrożenia zwróciło ją przeciwko mnie.

– Po co pan mnie tu przywiózł?

– Sama pani chciała.

– Powiedział pan, że tu stoi wóz Kar...

– Widocznie ktoś go ukradł.

Zaczęła się cofać balansując na wysokich obcasach, dopóki jej nie zatrzymały czarne strzępiaste gałęzie cyprysów. W ciemności widziałem tylko blady zarys jej twarzy i jasne błyski oczu i ust.

– Nigdy nie było tu żadnego wozu. Jakiej miał być marki?

– Cadillac.

– Teraz wiem, że pan kłamie. Skąd by Harry wziął Cadillaka?

– Pewnie ze składu używanych samochodów. To był stary model.

Ale czułem, że mnie nie rozumie. Słyszałem jej przyśpieszony oddech.

– Nigdy nie było żadnego samochodu – wykrztusiła. – Pan jest z Vegas. Sprowadził mnie pan tutaj, żeby zabić.

– Bzdury pleciesz, Kitty.

– Niech pan mnie nie nazywa Kitty. – Jej głos przybierał coraz infantylniejsze brzmienie. Może odżywało w niej jakieś wydarzenie z lat, gdy wszystkie naczynia brzęczały w kuchni jej matki do wtóru przejeżdżającym pociągom. – Zwabił mnie pan tutaj i teraz mnie pan nie puści.

– A idź sobie. No, jazda. Zmiataj stąd.

Ale tylko się wciskała coraz głębiej w cyprysy, jak jakieś zwierzę nocne. Radio zapamiętałe wywodziło w ciemności swoje trele. Zaleciała mnie nieoczekiwana woń jej perfum, pomieszana z zapachem oleju pędnego, ogniska i wina.

W nagłym błysku zrozumienia ujrzałem, jak dwoje ludzi i splot okoliczności może doprowadzić do bezsensownego zabójstwa. Prawie chciała zostać zamordowana. Kulila się w cieniu kwiląc:

– Nie zbliżaj się do mnie. Powiem wszystko tatu- siowi.

– Zmykaj stąd, głupia.

Krzyk, który w niej wzbierał przez cały czas, w końcu się zmaterializował. Sięgnąłem na ślepo, złapałem ją w pól i przyciągnąłem do siebie. Zrobiła głośny wdech i zamachnęła się z całej siły radiem. Rąbnęło mnie olśniewająco w głowę i zamilkło, jakby muzyczna strona osobowości Kitty umarła nagłą śmiercią.

Puściłem ją. Zaczęła niezdarnie uciekać zaczepiając obcasami o coraz to nowe szyny – rozpluwający się błędny cień, dźwięk tłukący się w mroku.

Najbliższa droga do domu Martela prowadziła koło atelier Eryka Malkovsky'ego na Rynku. Wstąpiłem, żeby się dowiedzieć, czy jego poszukiwania dały rezultaty. Miał ręce

brudne od kurzu, a na czole odciski palców jak chodzący dowód rzeczowy.

– Kazał pan na siebie czekać – powiedział. – Nie wiedziałem już, co myśleć.

– Sam często nie wiem, co myśleć. Znalazł pan jej zdjęcie?

– Pięć. Może mam gdzieś jeszcze więcej.

Zaprowadził mnie na zaplecze i rozłożył zdjęcia na stole, ruchem gracza demonstrującego pokera w karcie. Cztery przedstawiały Kitty w prostym białym kostiumie kąpielowym nad basenem w Klubie Tenisowym. Stała zapatrzona romantycznie w morze, pólleżała uwodzicielsko na ogrodowej kanapce, przeżyła się sucha na trampolinie. Była naprawdę piękną dziewczyną, ale jej nienaturalne pozy psuły wszystkie cztery ujęcia.

Piąte zdjęcie było inne. Siedziała z kieliszkiem przy stoliku, całkowicie ubrana i nie upozowana, w letniej sukience bez rękawów i szerokim kapeluszu. Na stoliku obok jej ręki spoczywała męska dłoń z brylantem o prostokątnym szlifie. Poza tym mężczyzna był niewidoczny na zdjęciu, ale Kitty wyraźnie się do niego uśmiechała.

Za jej plecami rozpoznałem ścianę patio i jeden z domków Klubu Tenisowego, porośnięty bugenwillą.

– To zdjęcie najbardziej jej się podobało. – Maikovsky pokazał mi notatkę na odwrocie: „8 odb. 10 x 15 à 5 dol. = 30 dol. Zapł. 27 wrz. 1959”. – Szarpnęła się na sześć odbitek. Czy też jej mąż. Był również na zdjęciu, ale kazał się odciąć.

– Czemu?

– Pamiętam, że powiedział coś o pięknej i bestii. Nie był właściwie wcale odrażający, tylko starszy. Mówiłem panu. No, i zdaje się przeszedł twardą szkołę.

– Jak się nazywał?

– Nie pamiętam. Ale mogę sprawdzić w klubie.

– Dzisiaj?

– Jeśli pani Strome nie będzie miała nic przeciwko temu. Jest już cholernie późno.

– Płacę podwójnie, chyba pan nie zapomniał?

Podrapał się po nasadzie włosów i lekko zarumienił.

– Mógłbym dostać coś a conto?

Spojrzałem na zegarek. Minęło mniej więcej dwie godziny od zawarcia naszej umowy.

– Co by pan powiedział na czternaście dolarów?

– Świetnie. Ale skoro już o tym mowa – ciągnął nie przestając się drapać po głowie – jeśli pan chce to zdjęcie, to należy mi się również za nie zapłata. Pięć dolarów sztuka.

Wyciągnąłem banknot dwudziestodolarowy.

– Wezmę to, które jej się najbardziej podobało. Chyba nie ma nadziei na znalezienie brakującej części? Tego, co pan odciął?

– Może mi się uda znaleźć kliszę.

– Za to zapłaciłbym więcej.

– Ile?

– Zależy, co na niej jest. Minimum dwadzieścia dolarów.

Zostawiłem go grzebiącego entuzjastycznie w zakurzonych kartonach na półkach i ruszyłem w kierunku wzgórz. Jechałem pod wiatr, który dudnił w kanionie jak spieniony potok z gór i zawodził w zaroślach koło domu Bagshawów. Gorący podmuch omal mnie nie przewrócił, kiedy wysiadłem z auta.

Czarnego Bentleya nie było na podjeździe. Pchnąłem drzwi frontowe, ale były zamknięte na glucho. W całym domu nie paliło się ani jedno światło i nikt nie odpowiedział na moje natarczywe dobijanie się. Wobec tego powróciłem do atelier na Rynku, gdzie Eryk Malkovsky, z błyskiem w oku, wręczył mi kliszę.

Obok Kitty siedział mężczyzna w prążkowanym garniturze, opiętym na masywnych barach i udach. Był prawie łysy, za to z rozpiętego kołnierzyka koszuli, jakby dla rekompensaty, wyglądała bujnie owłosiona pierś, biaława w negatywie. Na czarnej twarzy miał przyklejony uśmiezek dobrotliwej wesołości, któremu kłam zadawały wąskie białe oczy.

Za nim, na tle ściany patio, majaczyła nieostra sylwetka młodego mężczyzny z wąsikami, w kelnerskiej kurtce i z tacą w rękę. Było w niej coś mgliście znajomego, pewnie przypominała jednego z kelnerów kręcących się w klubie.

– Cud, że w ogóle to znalazłem nie znając nazwiska –

powiedział Malkovsky.

— Sprawdzimy nazwisko w klubie, jak pan proponował. Nie przypomina pan sobie nic więcej o tym mężczyźnie? Był mężem tej kobiety?

— Zachowywali się jak małżeństwo. Przynajmniej ona. Mężczyzna był nie bardzo zdrow, ona skakała koło niego.

— Co mu było?

— Nie wiem. Poruszał się z trudem. Spędzał większą część dnia w domu albo w patio. Grał w karty.

— Z kim?

— Z różnymi ludźmi. Niech pan sobie nie wyobraża, że go często widywałem. Prawdę mówiąc, raczej go unikałem.

— Czemu?

— To był niebezpieczny typ, mimo że inwalida. Poza tym nie lubię, kiedy mnie ktoś traktuje jak fagasa. Wykonuję wolny zawód, mam swój honor.

Rozumiałem go aż nadto dobrze. Też niby wykonuję wolny zawód i nie lubię, kiedy mnie ktoś traktuje jak fagasa. Zapłaciłem mu obiecane dwadzieścia dolarów i pojechaliśmy do klubu, każdy swoim autem. Ella otworzyła pokój za gabinetem kierownika, gdzie się mieściło archiwum klubu, i Malkovsky zagłębił się w kartotekach. Miał jako punkt wyjścia datę 27 września 1959 roku, kiedy to Kitty zapłaciła mu za zdjęcia.

Ja tymczasem poszedłem do głównego budynku. Orkiestra ciągle grała, ale bawili się już tylko najwytrwalsi i zabawa koncentrowała się głównie koło baru. Chociaż nie było jeszcze tak późno jak na zabawę taneczną, większość uczestników przeszła podczas mojej nieobecności taką metamorfozę, jakby została dotknięta chorobą psychiczną albo lekkim wylewem krwi do mózgu.

Tylko barman był ciągle nie zmieniony. Mieszał cocktaile, stawał je na kontuarze i wycofywał się dyskretnie w głąb, skąd obserwował zabawę swymi czarnymi oczyma, mieniącymi się jak żywe srebro. Pokazałem mu zdjęcie Kitty oraz kliszę. Przysunął je do świetlówek za barem.

— Ta-ak, przypominam sobie tę parę. Przyszli tu kiedyś

wieczorem i ona chciała się upić benedyktynem z brandy, wyobraża pan sobie? Zdaje się, że to był jedyny cocktail, jaki znała. Oczywiście się zakrztusiła, dostała ataku kaszlu. Zaraz się zbiegło paru pomagierów i dalej ją klepać po plecach. Ten jej mąż chciał się brać do bicia, aleśmy go z panem Fablonem jakoś ugłaskali.

– Co wspólnego miał z tym pan Fablon?

– Był z nimi.

– Przyjaźnili się?

– To za dużo powiedziane. Po prostu był z nimi. Przyszli razem. Może mu babka wpadła w oko. Faktycznie była szałowa.

– Czy pan Fablon uganiał się za kobietami?

– Wyciąga pan pochopne wnioski. Lubił kobiety, ale żeby się za nimi uganiał...? Już prędzej one się za nim uganiały. Pan Fablon miał dość oleju w głowie, żeby się nie wdawać w romanse z taką cizią. Jej mężowi lepiej było nie wchodzić w drogę.

– Co to za jeden, Marco?

– Nie widziałem go nigdy przedtem ani potem i wcale mi się nie pali do spotkania. Niebezpieczny facet. Bandzior, rozrabiaka.

– Skąd się wziął w klubie?

– Mieszkał w jednym z domków. Niektórzy członkowie nie potrafią powiedzieć nie, jak ich ktoś poprosi o wprowadzenie do klubu. Oszczędziliby mi masę kłopotu, gdyby się nauczyli mówić nie. – Rozejrzył się po sali z rodzajem pobłażliwej wyższości. – Nalać panu czegoś?

– Nie, dziękuję.

Marco pochylił się do mnie przez bar.

– Może nie powinienem tego mówić, ale była tu niedawno pani Fablon.

– I co?

– Pytała o to samo, co pan. Czy wierzę, że jej mąż popełnił samobójstwo. Wie, żeśmy się lubili z panem Fablonem. Powiedziałem, że nie, nie wierzę.

– Co ona na to?

– Nie zdążyła nic powiedzieć. Przyszedł doktor Sylvester i

zabrał ją. Była w nie najlepszej formie.

— Co to znaczy?

Marco pokręcił głową szybkim, ostrzegawczym ruchem. Do baru podeszła kobieta i zażądała podwójnej szkockiej. Stała za moimi plecami, tak że dopiero gdy się ponownie odezwała, poznałem jej zmieniony głos.

— Mój mąż może pić podwójne szkockie, to ja też mogę...

— Jak pani doktorowa uważa.

Marco położył fotografię i kliszę na barze i nalał jej skąpo szkockiej. Wyciągnęła obydwie ręce przed moim nosem i przysunęła sobie równocześnie szklaneczkę i zdjęcie Kitty.

— Kto to? Pasjami lubię fotografie.

— To moje — powiedziałem.

Popatrzyła na mnie, lecz jej oczy, mętne od alkoholu, nie poznawały mnie.

— Ale chyba wolno popatrzeć? — zapytała zaczepnie. — To pani Ketchel, tak?

— Kto?

— Pani Ketchel — powtórzyła.

— Pani znajoma?

— N-no, niezupełnie. — Wyprostowała się sztywno.

Utapirowane włosy opadały jej na czoło jak zsuwająca się peruka. — Jej mąż był pacjentem mego męża. Lekarz nie może sobie dobrać pacjentów, rozumie pan?

— Rozumiem, jestem w podobnej sytuacji.

— Prawda, pan jest tym detektywem — powiedziała. — Skąd pan wziął zdjęcie pani Ketchel?

Machnęła mi fotografią przed oczami. Wszyscy goście przy barze obrócili się na moment w naszą stronę. Wyjąłem jej zdjęcie z ręki i schowałem wraz z kliszą do kieszeni.

— Może mi pan. śmiało zawierzyć największe tajemnice — zapewniła. — Jestem żoną lekarza.

Zsunąłem się ze stołka barowego i odciągnąłem ją do pustego stolika.

— Gdzie pani mąż?

— Pojechał odwiedzić Mariettę Fablon do domu. Była kompletnie... Nie najlepiej się czuła. Ale mąż wróci.

— Co jest pani Fablon?

— Co jej nie jest? — odparła niefrasobliwie. — Marietta jest moją przyjaciółką, jedną z najdawniejszych, jakie mam w tym mieście. Ale ostatnio się doprowadziła do oplakanego stanu, pod względem fizycznym i psychicznym. Jestem jak najdalsza od potępiania ludzi, którzy zagląдают do kieliszka... Prawdę mówiąc, sama jestem w tej chwili trochę uiulana, panie...

— Archer — powiedziałem.

— Ale Marietta — ciągnęła bez najmniejszej przerwy — przyjechała tutaj pijaniusia. Weszła, jeśli to można nazwać wejściem, dosłownie na gumowych nogach. Przelewała się George'owi przez ręce, kiedy ją chciał wyprowadzić do auta. W ogóle staje się dla niego coraz większym ciężarem.

— W jakim sensie?

— Moralnym, finansowym. Mniejsza o to, że mu nie płaci od świętej pamięci. Ostatecznie się przyjaźnimy, niech tam. Ale jak zaczyna od niego wyłudzać pieniądze, to już lekka przesada.

— Wyłudza od niego pieniądze?

— Czy wyłudza? Nie dalej jak dzisiaj zaprosiła go na lunch korzystając, że się wybieram do fryzjera, i najbezcelniej w świecie próbowała go naciągnąć na pięć tysięcy. Ale my nie mamy takiej sumy w banku, tylko dlatego się o wszystkim dowiedziałam. George nie mógł zaciągnąć pożyczki bez mojego podpisu. Powiedziałam: nie ze mną takie numery. — Urwała i jej twarz, zacietrzewiona pijackim gniewem, zastygła w nagłym przerażeniu. Nietrudno było zgadnąć, że przebiega w myśli wszystko, co mi napaplała. — Ja tu panu opowiadam najświętsze tajemnice rodzinne.

— Nie szkodzi.

— Nie szkodzi, jeśli pan nie powtórzy George'owi. Nie powtórzy pan, prawda?

Wyładowawszy złość, chciała się zabezpieczyć przed konsekwencjami.

— Nie, powtórzę — obiecałem.

— To miło z pana strony. — Ujęła moją dłoń leżącą na stoliku i ścisnęła dosyć mocno. Była teraz bardziej niespokojna niż pijana, szukała rozpaczliwie czegoś, co by jej poprawiło

samopoczucie. – Lubi pan tańczyć, panie Arch?

– Archer – powiedziałem.

– Bo ja pasjami lubię tańczyć.

Nie puszcżając mojej dłoni wstała i poholowała mnie na parkiet. Zaczęliśmy podrygiwać w kółko. Jej włosy włożyły nam obojgu w oczy, jej biust poszturchiwał mnie w pierś, jakby chcąc przelać we mnie jej entuzjazm.

– Na imię mi Audrey – zwierzyła się. – A panu, panie...

– Archanioł – powiedziałem.

Gruchnęła śmiechem, który mi przeszył na wy lot. prawy bębenek. Kiedy orkiestra przestała grać, odprowadziłem ją do stolika i wymknąłem się z powrotem do recepcji. Ella trwała na swoim posterunku, była tylko coraz bledsza.

– Zmęczona pani? -- zapytałem.

Przejrzała się w lustrze ściennym naprzeciwko swego biurka.

– Niespecjalnie. To ta muzyka. Działa mi na nerwy, kiedy nie mogę sama tańczyć. – Przesunęła dłonią po czole. – Chyba długo tu nie zagrzeję miejsca.

– Dawno pani tu pracuje?

– Dopiero dwa lata.

– A co pani przedtem robiła?

– Właściwie nic. Zajmowałam się domem. – Zmieniła temat. – Widziałam, że pan tańczył z Audrey Sylvester.

– Czasami można się przy okazji czegoś dowiedzieć.

– Nie t o miałam na myśli – powiedziała. – Tylko niech pan z nią uważa. Nie jest alkoholiczką w pełnym tego słowa znaczeniu, ale jak już zacznie pić, to pije do upadłego.

– I co wtedy robi?

– Co jej wpadnie do głowy. Nocna kąpiel w oceanie, nocne igraszki na sianie.

– Jednej i tej samej nocy?

– Wcale bym się nie zdziwiła.

– A można jej wierzyć?

– Zależy, co i o kim mówi.

– O niej. – Wyjąłem fotografię Kitty. – Że się nazywa Ketchel i że jej mąż był pacjentem doktora Sylvestra.

– Chyba nie wyssała tego z palca.

– Skoro już jesteśmy przy pacjentach doktora Sylvestra, podobno pojechał odwiedzić panią Fablon do domu?

Ella kiwnęła trzeźwo głową.

– Musiałam pomóc ją wsadzić do auta. Sam by nie dał rady.

– Taka była ululana?

– Nie sędzę. Prawie nie pije.

– Pani doktorowa twierdzi, że była pijaniusia. Nie.

– Pani doktorowa nie jest wiarygodnym świadkiem, szczególnie kiedy sama pije. Marietta... pani Fablon była nie tyle pijana, co chora. Zupełnie wytracona z równowagi. Martwi się o Ginny znacznie bardziej, niż to okazuje.

– Zwierzyła się pani?

– Niedosłownie. Ale przyjechała tutaj szukać oparcia moralnego. Chciała, żeby ktoś potwierdził, że słusznie postąpiła zachęcając Ginny do ucieczki.

– Więc wie o jej wyjeździe?

Ella kiwnęła głową.

– Ginny wpadła wieczorem do domu. Przyjechała się pożegnać i wziąć trochę rzeczy. Była może pięć minut. Zdaje się, że to najbardziej wstrząsnęło jej matką.

– Kiedy to było?

– Jakąś godzinę temu.

– Jest pani dobrym świadkiem. Nie miałyby pani ochoty zaangażować się na stałe?

– Zależy, czego miałabym być świadkiem.

Wymieniliśmy ostrożne uśmiechy. I ona, i ja mieliśmy za sobą nieudane małżeństwo. Zostawiłem ją i wszedłem do archiwum. Malkovsky, pochylony nad wysuniętą szufladą, przerzucał fiszki.

– Robię, zdaje się, postępy. Znalazłem siedem kart gości, którzy się przewinęli przez klub w sierpniu 1959, pojedynczo lub parami. Cztery nazwiska wykluczam. Należą do ludzi, których pamiętam, bo byli tu kilkakrotnie. Pozostali mi Sandersonowie, de Houvenelowie i Berglundowie. Ale jakoś żadne nazwisko mi nie brzmi.

– Niech pan poszuka Ketchelów.

– Ketchelowie! – Malkovsky zamrugał oczami, na jego

twarzy pojawił się uśmiech. – Tak, to chyba oni. Ale w kartotekach nie figurują.

– Może karta została usunięta.

– Albo zagubiona. W tych starych kartotekach jest okropny bałagan. Ale tak, to na pewno Ketchelowie. Jak pan wpadł na ich nazwisko?

– Podsunął mi je ktoś z członków. – Wyjąłem kliszę. – Mógłby mi pan zrobić z tego parę odbitek?

– Nie widzę przeszkód.

– Jak długo to potrwa?

– Mogę zrobić na jutro.

– Na ósmą rano, dobrze?

– Postaram się – odrzekł po chwili wahania.

Wręczyłem mu kliszę, z napomnieniem, żeby jej nie zgubił, i odprowadziłem, go aż do drzwi wyjściowych. Gdy nie mógł nas już słyszeć, Ella odezwała się sucho:

– Mam nadzieję, że pan mu godziwie zapłaci. Fotografowaniem z trudem zarabia na życie. Ma na utrzymaniu żonę i dzieci.

– Zapłacę mu godziwie. W archiwum nie ma żadnego śladu pobytu Ketchelów w klubie.

– Może pani Sylvester podała panu złe nazwisko.

– Nie sądzę. Eryk rozpoznał je natychmiast. Bardziej prawdopodobne, że ktoś usunął kartę. Czy dostęp do archiwum jest łatwy?

– Niestety tak. Kręci się tu mnóstwo ludzi, a archiwum je&t często otwarte. Czy to takie ważne?

– Może się okazać ważne. Chcę wiedzieć, kto wprowadził Ketchelów do klubu.

– Może będzie pamiętał pan Stoli. Tylko że on już poszedł.

Wy tłumaczyła mi, jak do niego trafić. Ale jego domek był zamknięty na głucho. Tylko wiatr zawodził w krzakach jak porzucony psiak. Wróciłem do recepcji. Doktora Sylwestra wciąż nie było. Zajrzałem do baru, gdzie się kiwała nad szklaneczką jego połowica. Wycofałem się czym prędzej, żeby mnie nie zauważyła.

Ella opowiedziała mi szczegółowiej o swoim drugim małże-

ństwie. Jej mąż, mecenas Strome, miał praktykę w mieście. Był starszym mężczyzną, wdowcem, kiedy za niego wyszła. Znała go dobrze, bo była jego sekretarką, ale obowiązki żony okazały się pod pewnymi delikatnymi względami trudniejsze. Jej pierwszy mąż był za młody, drugi za stary. Starsi mężczyźni mają głęboko zakorzenione nawyki, także seksualne.

Pozwoliłem rozmowie biec swoim torem. Takie bezprzedmiotowe, chaotyczne rozmowy są jednym z moich najlepszych źródeł informacji. Przy tym Ella mi się podobała, jej małżeństwo mnie interesowało. Jego dzieje pasowały do długiego trudnego wieczoru, którego końca nie było widać.

Żyła ze Stromem przez sześć lat, aż wreszcie nie wytrzymała. Rzuciła go nie występując nawet o alimenty.

Jacyś ludzie wyszli z głównego budynku i Ella ich pożegnała zwracając się do każdego po nazwisku. Inni bawili się nadal. Ich śmiechy, na przemian z przyływami muzyki i wiatru, wypełniały pauzy naszej rozmowy czy raczej monologu Elii. Kres naszemu sam na sam położył powrót doktora Sylwestra, który z gniewnym impetem pchnął drzwi wejściowe.

– Moja żona jeszcze tu jest? – zapytał Ellę.

– Chyba tak.

– W jakim stanie?

– Trzyma się na nogach – powiedziałem.

Obrzucił mnie lodowatym spojrzeniem.

– Nikt pana nie pyta. – Ruszył w kierunku baru, ale się zatrzymał i obrócił do Elli: – Nie sprowadziłaby jej pani? Nie mam ochoty spotykać się jeszcze raz z tymi wszystkimi ludźmi.

– Z przyjemnością. Jak się ma pani Fablon?

– Nic jej nie będzie. Uspokoilem ją trochę. Córka ją wyprowadziła z równowagi, skomplikowały sytuację proszki nasenne.

– Chyba nie próbowała zażyć nadmiernej ilości?

– Skądże. Wzięła normalną dawkę, po czym postanowiła przyjechać tutaj i pogadać z ludźmi. Wystarczył jeden kieliszek, żeby wywołać wiadome skutki. – Zrobił krótką pauzę, po czym podjął już nie lekarskim tonem: – To co, sprowadzi pani moją żonę?

Ella zniknęła w oświetlonym korytarzu. Oparłem się o blat recepcji i obserwowałem doktora Sylvestra w lustrze. Zapalił papierosa udając, że o mnie zapomniał, ale moja obecność nie dawała mu spokoju. Zakrzusiwszy się dymem wybuchnął:

— Co pan się tak na mnie gapi? Zaangażował się pan w charakterze portiera czy co?

— O niczym innym nie marzę. Wprawdzie pensja podła, ale jakie korzyści uboczne! Poznaje człowiek całą śmietankę towarzyską.

— Zdaje się, że chce pan wylecieć na zbitą twarz!

Zacisnął zęby jak szczęki imadła, ręce mu zaczęły drżeć.

Na dobrą sprawę powinienem był mu dać. nauczkę. Zasłużywał na to, a nie był ułomkiem. Ale to do niczego nie prowadziło. Ponadto odwiózł właśnie do domu jedną niezrównoważoną kobietę i czekał na drugą, co go w pewnej mierze usprawiedliwiało.

— Spokojnie, panie doktorze. Gramy w jednej drużynie,

— Czyżby? — Zmierzył mnie badawczym wzrokiem przez obłok dymu, który mu pełził po twarzy. Potem, jakby to płonący koniuszek papierosa był winien jego wybuchowi, cisnął niedopałek na marmurową posadzkę i zdusił obcasem. — Nie wiem nawet, w co się gra — powiedział przyjaźniejszym tonem.

— To taka nowa gra. — Oddałem Malkovsky'emu negatyw zdjęcia Kitty i Ketchela, więc tylko ich opisałem. — Nie wie pan przypadkiem, kim jest ten mężczyzna z brylantem?

Była to próba prawdomówności, nie wiedziałem tylko, jego czy żony. Spróbował się wykręcić sianem.

— Trudno coś powiedzieć na podstawie ustnego opisu. Czy ten człowiek nie ma nazwiska?

— Być może Ketchel. Słyszałem, że był pańskim pacjentem.

— Ketchel. — Poglądził się po szczęce, jakby chciał ją doprowadzić z powrotem do pierwotnego kształtu. — Chyba miałem kiedyś pacjenta o takim nazwisku.

— W 1959 roku?

— Możliwe. Bardzo możliwe.

— Mieszkał w klubie?

— Zdaje się, że tak.

Pokazałem mu fotografię Kitty. Kiwnął potakująco głową.

— Tak, to pani Ketchel. Nie ma wątpliwości. Była u mnie raz, przed wyjazdem, po wskazówki w sprawie diety bezsolnej. Leczyłem jej męża na nadciśnienie. Miał wyjątkowo wysokie ciśnienie, ale udało mi się je sprowadzić do normy.

— Kim on jest?

Sylvester odegrał pantomimę przypominania sobie.

— Rentierem z Nowego Jorku. Wspominał coś, że trafił na hossę na giełdzie. Szczęściarz! Miał ranczo hodowlane gdzieś na Południowym Zachodzie.

— W Kalifornii?

— Nie pamiętam. Po tylu latach...?

— W Nevadzie?

— Wątpię. Nie jestem taki sławny, żeby moje nazwisko przyciągało pacjentów z innych stanów.

Było w tym komentarzu coś wymuszonego.

— Nie ma pan przypadkiem adresu Ketchela w swojej kartotece?

— Powiniennem mieć. Ale czemu pan się tak interesuje panem Ketchelem?

— Jeszcze nie wiem. — Postanowiłem spróbować zaskoczenia. — Czy nie w tym samym czasie popełnił samobójstwo Roy Fablon?

Tego się nie spodziewał. Przez chwilę nie wiedział, co zrobić z twarzą. W końcu ułożył ją w wyraz fałszywego znudzenia. Ale czułem, jak z napiętą uwagą obserwuje mnie zza tej maski.

— W jakim czasie?

— Fotografia Ketchelów pochodzi z września 1959 roku. Kiedy zginął Fablon?

— Niestety, nie pamiętam dokładnie.

— Był pańskim pacjentem.

— Mam wielu pacjentów, a prawdę mówiąc, niezbyt dobrą pamięć do dat. Może rzeczywiście było to mniej więcej w jednym czasie, ale jeśli pan sugeruje jakiś związek...

— Nie sugeruję. Pytam.

— O co pan właściwie pyta?

— Czy Ketchel się przyczynił do samobójstwa Fablona?

— Nie mam podstaw do takich przypuszczeń. Ale bo ja wiem?
— Znał pan obydwu. W pewnym sensie był pan łącznikiem między nimi.

— Ja?

Ale nie zaprzeczył. Wolał się w to nie wgłębiać.

— Spotkałem się ze zdaniem, że Fablon nie popełnił samobójstwa. Jego żona wróciła dzisiaj do tej sprawy. Pytała o to i pana?

— Nie — odparł nie patrząc na mnie. — Chce pan powiedzieć, że to był nieszczęśliwy wypadek?

— Albo morderstwo.

— Niech pan nie wierzy we wszystko, co pan tu usłyszy. Ten klub to wylęgarnia plotek. Ludzie w Montevíście nie mają co robić, więc wymyślają niestworzone historie o znajomych i sąsiadach.

— To nie plotka, panie doktorze. To zdanie osoby, która знаła dobrze Roya Fablona. Uważa, że nie był zdolny do samobójstwa. Co pan o tym sądzi?

— Nic.

— Dziwne.

— Nie widzę w tym nic dziwnego. Każdy człowiek jest zdolny do samobójstwa pod dostatecznie silnym naporem okoliczności.

— Co to były za okoliczności w przypadku Fablona?

— Był skończony.

— Pod względem finansowym?

— I każdym innym.

Od dalszych wyjaśnień uwolniło go pojawienie się na horyzoncie jego żony, holowanej przez Ellę. Pani Sylvester zdążyła się przez ten czas doprowadzić do następnego stadium zamroczenia, zbliżając się przy tym o jeszcze jeden krok do hysterii. Usta miała zacięte w bruzdy tępej agresywności, oczy nieruchome.

— Wiem, gdzie byłeś tyle czasu. W łóżku z nią. Może zaprzeczysz?

— Głupstwa wygadujesz, Audrey. — Osłonił się przed nią rękami. — Nic mnie nie łączy z Mariettą. Nic mnie z nią nigdy

nie łączyło.

— Nic? A te pięć tysięcy dolarów?

— To miała być pożyczka. W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego nie chciałaś się zgodzić.

— Bo byśmy nigdy więcej nie zobaczyli tych pieniędzy. Tak samo jak wszystkiego, co już wyrzuciłeś w błoto. Pamiętaj, że to tak samo moje pieniądze, jak twoje. Harowałam przez siedem lat, żebyś mógł ukończyć studia. I co za to mam? Pieniądze przychodzą i odchodzą, a ja ich nigdy nawet nie oglądam.

— Masz na swoje wydatki.

— Marietta ma więcej.

— Bzdura. Chyba nie chcesz, żeby poszła na dno?

Powiódł wzrokiem ode mnie do Elli i z powrotem. Przez cały czas sprzeczki z żoną mówił do nas wszystkich. Dopiero zdyskredytowawszy ją doszczętnie, powiedział:

— Nie uważasz, że czas wracać do domu? Popisałaś się dostatecznie jak na jeden wieczór.

Chciał ją ująć pod ramię, ale zaczęła się cofać robiąc groźne miny dla podsycenia w sobie gasnącego gniewu. Zbliżało się jednak czwarte stadium — rozżalenia nad samą sobą. Cofała się, dopóki nie wpadła na lustro. Obróciła się i popatrzyła na siebie. Ze swego miejsca widziałem odbicie jej twarzy, okolonej szopą wzburzonych włosów, nabrzmiałej od pijaństwa i złości, z przebłyskami lęku w oczach.

— Robię się stara i gruba — powiedziała — a nie stać mnie nawet na tydzień kuracji odchudzającej. Tylko ty masz zawsze na przegrywanie w karty.

— Dobrze wiesz, że nie gram od siedmiu lat.

Objął ją szorstko ramieniem i pociągnął do wyjścia. Szła na uginających się nogach jak bokser wagi ciężkiej po przegranej rundzie.

W domu Jamiesonów paliły się jeszcze światła, w domu Marietty Fablon tylko samotna lampka. Było po północy, nie

najstosowniejsza pora na wizyty. Mimo to minąłem dom Jamiesonów i zaparkowałem pod dębem przed domem Marietty.

Długo nie odpowiadała na moje stukanie. Gdy w końcu podeszła do drzwi, otworzyła judasza i przyjrzała mi się przez kratę.

– Czego pan chce? – zapytała przekrzykując szum wiatru.

– Nazywam się Ar...

– Pamiętam – przerwała ostro. – Czego pan chce?

– Porozmawiać z panią poważnie.

– Teraz? To niemożliwe. Niech pan przyjdzie rano.

– Uważam, że powinniśmy porozmawiać teraz. Niepokoi się pani o Ginny, ja też.

– Kto panu powiedział, że się niepokoję o Ginny?

– Doktor Sylvester.

– Co jeszcze panu naopowiadał?

– Łatwiej mi będzie to wyjaśnić w domu.

– Dobrze. Chociaż to istna komedia pomyłek.

Próbowała bohatercko zachować swój zwykły styl. Dopiero gdy mnie wpuściła do oświetlonego hallu, mogłem się przekonać, jak ciężko przeżyła ten wieczór. Połączone działanie leków i alkoholu nie ustało, bo źrenice płatały jej nadal dziwne figle. Jej ciało w różowym pikowanym szlafroku, wyzwolone widać z pasa, jakby obwisało na delikatnym kościecu. Różowy jedwabny czepek, który miała na głowie, nadawał jej twarzy wygląd jeszcze starszej i chudszej.

– Proszę na mnie nie patrzeć. Nie nadaję się db oglądania.

Zaprowadziła mnie do salonu. Jakkolwiek zapaliła tylko jedną lampę, widać było, że wszystko – fotele obciążone drukowanym kretonem, kanapa, wesoły dywan, zasłony – jest tu solidnie podniszczone. Jediną nową rzeczą był różowy telefon. Chciałem usiąść na jednym z kruchych foteli, ale kazała mi usiąść na innym. Sama usiadła na fotelu przy telefonie.

– Dlaczego zaczęła się pani nagle niepokoić o Ginny? – zapytałem.

– Zjawiła się wieczorem w domu, razem z nim. Żyjemy... żyłyśmy blisko z córką, czułam, że nie chce z nim wyjeżdżać, a

mimo to wyjeżdża.

– Czemu?

– Nie rozumiem tego. – Jej dłonie zatrzepotały na kolanach jak spłoszone ptaki i jedna dziobnęła drugą. – Miałam wrażenie, że się boi z nim jechać i boi nie jechać,

– Jechać dokąd?

– Nie chcieli mi powiedzieć. Ginny obiecała, że się ze mną skontaktuje.

– A jak on się zachowywał?

– Martel? Był bardzo wyniosły, oficjalny. Ostentacyjnie uprzejmy. Przepraszał, że mnie niepokoją o tej porze, ale że się nagle zdecydowali wyjechać. – Zrobiła krótką pauzę, obróciła w moją stronę wąską badawczą twarz. – Myśli pan, że naprawdę depczą mu po piętach agenci francuscy?

– Ktoś depcze.

– Ale pan nie wie, kto?

– Jeszcze nie. Chcę panią spytać o pewne nazwisko. Ketchel.

Przeliterowałem je. Jej niesamowite źrenice rozszerzyły się jeszcze bardziej. Szepiła dłonie palcami do środka, aż kostki zwarły się z sobą.

– Kto panu podał to nazwisko?

– Nikt określony. Wyłynęło samo. Widzę, że pani je zna.

– Mój mąż znał człowieka o tym nazwisku. To był szuler. – Pochyliła się do mnie. – Doktor Sylvester podał panu to nazwisko?

– Nie, ale słyszałem, że Ketchel był jego pacjentem.

– Był, był. Więcej niż pacjentem.

Na próżno czekałem na wyjaśnienie, co chciała przez to powiedzieć. W końcu zapytałem:

– Czy to Ketchel ograł pani męża w karty?

– Tak, Ketchel. Oblupił go ze wszystkiego, co mieliśmy, i jeszcze mu było mało. Kiedy Roy nie miał mu czym zapłacić...

– Urwała, jakby czując, że melodramat nie leży w jej stylu. – Nie, będziemy w to wchodzić, proszę pana. Jestem w nie najlepszej formie. Nie powinnam się była w ogóle zgodzić na rozmowę z panem w tej sytuacji.

– Jaka była dokładna data samobójstwa pani męża?

Podniosła się chwiejnie, zrobiła krok w moją stronę.

Niemal fizycznie czułem jej zmęczenie.

– Widzę, że nie daje panu spokoju nasza przeszłość. Jeśli pan chce koniecznie wiedzieć, to 29 września 1959.

Dwa dni potem, jak Malkovsky zainkasował pieniądze za zdjęcia. Zbieżność dat utwierdziła mnie w przekonaniu, że śmierć Fablona łączy się z obecną sprawą. Pani Fablon nie spuszczała ze mnie oka.

– Zdaje się, że ta data ma dla pana duże znaczenie?

– Owszem, daje do myślenia. Ale znacznie większe znaczenie musi mieć dla pani.

– Dla mnie to ' był koniec wszystkiego. – Zrobiła chwiejny krok w tył i osunęła się na fotel, jakby wracała w przeszłość, bezwolnie, ale nie niechętnie. – Żyję od tej pory jak we śnie. To dziwna rzecz. Przez cały czas naszego małżeństwa żarliśmy się z Royem jak pies z kotem. Aleśmy się. kochali. Przynajmniej ja go kochałam bez względu na to, co robił.

– A co robił?

– Wszystko, co tylko może przyjść do głowy. Przeważnie było to kosztowne i ja za to płaciłam. – Zawahała się. – Właściwie nie jestem osobą, która przywiązuje wagę do pieniędzy. I to było nasze nieszczęście. W każdym małżeństwie jedna ze stron powinna myśleć o pieniądzach bardziej niż o czymkolwiek innym. Ale żadne z nas nie myślało. Przez osiemnaście lat naszego pożycia przepuściliśmy blisko milion dolarów. Proszę zwrócić uwagę na liczbę mnogą. Byłam równie winna jak Roy. Dopiero poniewczasie nauczyłam się liczyć z pieniędzmi. – Poprawiła się na siedzeniu i wstrząsnęła ramionami, jakby myśl o pieniądzach ciążyła na nich fizycznym brzemieniem. -- Powiedział pan, że data śmierci mego męża daje panu do myślenia. Co to miało znaczyć?

– Zastanawiam się, czy rzeczywiście popełnił samobójstwo.

– Oczywiście, że popełnił.

Ale powiedziała to machinalnie, bez większego przekonania.

– Zostawił list pożegnalny?

– Nie musiał się fatygować. Dzień czy dwa przedtem zapowiedział, że to zrobi, w obecności .mojej i córki. Bóg jeden

wie, jak to się odbiło na równowadze psychicznej Ginny. Tolerowałam jej romans z Martelem właśnie dlatego, że to jest pierwszy prawdziwy mężczyzna w jej życiu. Jeśli popełniłam nieodwracalny błąd...

Urwała w pół zdania i powróciła do poprzedniego tematu. Jej myśl krążyła w kółko nerwowymi zrywami jak wiewiórka miotająca się po klatce.

— Wyobraża pan sobie ojca rodziny, który mówi coś takiego żonie i siedemnastoletniej córce? I robi to? Oczywiście, był na mnie wściekły, że się skończyły pieniądze. Nie wierzył, że do tego dojdzie. Zawsze dotąd spadał nam z nieba zapis jakiegoś krewnego albo znajdował się jakiś dom czy kawałek gruntu do sprzedania. Tym razem mieszkaliśmy już w wynajętym domu i nie mieliśmy więcej krewnych, którzy by chcieli łaskawie umrzeć i coś nam zostawić. Dlatego musiał umrzeć Roy. Z własnej ręki.

Upierała się przy tym, nie wiedziałem, czy przekonuje mnie, czy siebie. Podejrzywałem, że nie bardzo wie, co mówi, i nie chciałem jej dłużej męczyć. Ale ciągnęła swoją opowieść sama, obsesyjnie, z wysiłkiem odpowiadała na nie zadane pytania, jakby raz obudzona przeszłość wprawiła ją w trans.

— To oczywiście nie wyczerpuje sprawy. W życiu są zawsze ukryte motywy, jakieś pragnienia, impulsy, żądze odwetu, do których ludzie się nie przyznają nawet przed sobą. Dopiero w tych dniach, czystym przypadkiem, odkryłam prawdziwy powód śmierci mego męża. Mam zamiar się wyprowadzić z tego domu, więc przeglądam różne szpargały, sortuję, wyrzucam. Otóż w biurku Roya znalazłam plik starych papierów, a wśród nich list od kobiety. Był to dla mnie grom z jasnego nieba. W głowie mi nie powstało, że na dodatek do swoich wszystkich grzechów Roy mnie zdradzał. Ale list nie pozostawiał co do tego wątpliwości, był pełen niedwuznacznych szczegółów.

— Mógłbym go zobaczyć?

— Nie, nie mógłby pan. Dość wstydu się najadłam czytając go sama.

— Kto go napisał?

— Audrey Sylvester. Nie podpisała się, ale ja dobrze znam jej charakter pisma.

— Czy list był w kopercie?

— Tak, i stempel był wyraźny. 30 czerwca 1959, trzy miesiące przed śmiercią Roya. Po siedmiu latach zrozumiałam, dlaczego George Sylvester zapoznał Roya z Ketchelem i dlaczego potem się przyglądał z uśmiechem, jak Ketchel go ogrywa na trzydzieści tysięcy dolarów, których Roy nie ma. — Uderzyła się pięścią po udzie obleczonym pikowanym materiałem. — Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby to wszystko ukartował. Leczył Roya, może wiedział, że jest bliski samobójstwa, i napuścił na niego Ketchela, żeby go doprowadzić do ostateczności.

— Nie posuwa się pani zbyt daleko?

— Nie zna pan George'a Sylvestra. To człowiek bez skrupułów. I nie zna pan Ketchela. Ja się z nim raz zetknęłam w klubie.

— Ja również chętnie bym go poznał. Nie wie pani, gdzie go szukać?

— Niestety. Wyjechał z Montevisty dzień czy dwa po zniknięciu Roya. Na długo przed odnalezieniem jego ciała.

— Sugeruje pani, że wiedział o śmierci pani męża?

Zagryzła wargi, jakby dla ukarania się, że powiedziała za wiele. Szybki błysk jej oczu potwierdził słusność moich domysłów. Wiedziała, że zauważyłem, mimo to dla niezrozumiałych względów pokryła sprawę milczeniem.

— Czy Ketchel zabił pani męża?

— Tego nie twierdzę. Ale jest wraz z George'em Sylvestrem odpowiedzialny za jego śmierć.

Mimo zapiekłego żalu i gniewu zmierzyła mnie ostrożnym wzrokiem. Doznałem dziwnego wrażenia, że mam do czynienia z dwiema różnymi kobietami, z których jedna gra świadomie na uczuciach drugiej, tak jakby ktoś grał na organach nie tykając w ogóle jednego końca klawiatury.

— Popeliłam tu mnóstwo niedyskrecji. Liczę, że pan tego nikomu nie powtórzy, nie wyłączając Petera i jego ojca. Szczególnie ich.

Miałem dość jej wymyślnych rekonstrukcji i nagłych uników.

Odparłem nie bawiąc się w ceregiele:

— Nie powtórzę i powiem pani dlaczego. Bo nie bardzo wierzę w pani historyjkę. Pani sama zdaje się nie bardzo w nią wierzy.

Podniosła się chwiejnie.

— Jak pan śmie tak do mnie mówić?

— Śmiem, bo się boję o bezpieczeństwo pani córki. Pani się nie boi?

— Wie pan dobrze. Boję się śmiertelnie.

— Więc czemu pani mi nie powie, co pani naprawdę myśli? Czy pani mąż został zamordowany?

— Nie wiem, już nic nie wiem. Przeżyłam dziś wieczorem okropny wstrząs. Myślałam, że ziemia mi się roz- stępuje pod nogami. Do tej chwili się czuję, jakbym stąpała po trzęsawisku.

— Co się stało?

— Nic się nie stało. Padły tylko słowa.

— Z ust córki?

— Nic więcej nie powiem. Cokolwiek bym teraz powiedziała, powiedziałabym za dużo. Muszę najpierw zebrać więcej faktów..

— Zbieranie faktów to moja specjalność.

— Dziękuję za propozycję, ale wolę to załatwić sama.

Zapadła ponownie w milczenie. Siedziała całkowicie bez ruchu, ze swymi skłóconymi dłońmi odpychającymi się nawzajem, z oczami chłonącymi światło. Przez świst wiatru wyłowilem dźwięk jakby myszy chroboczących za ścianą. Nie od razu skojarzyłem go z osobą Marietty Fablon. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że to ona zgrzyta zębami.

Był najwyższy czas, żeby ją zostawić w spokoju. Wyprowadziłem auto spod dębu postępującego pod uderzeniami wiatru i podjechałem kilkadziesiąt kroków do Jamiesonów. Światła wciąż się tu paliły.

Drzwi otworzył ojciec Petera w piżamie i szlafroku. Robił w tym stroju wrażenie jeszcze bardziej przezroczyściego i

nieobecnego duchem.

— Proszę, niech pan wejdzie. Moja gospodyni już poszła spać, ale zawsze mogę panu służyć kieliszeczką. Liczyłem w cichości ducha, że pan wpadnie. Mam dla pana wiadomość.

Rozmawiając, jakby był biały dzień, poprowadził mnie przez hall do biblioteki. Ruchy miał chwiejne, ale jakoś trafił w drzwi, a następnie na swój fotel. Obok stała szklanka. Należał widać do alkoholików, którzy utrzymują się dzień i noc na tym samym poziomie nietrzeźwości.

— Musi pan sobie sam nalać. Ręce mi się trzęsą. — Podniósł dłonie i zlustrował ich drżenie z klinicznym zainteresowaniem.

— Powiniennem pewnie być w łóżku, ale niemal utraciłem zdolność snu. Bezsenne noce są najcięższe. Obraz mojej zmarłej żony jawi mi się jak żywy. Odczuwam jej stratę jak wielką ziejącą pustkę w sobie i we wszechświecie. Nie pamiętam, czy panu pokazywałem jej zdjęcie?

Niechętnie przyznałem, że nie. Nie miałem najmniejszej ochoty spędzić reszty nocy z nim i jego alkoholicznymi wspomnieniami. Odmierzyłem sobie z nowo zaczętej butelki wstrzemięźliwie może pół pięćdziesiątki.

Jamieson pogrzebał w skórzanym pudełku i wyciągnął fotografię młodej kobiety, oprawną w srebrną ramkę. Kobieta nie była specjalnie ładna. Musiały istnieć jakieś inne powody nie kończącej się żałoby jej męża. Może ból był jedynym uczuciem, .do którego pozostał zdolny, a może szukał po prostu pretekstu do picia. Zwróciłem mu fotografię.

— Jak dawno umarła? — zapytałem-.

— Dwadzieścia cztery lata temu. Zabił ją nasz biedny syn przychodząc na świat. Wiem, że nie mogę mieć do niego żalu, ale czasami mi ciężko, gdy pomyślę, co utraciłem.

— Pozostał panu syn.

Jamieson uczynił wolną ręką drobny ruch irytacji czy lekceważenia. Mówiło to wiele o jego uczuciach do Petera czy raczej o ich braku.

— A propos, gdzie Peter?

— Poszedł coś przegryźć do kuchni przed położeniem się. Chce się pan z nim zobaczyć?

— Może później. Podobno ma pan dla mnie wiadomość?
Kiwnął głową.

— Rozmawiałem ze znajomym z banku. Te sto tysięcy Martela, a właściwie to prawie sto dwadzieścia tysięcy, zostało zdeponowane w formie listu kredytowego Banku Nowej Granady, Banco de Nueva Granada.

— Nigdy o takim nie słyszałem.

— Ja też nie, mimo że byłem w Panamie. Nowa Granada ma centralę w Panama City.

— Czy Martel trzyma te sto tysięcy w miejscowym banku?

— Otóż nie, o tym właśnie chciałem mówić. Podjął wszystko co do centa. Gotówką. Bank chciał mu dać ochronę, ale powiedział, że mu niepotrzebna. Zapakował pieniądze do teczki i wrzucił na tylne siedzenie auta.

— Kiedy to było?

— Dzisiaj za pięć trzecia. Tuż przed zamknięciem banku. Zadzwoił z samego rana, żeby się upewnić, czy będą mieli tyle gotówki.

— Więc już rano szykował się do wyjazdu. Ciekawym, gdzie pojechał.

— Może do Panamy? Wygląda, że stamtąd czerpie dochody.

— Muszę się pokazać pańskiemu synowi. Gdzie jest kuchnia?

— Na końcu korytarza. Zobacz pan w hallu światło. Może pan potem wstąpi jeszcze na jednego?

— Robi się późno.

— Chętnie pana przenocuję.

— Dziękuję, mieszkając w hotelu mam większą swobodę ruchów.

Doszedłem ciemnym korytarzem do oświetlonej kuchni. Peter siedział przy stole pod wiszącą lampą. Jadł pieczoną gęś, która leżała przed nim, prawie cała, na drewnianym półmisku. Nie starałem się wcale stąpać cicho, ale mnie nie słyszał. Zatrzymałem się w drzwiach i patrzyłem. Nigdy nie widziałem nikogo tak jedzącego.

Obiema rękami rwał kawały gęszej piersi i pakował do ust, jak się wpycha mięso do maszynki do mielenia. Twarz miał wykrzywioną, oczy prawie niewidoczne. Urwał nogę i wbił zęby

w grubszy koniec. Ruszyłem w jego kierunku.

Kuchnia była przestronna, biała i goła. Przypominała wielką halę do koszykówki. Peter podniósł wzrok i zobaczył mnie. Upuścił gęsią nogę z miną winowajcy, jakby te była część ciała ludzkiego. Twarz miał napchaną i plamistą jak kiełbasa.

— Co ty wyprawiasz?

— Jestem głodny.

Głos lepił mu się od tłuszczu.

— Ciągłe głodny?

Kiwnął głową, ze wzrokiem wbitym tępo w rozgrzebanego ptaka, który leżał przed nim jak zewłok jego nadziei. Miałem ochotę zrobić w tył zwrot, wyjść i odesłać mu resztę zaliczki. 'Ale nigdy nie umiałem puszczać kantem klientów, choćby najbardziej niewydarzonych. Przysunąłem sobie krzesło, usiadłem naprzeciwko niego przy stole i perswadowałem, póki go nie wyrwałem z odrętwienia.

Nie pamiętam wszystkiego, co mówiłem. Przede wszystkim starałem się go przekonać, że takie przypadki jak jego się zdarzają. Pamiętam natomiast, że mój utykający monolog miał za tło suche odgłosy dochodzące od strony domu Marietty Fablon. Za pierwszym trzaskiem przemknęło mi przez głowę, że to może być strzał. Ale odrzuciłem tę myśl, gdy odgłosy się powtórzyły kilkakrotnie w nieregularnych odstępach. Prawdopodobnie okiennica lub drzwi zewnętrzne tłuką się na wietrze.

— Przepraszam pana — powiedział w końcu Peter zdławionym głosem.

— Siebie przeproś.

— Proszę?

— Siebie powinieneś przepraszać. Samemu sobie robisz największą krzywdę.

Jego twarz wyglądała w ostrym świetle jak nie wyrobione ciasto.

— Nie wiem, co we mnie wstępuje.

— Powinieneś poradzić się lekarza. To chorobliwe.

— Uważa pan, że muszę iść do psychiatry?

— Większość ludzi potrzebuje kiedyś pomocy psychiatry.

Jesteś w tym szczęśliwym położeniu, że cię na to stać.

— Nie bardzo. Dopiero za rok uzyskam prawo dysponowania kapitałem.

— Więc skorzystaj z kredytu. Jeśli cię stać na zaangażowanie mnie, stać cię i na psychiatrę.

— Naprawdę pan myśli, że coś jest nie w porządku z moją głową?

— Z twoim sercem — odparłem. — Cierpisz na głód serca. Musisz mu znaleźć jakiś inny pokarm prócz tego.

Wskazałem wzrokiem gęś.

— Wiem. Dlatego chcę odzyskać Ginny.

— To nie wystarczy. Gdyby cię kiedyś przyłapała na takim obżarstwie;..

Było to okrutne zdanie. Nie dokończyłem go.

— Już mnie przyłapała. W tym cała bieda. Każdy, jak się tylko o tym dowie, odwraca się ode mnie. Pan pewnie też się chce wycofać?

— Nie. Chcę ci pomóc uporządkować twoje życie.

— Nigdy go nie uporządkuję. To beznadziejne.

Chciał na mnie przerzucić cały ciężar moralny, ale i tak już za dużo na siebie wzięłam. Spróbowałem nieco zneutralizować sytuację:

— Moja babka, która mieszkała w Martinez, była kobietą religijną. Zawsze mi powtarzała, że rozpacz to najcięższy grzech.

Pokreślił wolno głową. Jego oczy zdawały się poruszać do taktu jak płyn w poziomicy. W chwilę później podbiegł do zlewu i zwymiotował.

Doprowadziłem zlew i jego do porządku, - gdy w drzwiach się ukazał jego ojciec. Powiedział w przestrzeń, jakby Peter był głuchy czy niespełna rozumu:

— Mój biedny syn znowu jadł.

— Niech pan go zostawi, dobrze?

— O co panu chodzi? — Podniósł swoje przezroczyście dłonie, jakby dla zadokumentowania, jakim jest wyrozumiałym ojcem.

— Byłem mu zawsze ojcem i matką zarazem. Musiałem, proszę pana.

Peter stał przy zlewie, plecami do kuchni, żeby ojciec nie widział jego twarzy. Po chwili Jamieson senior się odwrócił i zniknął cicho, jak przyszedł.

Obok dużej głównej kuchni, z jej blatami, zlewami i palnikami obudowanymi glazurą, była mniejsza kuchenka, przypominająca oszkloną werandę.»Zwróciłem na nią uwagę, bo przy drzwiach dały się słyszeć dziwne dźwięki, jakby skrobanie i niuchanie, bliższe i bardziej natarczywe niż niedawne trzaski.

– Czy na dworze jest pies? – zapytałem.

Peter potrząsnął przecząco głową.

– Chyba że się przybłąkał. Niech pan go wpuści. Damy mu kawałek gęsi.

Zapaliłem światło w przybudówce i otworzyłem drzwi. Przez próg wzołgała się Marietta Fablon. Dźwignęła się na kolana czepiając się rękami moich nóg i pasa. Na piersi jej różowego pikowanego szlafroka, jak skaza farbiarska na materiale, ciemniała krew. Oczy miała wielkie i ślepe jak srebrne monety.

– Z-zastrzelił mnie.

Pochyliłem się i podtrzymałem ją.

– Kto, Marietto?

Poruszyła z trudem wargami.

– G-gach.

Wraz z tym słowem uleciały z niej resztki życia. Niemal czułem, jak opuszczają jej ciało.

16

W drzwiach kuchni ukazał się Peter. Nie wszedł do przybudówki, którą objęła w posiadanie śmierć.

– C-co p-powiedziała?

– Że ją zastrzelił gach. Kogo mogła mieć na myśli?

– Martela – odpowiedział bez namysłu. – Czy ona... nie żyje?

Spojrzałem w dół. Nieżywa wydawała się mała i daleka jak postać oglądana przez niewłaściwy koniec lunety.

— Niestety. Zadzwoń do biura szeryfa, a potem zawiadom ojca.

-- Ja? Będzie uważał, że to moja wina.

— Jeśli wolisz, ja go zawiadomię.

— Nie, ja to załatwię.

Ruszył zdecydowanym krokiem przez kuchnię.

Wyszedłem w wietrzną noc i wyjąłem z auta latarkę. Przez ogród Jamiesonów prowadziła wyraźna ścieżka do domu Marietty Fablon; wydeptały ją pewnie nogi małego Petera. Świeże plamy krwi i odciski kolan wskazywały, że Marietta przebyła całą drogę czołgając się. W miejscu, gdzie ścieżka przechodziła przez graniczny żywopłot, spadł jej różowy czepek. Zostawiłem go tam,, gdzie leżał.

Otwarte drzwi wejściowe tłukły się na wietrze. Wszedłem i znalazłem gabinet. Królowało w nim ozdobne dziewiętnastowieczne biurko. Przeszukałem szuflady. Nie znalazłem żadnego śladu po liście miłosnym Audrey Sylvester do Fablona, ale odkryłem inny list, który mnie nie mniej zainteresował. Pod datą 18 marca bieżącego roku pisał do pani Fablon niejaki Ricardo Rosales, wiceprezes Banku Nowej Granady w Panama City. W sztywnej angielszczyźnie informował ją, że rachunek specjalny, z którego bank dokonywał okresowych wypłat na jej rzecz, wyczerpał się, a żadnych dalszych instrukcji w tej sprawie nie ma. Zgodnie z przepisami i polityką banku nie mogą niestety ujawnić, kto był zleceniodawcą.

W najniższej szufladzie natknąłem się na oprawną fotografię młodego podporucznika lotnictwa, prawie na pewno Roya Fablona. W ramce brakowało szkła, a w samej fotografii powygniatane były koślawe półksiężyce. Potrzebowałem pełnej minuty, żeby się domyślić, że zostały wygniecione szpilkowymi obcasami damskich pantofli. Ciekaw byłem, jak dawno Marietta podeptała fotografię męża.

W tej samej szufladzie znalazłem płaski ręczny zegarek męski z wygrawerowanymi na kopercie czterema słowami łacińskimi: *Mutuis animis amant amuntur*. Nie znam łaciny, ale wiedziałem, że „amant” musi się odnosić do miłości.

Przyjrzałem się ponownie fotografii Fablona. W moich oczach profesjonalisty jego głowa miała wygląd zimnego brązu, pustego wewnątrz. Ale musiałem przyznać, że był ogorzwały i męski, z gatunku ojców, za którymi córki nie widzą świata. Chociaż w odróżnieniu od Martela był przystojny, dostrzegłem między nimi pewne podobieństwo, być może wystarczające, by Ginny straciła głowę dla Martela. Schowałem fotografię i zegarek z powrotem do szuflady.

W salonie, gdzie rozmawiałem z Mariettą i gdzie byłem świadkiem zgrzytania jej zębów, paliło się światło. Sznur różowego telefonu był wyrwany ze ściany, na wyszarzonym dywanie ciemniały plamy krwi. Tutaj zaczęła się jej ostatnia wędrówka.

Z oddali dobiegło zawodzenie głośniejsze i posepniejsze od zawodzenia wiatru. Była to syrena policyjna, rozlegająca się prawie zawsze za późno. Wyszedłem, zostawiając światło nie zgaszone i drzwi wejściowe tłukące się na wietrze.

Ludzie szeryfa byli w domu Jamiesonów przede mną. Musiałem im wyjaśnić, kim jestem, pokazać swoją licencję i uzyskać poręczenie Petera, nim mnie wpuścili. Ale do kuchni nie pozwolili mi już wejść. Takie traktowanie pod pewnym względem mi odpowiadało. Częściowo usprawiedliwiało zachowanie dla siebie wyników moich dochodzeń. Napuściłem ich tylko na Martela.

Była druga, gdy do salonu, gdzie czekałem, wszedł inspektor prowadzący śledztwo, Harold Olsen, i oznajmił, że zarządził ogólny alarm i prędzej czy później Martel musi im wpaść w ręce.

— Może pan Wracać do domu — dodał.

— Miałem zamiar poczekać na koronera — powiedziałem.

— Ja jestem koronerem, doktor Wills jest moim zastępcą — oznajmił Olsen. — Zwolniłem go od przychodzenia tutaj. Należy mu się odpoczynek. Niech pan też idzie odpocząć. — Zrobił ciężki krok w moją stronę. Był wielkim, flegmatycznym, upartym Szwedem, przyzwyczajonym, by jego sugestie przyjmowano jako rozkazy. — Powoli, bez nerwów. Wyniki sekcji będą i tak dopiero za parę dni.

— Dlaczego? — zapytałem nie wstając z fotela.

— Bo zawsze tak jest, dlatego. — Był tutaj teraz panem i bacznie obserwował swoimi lekko wylupiastymi oczami, czy nie spróbuję podważyć jego autorytetu. Odnosiłem wrażenie, że w razie gdyby musiał wybierać, raczej pogrzebałby sprawę, niż dopuścił do rozwiązania jej przez kogoś innego. — Nie ma pośpiechu. Wiemy, że dostała postrzał w pierś. Prawdopodobnie zostało przestrzelone płuco i nastąpił krwotok wewnętrzny.

— Bardziej interesuje mnie śmierć jej męża.

— Popełnił samobójstwo. Nie potrzebuje pan doktora Willsa, żeby to usłyszeć. Sam prowadziłem dochodzenie. — Przyglądał mi się coraz podejrzliwiej. Wietrzył możliwość zakwestionowania przeze mnie jego orzeczenia i z góry drżał na taką znie wagę. — Sprawa jest zamknięta.

— Czy to, co się wydarzyło przed chwilą, nie otwiera jej na nowo?

— Gównu tam otwiera. — Znalazł w niegrzeczności upust dla wzbierającego gniewu. — Fablon popełnił samobójstwo. Zapowiedział żonie, że popełni, i popełnił. Nie ma żadnym dowodów, żeby ktoś przyłożył do tego ręki.

— Słyszałem, że ciało było całe poturbowane.

— Przez rekiny i rafy. To bardzo niespokojne wody, włoczyły go po dnie przez dziesięć dni. — Wypowiedział to trochę jak groźbę. — Wszystkie uszkodzenia ciała powstały po utonięciu. A utonął w słonej wodzie. Potwierdzi to panu doktor Wills.

— Gdzie go mogę znaleźć?

— Jutro w prosektorium, w podziemiach Szpitala Miłosierdzia. Ale doktor Wills nie powie panu więcej niż ja.

Olsen opuścił salon z obrażoną miną mistrza, którego nieomylnie zawodową ośmielił się podważyć nie wyzwolony czeladnik. Odczekałem, aż umilkną jego kroki, po czym poszedłem do biblioteki. Drzwi były zamknięte na klucz, ale pod nimi dostrzegłem smugę światła.

— Kto tam? — zapytała przez drzwi gospodyni Wera.

— Archer.

Wpuściła mnie. Miała na sobie szlafrok ze sztucznego

jedwabiu, w deseń przedstawiający słońca z promieniami. Gdy usiadła na podnóżku koło kolan Jamiesona, zauważyłem dwa czarne warkoczyki zwisające jej na plecach jak przecięte kable.

— To straszne — powiedział Jamieson słabo. — Co pan o tym myśli, Archer?

— Trochę za wcześnie na takie pytania. Marietta powiedziała, że ją zastrzelił gach. Czy to panu coś mówi?

— Nie.

— Czy miała kochanka?

— Ja nic o tym nie wiem.

— Jeśli miała kochanka, kto to mógł być?

— Nie mam pojęcia. Prawdę mówiąc, od śmierci Roya miałem niewiele do czynienia z Fablonami. A nawet już przedtem. Przyjaźniliśmy się z Royem bardzo na studiach i przez parę lat tutaj, ale potem nasze drogi się rozeszły. O prywatnych sprawach Marietty nie wiem absolutnie nic. Ale przychodzi mi do głowy, że niekoniecznie musiała mieć na myśli swojego kochanka.

— Uważa pan, że miała na myśli Martela?

— To się samo narzuca.

— Tak bardzo, że się tego boję. Ale fakt, że się natknąłem na zastanawiający związek między nią a Martelem. Marietta otrzymywała jakieś pieniądze z Banku Nowej Granady.

— Marietta?

— Właśnie. Wpłaty się urwały przed paroma miesiącami.

— Od kogo pochodziły?

— To wielka niewiadoma. Ale mogły pochodzić od Martela, co nasuwa fantastyczną hipotezę. Że Marietta sprzedała mu córkę.

— Tego by nie zrobiła!

Jamieson zareagował gwałtowniej, niż można było oczekiwać po stopniu jego zamroczenia.

— Wiele matek to robi. Może nie nazywają tego sprzedażą, ale sprawa się do tego sprowadza. Czyż bale panien na wydaniu nie są naszą amerykańską wersją targu niewolnic w jakimś Sudanie?

Wera parsknęła rubasznym śmieszkiem, pozbawionym wesołości. Jej pracodawca zgromił ją surowym spojrzeniem i

powiedział jakby w formie nagany:

— Marietta jest... była bardzo przywiązana do Ginny.

— Znała również wartość pieniądza. Sama mi to powiedziała.

— Naprawdę? A kiedyś szastała pieniędzmi, jakby miała niewyczerpane zasoby. Raz musiałem ją wykupywać...

Wera powstrzymała go wzrokiem, tak że nie dokończył zdania.

— Może córka była jedynym atutem, który jej pozostał.

Była to hipoteza, którą chciałem sprawdzić, i Jamieson tak to potraktował.

— Może w tym coś jest. Marietta się zmieniła w ostatnich latach, po śmierci Roya. Ale nawet przyjmując, że pan ma rację, czemu by wydawała Wirginię za cudzoziemca wątpliwego pochodzenia? Przecież miała pod ręką mego nieszczęsnego syna, który się palił do żeniaczki.

— Nie wiem. Może to małżeństwo było jednak pomysłem Ginny, a fakt, że Marietta i Martel otrzymywali pieniądze z tego samego banku w Panamie, jest czystym przypadkiem.

— Ale pan w to nie wierzy?

— Nie. Dawno przestałem wierzyć w przypadki. W życiu trzeba raczej szukać prawidłowości. Chociaż w tej sprawie jedyną prawidłowością jest jak dotąd powtarzająca się śmierć. Zabójstwo pani Fablon otwiera na nowo kwestię śmierci jej męża.

— Czyż nie zostało ustalone, że Roy popełnił samobójstwo?

Wera się skrzywiła, jakby powiedział coś nieprzyzwoitego. Przeżegnała się ukradkiem.

— Taka jest oficjalna wersja. Ostatnie wydarzenia stawiają ją pod znakiem zapytania. Zresztą nie tylko ją. Pan identyfikował zwłoki, prawda?

— Między innymi ja.

— Jest pan pewien, że to był Roy Fablon?

Zawahał się, poprawił niespokojnie na fotelu.

— Nie miałem wątpliwości wówczas, więc nie powinienem mieć i teraz. Szczerze mówiąc, to nie jest wspomnienie, do którego lubiłbym wracać. Roy miał twarz całą, zapuchniętą i potwornie zmasakrowaną.

Jamieson zacisnął szczerlnie powieki. Wera ujęła go za rękę i

tak pozostała

— Więc nie miał pan pewności, że to on?

— Na podstawie wyglądu zewnętrznego nie. Te dziesięć czy jedenaście dni w morzu bardzo go zmieniło. Ale nie mam również powodów do wątpienia, że to był on. Lekarz, który zeznawał na rozprawie, doktor Wills, twierdził, że ma na to nieodwa... — potknął się na tym słowie — niepodważalne dowody.

— Nie pamięta pan, jakie?

— Jakieś zdjęcia rentgenowskie złamanej nogi.

— To by przesądzało sprawę.

— Jaką sprawę? — spytał z irytacją.

— Możliwość, że samobójstwo było sfingowane i do oceanu wrzucono jakiegoś innego trupa w płaszczu Fablona. Zawsze to warto sprawdzić, kiedy samobójca tkwi po uszy w długach. To, co pan mi powiedział, wyklucza taką możliwość.

— No, myślę.

— Przed chwilą — podjąłem — zaczął pan coś mówić o wykupywaniu pani Fablon.

— To było bardzo dawno. Zdarzało mi się pomagać obojgu Fablonom. Czuję się niejako odpowiedzialny za Roya.

Wera obruszyła się gniewnie.

— Dał jej pan dom.

— Jaki dom? .

— Ten, w którym mieszka... mieszkała — odpowiedział Jamieson na moje pytanie. — Ale niezupełnie dałem. Oddałem do jej dyspozycji. W końcu zrobiła tyle dla mojego biednego syna. Zresztą Roy też robił dla niego wiele w swoim czasie.

— Zarwał pana na dużą sumę?

— Na parę tysięcy. Może by zarwał na więcej, ale większość moich kapitałów była akurat zaangażowana w różne operacje handlowe. W ostatnich dniach życia Roy stawał na głowie, żeby zdobyć pieniądze. Przegrał w karty i nie miał czym zapłacić.

— Przegrał do człowieka nazwiskiem Ketchel?

— Rzeczywiście, facet tak się nazywał.

— Znał go pan?

— Tylko ze słyszenia. Nigdy go nie widziałem.

— Od kogo pan o nim słyszał?

— Od Marietty. Od zaginięcia Roya do chwili odnalezienia jego ciała mówiła bez przerwy o Ketchelu. Podejrzewała go o zamordowanie Roya. Ale nie miała żadnych dowodów, więc jej odradziłem zwracanie się z tym do policji. Po ustaleniu, że Roy popełnił samobójstwo, wybiła to sobie z głowy.

Wera poruszyła się niespokojnie. Pociągnęła Jamiesona za rękę, jakby zamordowana była jej rywalką, zagrażającą jej w jakiś nieokreślony sposób nawet po śmierci.

— Niech pan lepiej idzie do łóżka. To szaleństwo siedzieć całą noc.

Wyglądało, że dotychczasowe formy przestały obowiązywać w tym domu. Wstałem, żeby wyjść. Wera odetchnęła z ulgą.

— Byłem wtedy przekonany — odezwał się Jamieson ignorując ją — że Marietta fantazjuje o morderstwie, bo nie może się pogodzić z myślą o samobójstwie. Może jednak wiedziała, co mówi.

— Może wiedziała. Olsen twierdzi, że przyczyną śmierci Fablona było ponad wszelką wątpliwość utonięcie w słonej wodzie. Mógł zostać utopiony, chociaż w tym przypadku to mało prawdopodobna metoda morderstwa. Mimo to chętnie bym pogadał z Ketchelem. Nie wie pan przypadkiem, gdzie go szukać?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Był dla mnie zawsze tylko nazwiskiem.

Wera wypraszała mnie z pokoju nieruchomym wzrokiem. W kuchni zastałem jeszcze policjantów, natomiast Marietty już nie było. Peter także zniknął. Obszerne pomieszczenie nabrało obskurnego wyglądu miejsc urzędowych, który dobrze znałem. Byłem kiedyś sam policjantem w Long Beach, nie dalej niż o strzał armatni stąd.

Pojechałem bulwarem nadbrzeżnym w stronę portu, żeby spędzić resztę nocy w hotelu „Falochron”. Istniała możliwość,

że pojawi się tam któreś z Hendricksów albo nawet oboje, chociaż zbytnio na to nie liczyłem.

Zbliżając się do obozowisk trampów, mimo woli zwolniłem. Dobrze zrobiłem, bo inaczej bym pewnie nie zauważył Cadillaka Harry'ego. Stał na skrawku trawnika po stronie oceanu, zaryty nosem w pień palmy. Uderzenie musiało być potężne, gdyż drzewo było głęboko rozorane u nasady. Solidny zderzak wbił się w chłodnicę, nietłukąca przednia szyba była w jednym miejscu popękana w kształt czyjejs głowy. Na przednim siedzeniu znalazłem kilka kropli krwi.

Osobnik, który ukradł i rozbił auto Harry'ego, zostawił kluczyki w stacyjce. Zrobiłem to, co powinienem był zrobić za pierwszym razem: otworzyłem bagażnik. Plecami do mnie leżał w nim Harry. Wsunąłem mu dłoń pod głowę i obróciłem twarzą do siebie. Był ciężko pobity. Dopiero gdy zajęczał, upewniłem się, że żyje. Ująłem go pod ramiona i nogi i podniosłem. Miałem wrażenie, jakbym ze stalowego łona odbierał wielki nieruchomy płód. Ułożyłem Harry'ego na trawie i zacząłem się rozglądać za jakąś pomocą.

Ale w zasięgu wzroku nie poruszało się nic żywego. Tylko w górze wiatr szeleścił suchymi liśćmi palm. Nie chciałem zostawiać Harry'ego samego. Jeszcze znowu by go ktoś ukradł. Zszedłem na plażę i zwilżyłem chusteczkę w oceanie. Przy okazji, jak idiota, zamoczyłem sobie stopę.

Harry jęczał, gdy mu obmywałem twarz mokrym materiałem, ale przytomności nie odzyskał. Kiedy mu uniosłem powiekę, zobaczyłem tylko białko. Według moich obliczeń leżał nieprzytomny w bagażniku przez jakieś sześć, siedem godzin. Nie miałem większych wątpliwości, że krew na obcasie Martela była krwią Harry'ego. Postanowiłem go odwieźć do szpitala. Uniosłem go znowu na rękach.

Byłem w połowie drogi do swego auta, kiedy z ciemności wynurzył się radiowóz policyjny z czerwonym światłem na dachu. Zatrzymał się i wysiadł z niego policjant.

— Co pan tu robi?

— Ten człowiek uległ wypadkowi. Chcę go odwieźć do szpitala.

— My to zrobimy.

Policjant był młody, w jego głosie dźwięczała nutka gorliwości. Wziął Harry'ego z moich rąk i ułożył na tylnym siedzeniu radiowozu. Potem się obrócił z powrotem do mnie, z dłonią na kolbie pistoletu.

— Wygląda na pobitego.

— Tak.

— Niech pan pokaże ręce. Tu, do światła.

Pokazałem mu dłonie w białym świetle reflektorów.

Policjant, który prowadził radiowóz, wysiadł również i zaszedł mnie od tyłu.

— Widzą panowie sami. Ja go nie pobitem.

— A kto?

— Tego nie wiem. — Nie miałem ochoty wdawać się znowu w opowieść o Martelu. — Zobaczyłem rozbite auto, otworzyłem bagażnik i znalazłem go w środku. Aulo jest jego, zostało chyba skradzione.

— Zna go pan?

— Trochę Nazywa się Harry Hendricks. Mieszkamy obaj w hotelu „Falochron”. Mogą mnie tam panowie później znaleźć.

— Powiedziałem im, kim jestem. — Teraz trzeba go odwieźć do szpitala.

— Odwieziemy, niech pan będzie spokojny.

— Do którego szpitala?

— Komunalnego, chyba że pan chce za niego zapłacić. W Miłosierdziu żądają opłaty za dzień z góry.

— Ile?

— Na ogólnej sali dwadzieścia dolarów.

Dałem im dwadzieścia dolarów z zaliczki Petera. Młody policjant powiedział, że się nazywa Ward Rasmussen i że mi podrzuci do hotelu pokwitowanie ze szpitala.

Hall hotelu „Falochron” był pusty, jeśli nie liczyć wiekowego boya śpiącego na kanapce. Dotknąłem go. Drgnął i zawołał:

— Marta?

— Co to za Marta?

Przetarł zapuchnięte oczy.

— Znałem kiedyś dziewczynę imieniem Marta. Powiedziałem:

Marta?

— Tak.

— Widać mi się śniło. Znałem ją w Red Bluff. Marta Truitt. Urodziłem się i wychowałem w Red Bluff. To było dawno temu.

Ze wzrokiem zatopionym w przeszłości począł za kontuar i podsunął mi książkę gości, żebym się wpisał. Potem dał mi klucz do pokoju 23, o który prosiłem. Zegar elektryczny nad jego głową wskazywał pięć minut po trzeciej. Zapytałem starego boya, czy ruda piękność, pani Hendricks, nie wróciła do hotelu. Nie wiedział. Zostawiłem go kiwającego głową nad Martą Truitt i przeszłością.

Rzuciłem się na łóżko i zapadłem w sen bez marzeń. Przed brzaskiem ucichł wiatr. Usłyszałem ciszę i obudziłem się ze świadomością, że czegoś brak. Okna były zamglone szarym światłem. Słyszałem ocean tłukący się u stóp miasta jak dziad proszalny bijący pokłony. Odwróciłem się na drugi bok i zasnąłem z powrotem.

Obudził mnie telefon.- Głos w słuchawce oznajmił, że na dole czeka na mnie policjant. Był biały dzień, za kwadrans ósma na moim zegarku. Skoro już trzymałem słuchawkę w ręku, nakręciłem numer atelier Malkovsky'ego. Odezwał się Eryk.

— Nie kładł się pan w ogóle? — zapytałem.

— Ja wcześniej wstaję. Zrobiłem panu te odbitki. Na powiększeniach wyszło coś, co chcę panu pokazać.

— Co takiego?

— Wolałbym, żeby pan sam zobaczył i wyciągnął własne wnioski.

— Mógłby pan podrzucić fotografie do hotelu „Falochron”?

Odparł, że może.

— Będę w pokoju 28 albo w kawiarni na dole.

Ubrałem się i zszedłem do hallu. Młody policjant, Rasmussen, ścisnął w ręce perłowy eden Harry'ego. Wręczył mi pokwitowanie na dwadzieścia dolarów.

—Przepraszam, że pana zerwałem tak wcześniej, ale kończę służbę.

— Był najwyższy czas na mnie. Jak tam Harry?

— Wyliże się. Przewiozą go do Komunalnego, jeśli pan dziś

nie wpłaci za następny dzień.

– To bez sensu.

– Niestety, interes na pierwszym miejscu, zdarzało się już, że ludzie umierali w drodze z Miłosierdzia do Komunalnego. Co nie znaczy, że to grozi pańskiemu przyjacielowi — dodał szybko. — Lekarz mówi, że nic mu nie będzie.

– Nie jest moim przyjacielem — sprostowałem.

– Czy to można wiedzieć? Był dla pana wart dwadzieścia dolarów. Jeśli pan się wybiera do niego do szpitala, może pan mu odda kapelusz. To porządny kapelusz, jeszcze mu się przyda. Wyjąłem go z auta, zanim je odtransportowali.

Wręczył mi kapelusz. Nie zwróciłem mu uwagi, że jest na nim niewłaściwe nazwisko, chociaż mnie intrygowało, kim może być L. Spillman.

– Auto nadaje się tylko na złom — powiedział Rasmussen. — Było w ogóle niewiele warte, ale kradzież pozostaje kradzieżą. Nawiasem mówiąc, zatrzymaliśmy trzech podejrzanych. Ułatwili nam zadanie. Jeden rozwalił sobie głowę w wypadku i kumple przyprowadzili go do szpitala.

– Bandosi?

– Słucham?

– Biali z dwoma ciemniejszymi kompaniami?

– Więc widział ich pan? — zapytał Rasmussen.

– Widziałem. Co z nimi zrobicie?

– Zależy, co zmalowali. Jeszcze ich nie rozszyfrowałem. Jeśli wpakowali pańskiego przyjaciela do bagażnika i gdzieś go wieźli, to formalnie rzecz biorąc jest to porwanie.

– Wątpię, czy w ogóle wiedzieli, że jest w bagażniku.

– Kto go wobec tego pobił? Doktor twierdzi, że dostał nielichy wycisk. Ktoś go ogłuszył i skopał.

– Nie dziwi mnie to.

– Domyśla się pan, kto go tak urządził?

– Tak, ale to długa historia.

Odparł, że mu się nie spieszy, ma cały dzień. Wobec tego, mimo jego protestów, postawiłem mu śniadanie i przy jajach na szynce oraz kawie zrobiłem wątpliwy podarunek z części historii Martela. Rasmussen słuchał w napięciu.

— Myśli pan, że Martel tak urządził Hendricksa?

— Jestem o tym wewnątrznie przekonany. Przyłapał go na szpiegowaniu koło swego domu i porachował mu kości. Ale nie musimy sobie nad tym łamać głowy. Opowie nam sam Hendricks, jak tylko będzie mógł mówić.

Rasmussen pociągnął łyk kawy z filiżanki i zrobił gorzki grymas.

— W jaki sposób auto Hendricksa znalazło się na bulwarze?

— Przypuszczalnie Martel zwiózł Hendricksa w bagażniku i porzucił auto w odludnym miejscu, z kluczykami, żeby zostało ukradzione.

Ward Rasmussen spojrział na mnie przenikliwie znad filiżanki. Jego niebieskie oczy miały intensywność palnika bunsenowskiego. W połączeniu z kanciastą szczęką i zaciętymi młodzieńczymi ustami nadawały mu nieco fanatyczny wygląd.

— Co to właściwie za facet ten Martel? Dlaczego Wirginia Fablon za niego wyszła?

— Usiłuję to właśnie ustalić. Podaje się za bogatego Francuza, który popadł w konflikt ze swoim rządem, ale Hendricks twierdzi, że jest pospolitym oszustem. Ja też podejrzewam, że jest oszustem, ale na pewno nie pospolitym. Wyjechał z Montevisty Bentleyem, z najpiękniejszą dziewczyną i stu tysiącami dolarów gotówką.

— Znałem Wirginię w szkole — oznajmił Rasmussen. — Była naprawdę piękna i głowę też miała nie od parady. Zdała do college'u mając szesnaście lat. Ukończyła szkołę na pół roku przed resztą klasy.

— Widzę, że pan o niej dużo wie.

— Latałem za nią jak psiak. Raz zdobyłem się na odwagę, zaprosiłem ją na tańce. Byłem wtedy kapitanem szkolnej drużyny rugby. Ale poszła jak zwykle z Peterem Jamiesonem.

— Po jego twarzy przemknął cień zazdrości. Jakby dla otrząśnięcia się, podniósł wyżej głowę ostrzyżoną na jeża. — I pomyśleć, że go rzuciła dla tego Martela. Uważa pan, że przyjechał się z nią ożenić?

— Fakt, że się ożenił. Nie wiem, z jakimi zamiarami przyjechał.

– Skąd wziął te sto tysięcy?

– Zdeponował je w formie listu kredytowego Banku Nowej Granady, z siedzibą w Panama City. Pokrywałoby się to z twierdzeniem, że jego rodzina ma lokaty w różnych częściach świata.

Rasmussen odsunął łokciem pustą filiżankę i pochylił się przez stół.

– Równie dobrze pokrywa się z przypuszczeniem, że jest oszustem. Mnóstwo pieniędzy z nielegalnych źródeł przepływa przez Panamę ze względu na tamtejsze liberalne przepisy bankowe.

– Wiem, dlatego o tym wspomniałem. Jest jeszcze coś innego. Matka Wirginii Fablon, zastrzelona tej nocy, czerpała jakieś dochody z tego samego banku.

– W jakiej wysokości?

– Tego nie wiem. Może panu uda się dowiedzieć w National Bank.

– Spróbuję ich wziąć pod włos.

Wyciągnął notes, który wyglądał na nie używany, i stenografował sobie dane, kiedy do kawiarni wszedł Eryk Malkovsky z wielką żółtą kopertą. Przedstawiłem obydwu mężczyznom, po czym Eryk wyciągnął powiększenia i rozłożył je na stole.

Były mniej więcej formatu pocztówkowego, wyraźne i czyste, jakby zdjęcia zostały zrobione wczoraj. Na twarzy Ketchela można było rozróżnić najmniejszą zmarszczkę. Niby się uśmiechał, lecz w jego uśmiechu kryło się coś chorobliwego. Układ ust mógł równie dobrze wyrażać konsternację. Wyglądał na człowieka, który się wywindował na sam szczyt – względnie na szczebel drabiny społecznej, który uważał za szczyt – ale już go nie bawi ani to, ani nic innego.

Powiększenie zmieniło trochę wyraz twarzy Kitty. W jej oczach malowała się jakby niejasna świadomość, że stać ją w życiu na coś więcej niż tylko obnoszenie strojów. W Kitty, z którą rozmawiałem wczoraj tu, w hotelu „Falochron”, po tej świadomości nie pozostało już śladu.

– Zrobił pan świetną robotę – pochwaliłem Eryka. – Bardzo

mi te zdjęcia ułatwią sprawę.

— Dziękuję. — Ale był na mnie wyraźnie zły. Sięgnął przed moim nosem i dźgnął palcem najbliższe zdjęcie. — Niech pan się dobrze przyjrzy kelnerowi w tyle.

Momentalnie spostrzegłem, o co mu chodzi. Za szerokimi czarnymi wąsami kelnerczyka kryła się twarz młodego Martela.

— Pomyśleć, że był zwykłym kelnerem w klubie — powiedział Malkovsky. — Nawet nie kelnerem, chłopcem do sprzątanía naczyń. I ja się na nim nie poznałem.

— Czy mogę zobaczyć to zdjęcie? — zapytał grzecznie Rasmussen.

Podąłem mu zdjęcie i młody policjant zabrał się do ; studiowania go. Do stolika podeszła kelnerka z dzbankiem kawy i menu śniadaniowym, popstrzonym próbkami dawno skonsumowanych posiłków. Na kelnerce, jak na wszystkim w tym hotelu, było znać ślady lepszej przeszłości: malowały się w wydatnych ustach i zawiedzionych oczach, w nieśmiertelnych blond włosach i platfusowym chodzie.

— Chce pan coś zamówić? — zapytała Malkovsky'ego.

— Dziękuję, jestem po śniadaniu. Napiję się tylko kawy.

Powiedziałem, że ja się też jeszcze napiję. Nalewając mi kelnerka zauważyła zdjęcie przede mną.

— Znam tę kobietę — oznajmiła. — Była tu wczoraj wieczorem. Ale chyba zmieniła kolor włosów.

— O której wieczorem? — zapytałem.

— W każdym razie przed siódmą. O siódmej skończyłam służbę. Zamówiła kanapkę z kurczęciem. Z samą piersią. — Pochyliła się konfidencjonalnie. — Czy to jakaś gwiazda filmowa?

— Skąd pani to przyszło do głowy?

— Bo ja wiem. Tak mi się wydawało po sposobie, w jaki się ubiera, po wyglądzie. To prawdziwa piękność. — Usłyszawszy swój podekscytowany głos zmitygowała się — Przepraszam, nie powinnam się wtrącać.

— Nie szkodzi.

Odeszła utykając, z jeszcze bardziej zawiedzioną miną. Kiedy nie mogła nas słyszeć, Rasmussen powiedział.

— To śmieszne, ale ja też mam wrażenie, że ją gdzieś widziałem.

— Całkiem możliwe. Twierdzi, że się wychowała tu, w mieście. Gdzieś niedaleko torów kolejowych.

Ward Rasmussen poskrobał się po krótko ostrzyżonej czuprynie.

— Jestem prawie pewien, że ją widziałem. Jak ona się nazywa?

— Kitty Hendricks. Jest albo była żoną Harry'ego Hendricksa. Według tego, co mówi, są ciągle małżeństwem, tylko nie żyją ze sobą. Siedem lat temu żyła z tym mężczyzną z fotografii, on się nazywa Ketchel... i prawdopodobnie żyje z nim do dzisiaj. Zasunęła mi skomplikowaną historyjkę, że jest prywatną sekretarką jakiegoś wpływowego handlowca z Południa, któremu Martel ukradł obligacje. Ale nie przywiązywałbym do tego zbytnej wagi.

Ward notował najważniejsze dane.

— Co teraz zrobimy? — zapytał.

— Więc włącza się pan do sprawy?

Uśmiechnął się.

— To coś więcej niż wypisywanie mandatów za nieprawidłowe przejście ulicy. Zawsze miałem ambicje detektywistyczne. Czy mogę zatrzymać to zdjęcie?

— Chciałem to właśnie zaproponować. Tylko niech pan pamięta, że jest teraz o siedem lat starsza i ruda. Może uda się panu odnaleźć jej rodzinę i dowiedzieć się, gdzie jej szukać. Prawdopodobnie wie znacznie więcej, niż powiedziała. Ponadto liczę, że nas zaprowadzi do Ketchela.

Rasmussen schował fotografię do notesu.

— Zabieram się do roboty — powiedział.

Przed odejściem zapisał mi swój adres i telefon na kartce z notesu. Mieszka jeszcze z ojcem, wyjaśnił, ale ma zamiar się niedługo żenić. Podał mi wyrwaną kartkę i wyszedł wielkimi krokami z kawiarni, pełen zapału, mimo że właśnie skończył nocną służbę.

Byłem całym sercem z tym chłopcem. Dwadzieścia parę lat temu, jako początkujący policjant w Long Beach, miałem taki

sam zapal. Chłopak nie wiedział jeszcze, co to jarzmo służby. Mogłem mu tylko życzyć, żeby jego wyprostowane ramiona nie ugięły się pod tym ciężarem.

18

Klub Tenisowy otwierano dopiero o dziesiątej, jak mnie poinformował Eryk Malkovsky. Wobec tego udałem się prosto do domku kierownika Reto Stolla, sąsiadującego z domkiem pani Bagshaw. Otworzył mi gospodarz w niebieskiej sportowej marynarce ze złotymi guzikami, która dziwnie się kłóciła z ciężkimi surowymi meblami w jego salonie. Pokój pozbawiony był jakiegokolwiek piętna osobistego, może oprócz ulotnego zapachu kadzidła;

Przyjął mnie z uprzedzającą grzecznością, posadził w fotelu, w którym najwidoczniej czytał właśnie poranną gazetę. Chwilę przestępował z nogi na nogę, wykręcał palce, wreszcie wykrztusił:

— To straszne z panią Fablon.

— Chyba nie ma tego jeszcze w gazecie?

— Nie, pani Bagshaw mi powiedziała. Starsze panie mają swoją pocztę pantoflową — dodał w formie wyjaśnienia. — Jesteśmy tym wszyscy wstrząśnięci. Pani Fablon była jedną z najbardziej lubianych osób w klubie. Kto mógł zabić taką czarującą kobietę?

Zapewne mówił szczerze, ale nie miał daru przekonywającego wypowiedzenia się o starszych paniach.

— Właśnie. Może pan będzie mógł mi pomóc w rozwikłaniu sprawy? — Pokazałem mu jedno z powiększeń. — Poznaje pan tych ludzi?

Podszedł ze zdjęciem do rozsuwanych szklanych drzwi, które prowadziły do patio. Szare oczy mu się zwężyły, wargi wydeły z niesmakiem.

— Mieszkali w klubie jako goście ładne parę lat temu. Szczerze mówiąc, nie chciałem ich przyjąć. Zupełnie nie pasowali do towarzystwa. Ale doktor Sylvester postawił sprawę

na ostrzu noża.

— Tak? Dlaczego?

— Ten facet był jego pacjentem, podobno bardzo wpływowym.

— Nie mówił panu o nim nic więcej?

— Nie potrzebował mówić. Znam ten typ ludzi. Ich miejsce jest w Palm Springs albo w Las Vegas, nie tutaj. — Zmarszczył w zamyśleniu brwi, uderzył się dłonią w czoło. — Powinienem pamiętać ich nazwisko.

— Ketchelowie.

— Tak, Ketchelowie. Umieściłem ich obok siebie. — Wskazał dłonią w kierunku domku pani Bagshaw. — Chciałem ich mieć na oku.

— I zauważył pan coś ciekawego?

— Nie. Zachowywali się lepiej, niż się spodziewałem. Nie urządzali żadnych pijaństw ani nic.

— Podobno grali dużo w karty?

— O-o!

— I brał w tym udział Roy Fablon.

Stoli przesunął wzrok gdzieś za mnie. Dostrzegł w oddali rysującą się groźbę skandalu.

— Od kogo pan to słyszał?

— Od pani Fablon.

— Widać to prawda. Ja sobie tego nie przypominam.

— Niech pan się nie wysila, Reto. Korzysta pan z poczty pantoflowej, jest pan dobrze poinformowany. Musiał pan słyszeć, że Fablon przegrał fortunę do Ketchela. Pani Fablon uważała, że Ketchel jest winien śmierci jej męża.

Wobec coraz realniejszej groźby skandalu twarz Stolla zrobiła się jak gradowa chmura.

— Klub nie może za to odpowiadać.

— Był pan tu tego wieczoru, kiedy zniknął Fablon?

— Nie, nie było mnie. Nie mogę spędzać w klubie dwudziestu czterech godzin na dobę.

Popatrzył na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Szykował się do zakończenia audiencji.

— Chciałbym, żeby pan się jeszcze raz przyjrzał tej fotografii.

Poznaje pan tego młodego człowieka w kelnerskiej kurtce?

Podniósł zdjęcie do światła.

— Jak przez mgłę. Był chyba tylko przez parę tygodni. — Nagle zrobił świszczący wdech. — Ależ on przypomina Martela. Czy to Martel?

— Prawie na pewno. Skąd się tutaj wziął w charakterze kelnera?

Stoli rozłożył ręce bezradnym gestem, spinającym przeszłość i terażniejszość z rysującą się coraz mroczniej przyszłością. Usiadł, nim odpowiedział.

— Nie mam pojęcia. O ile dobrze pamiętam, pracował tylko dorywczo, głównie przy sprzątaniu naczyń. W w pełni sezonu czasami się zdarza, że używam pikolaków również do obsługi domków.

— Skąd pan ich bierze?

— Ze Stanowego Biura Pośrednictwa Pracy. Przyjmujemy ich jako niewykwalifikowanych i przyuczamy na miejscu. Czasami przysyłają nam również studentów z Biura Zatrudnienia miejscowego college'u. Nie pamiętam, skąd wzięliśmy tego. — Spojrzał jeszcze raz na zdjęcie, potem zaczął się nim wachlować. — Jeśli pan chce, spróbuję sprawdzić w biurze.

— Bardzo będę panu wdzięczny. Może się to okazać najdonioślejszą rzeczą, jaką pan zdziała w tym roku.

Zamknął domek na klucz i poprowadził mnie przez furtkę w ogrodzeniu basenu. Woda, nie mącona przez pływaków, wyglądała w słońcu jak tafla zielonego szkła. Obszedłszy basen dotarliśmy do budynku administracji. Stoli posadził mnie przy swoim biurku i zniknął w archiwum. Wrócił może po pięciu minutach, z kartą ewidencyjną w ręku.

— Jestem prawie pewien, że to ten. Chyba że mnie pamięć zupełnie zawodzi. Ale tu jest nazwisko „Cervantes”, nie „Martel”.

Feliz Cervantes został skierowany przez Biuro Zatrudnienia College'u Stanowego w Montevíście do pracy w klubie po południu i wieczorem, z wynagrodzeniem dolara i dwudziestu pięciu centów za godzinę. Zatrudniony był bardzo krótko, od 14 do 30 września 1959.

– Został wyrzucony? – zapytałem.

– Nie, sam odszedł – odparł Stoli. – Według karty odszedł 30 września nie odebrawszy wynagrodzenia za ostatnie dwa dni.

– To ciekawe. 29 września znika Koy Fablon, 30 odchodzi Feliz Cervantes, a 1 października wyjeżdża Ketchel.

– Łączy pan te trzy fakty?

– Trudno ich nie łączyć.

Skorzystałem z telefonu Stolla, żeby się umówić na jedenastą z kierownikiem uczelnianego Biura Zatrudnienia, niejakim panem Martinem. Podałem mu do sprawdzenia nazwisko Feliz Cervantes.

Następnie, skoro już byłem w klubie, złożyłem wizytę pani Bagshaw. Niechętnie podała mi adres swoich waszyngtońskich przyjaciół, na których Martel się powoływał, pułkownikostwa Plimsollów. Adres wraz z fotografią Martela wysłałem ekspresem lotniczym do agencji detektywistycznej Ralpa Christmana w Waszyngtonie. W liście prosiłem Christmana, żeby przeprowadził osobiście wywiad u Plimsollów i podał telefonicznie wyniki na mój numer w Hollywoodzie. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, powinny nadejść następnego dnia.

19

College mieścił się na terenach do niedawna wiejskich, Na oskalpowanych wzgórzach pozostały jeszcze resztki gajów pomarańczowych, od których kiedyś zieleniła się okolica. Obecnie w miasteczku uniwersyteckim rosły głównie palmy, które wyglądały na przeflancowane z korzeniami w pełni wzroście. Studenci sprawiali podobne wrażenie.

Jeden z nich, młodzian z brodą, która mu nadawało wygląd rosłego Toulouse-Lautreca, poinformował mnie jak znaleźć biuro pana Martina. Mieściło się ono za betonową osłoną zdobioną nieregularnymi otworami, z boku budynku administracji, jednego z kilku, które otaczały owalem pusty plac centralny.

Ze światła słonecznego wszedłem w zimny blask świetlówek. Na mój widok do kontuaru, odgradzającego interesantów od urzędników, podeszła młoda kobieta i oznajmiła, że pan Martin mnie oczekuje w swoim gabinecie. Okazał się on łysym mężczyzną w koszuli, z magnetycznym spojrzeniem komiwojażera. Wydawał się nie na swoim miejscu na tle chłodnych, bezosobowych ścian wyłożonych boazerią.

– Piękny gabinet – powiedziałem uściskawszy mu dłoń.

– Nie mogę się do niego przyzwyczaić. Dziwna rzecz. W sierpniu mija pięć lat, odkąd tu urzęduję, a ciągle nie mogę zapomnieć baraku z blachy falistej, w którym zaczynaliśmy. Ale co pana obchodzi przeszłość.

– Obchodzi mnie przeszłość Feliza Cervantesa.

– Właśnie. Co za nazwisko! Feliz znaczy Szczęśny, wie pan? Szczęśny Cervantes. Miejmy nadzieję, że mu się poszczęściło. Osobiście go nie pamiętam, był u nas niedługo, ale kazałem wyciągnąć jego akta. – Otworzył żółtą teczkę na biurku. – Co pan chce wiedzieć o Szczęśnym Cervantesie?

– Wszystko, co pan mi może powiedzieć.

– Niestety jest tego niewiele. Właściwie dlaczego pan Stoll się nim interesuje?

– Wrócił przed paroma miesiącami do Montevisty pod przybranym nazwiskiem.

– Przeskrobał coś?

– Jest podejrzany o napad – odparłem retuszując nieco prawdę. – Chodzi o ustalenie tożsamości.

– Chętnie idę na rękę panu Stollowi. Zatrudnia w klubie wielu naszych chłopców. Niestety, obawiam się, że moja pomoc nie na wiele się zda. Cervantes to może być też przybrane nazwisko.

– Czyż studenci nie muszą złożyć papierów, zanim zostaną przyjęci? Świadczenia urodzenia, świadectwa ukończenia szkoły i tak dalej?

– Muszą, ale Cervantes tego nie zrobił. – Martin rzucił okiem na zawartość teczki. – Jest tu notatka, że się do nas przeniósł z college'u stanowego w Los Angeles. Przyjeliśmy go pod warunkiem, że złoży wszystkie papiery do pierwszego

października. Ale w tym czasie już go tu nie było i jeśli papiery w ogóle nadeszły, odesłaliśmy je z powrotem.

— Dokąd wyjechał?

Martin wzruszył ramionami wsuwając swoją łysą głowę w tułów jak zółw.

- Nie interesujemy się losami studentów, którzy rezygnują przed końcem roku. Zresztą Cervantes właściwie nigdy nie był naszym studentem. — Nie złożył papierów, dawał do zrozumienia Martin, więc jakby nie istniał. — Może zostawił jakąś wiadomość tam, gdzie mieszkał. Wynajmował pokój u pani Grantham, Shore Drive numer 148. Ona ma ładne parę pokoi, które odnajmuje studentom.

Zanotowałem adres.

— Co Cervantes studiował?

— Nie mam tu żadnych danych. Był za krótko, żeby nam podano jego stopnie, a tylko to nas interesuje. Może pan spróbować szczęścia w sekretariacie, jeśli panu na tym zależy. To z drugiej strony budynku.

Obszedłem budynek dookoła. W sekretariacie powitała mnie brunetka w nieokreślonym wieku. Miała wydatny biust i poruszała się z afektowaną pedanterią. Wystukała na kartce papieru nazwisko. Cervantesa i zniknęła w archiwum. Wróciła z kartką uzupełnioną informacją, że Cervantes się zapisał na czwarty rok języka i literatury francuskiej oraz na kurs wyższy nowożytnej historii europejskiej.

Teraz byłem już pewien, że Feliz Cervantes i Francis Martel to jedna i ta sama osoba. Poczulem się upokorzony, jakby to o mnie chodziło. Cervantes-Martel przebył długą drogę. I nagle, gdy był już prawie u szczytu, noga mu się powinęła.

— Kto go uczył języka i literatury francuskiej? — zapytałem.

— Profesor Tappinger. Do dziś prowadzi ten kurs.

— Miałem nadzieję, że to będzie profesor Tappinger.

— O-o! Zna go pan?

— Trochę. Czy jest, na terenie uniwersytetu?

— Owszem, jest, ale ma wykład. — Kobieta spojrzała na zegar elektryczny na ścianie. — Jest w tej chwili za dwadzieścia dwunasta. Skończy punkt o dwunastej. Zawsze kończy co do

minuty.

Mogło się wydawać, że ją to napawa dumą.

– Wie pani, gdzie jest w danej chwili każdy wykładowca?

– Nie, tylko niektórzy. Profesor Tappinger jest jednym z naszych filarów.

– Nie bardzo wygląda na filar.

– Ale jest. To jeden z naszych najwybitniejszych wykładowców. – Jakby sama była drugim filarem college’u, dorzuciła: – Mieliśmy szczęście, że do nas przyszedł i został. Drżałam, że wymówi, kiedy nie otrzymał awansu.

– A dlaczego nie otrzymał?

– Chce pan wiedzieć prawdę?

– Nie mogę żyć bez prawdy.

Pochyliła się w moją stronę i zniżyła konfidencjonalnie głos, jakby w obawie, że jej szef zainstalował w pokoju aparat podsłuchowy.

– Profesor Tappinger myśli tylko o swojej pracy. Nie zniża się do zakulisowych rozgrywek. Prawdę mówiąc, żona też mu nie pomaga.

– Tak? Wydawało mi się, że to równa babka.

– Może i równa. Ale postrzelona. Gdyby profesor Tappinger miał odpowiedzialną partnerkę...

Zdanie zawisło w próżni. Jej rzeczowe oczy zasnuły się na chwilę marzycielską mgiełką. Nietrudno było zgadnąć, jaką to odpowiedzialną partnerkę ma na oku dla profesora Tappingera.

W dość bezceremonialny sposób wskazała mi drogę do jego gabinetu w budynku humanistyki i zapewniła, że Tappinger zawsze tam wstępuje po wykładzie, nim pojedzie do domu na lunch. Nie myliła się. Minutę po dwunastej na końcu korytarza ukazał się Tappinger promieniejący i z błyszczącym wzrokiem, widać po udanym *wykładzie*. Poznał mnie nie od razu.

– Pan tutaj? Zawsze jestem zaskoczony, kiedy ujrzę w tych rewirach osobę z realnego świata.

– A to nie realny świat?

– Niezupełnie realny. Pomijając wszystko inne, zbyt niedawno istnieje.

– Nie mogę tego powiedzieć o sobie.

Tappinger się roześmiał. Z dała od żony i dzieci wydawał się znacznie pogodniejszy.

– Obaj żyjemy dość długo na tym świecie, żeby wiedzieć, kim jesteśmy. Ale ja pana trzymam na korytarzu.

Otworzył drzwi swojego gabinetu i zaprosił mnie energicznym ruchem do środka. Dwie ściany były całe pokryte półkami pełnymi książek, w większości broszurowanych francuskich tomów i wydań zbiorowych.

– Przyszedł pan pewnie zdać sprawę z wczorajszego testu?

– Między innymi. Zakończył się pełnym sukcesem Martela. Odpowiedział śpiewająco na wszystkie pytania.

– Z pytaniem o szyszynkę włącznie?

– Tak jest.

– Jestem zdumiony, szczerze zdumiony.

– To pośrednio komplement dla pana, bo Martel jest podobno pańskim byłym studentem. W każdym razie uczęszczał na pana wykłady przez parę tygodni siedem lat temu.

Posłał mi zdziwione spojrzenie.

– Jak to możliwe?

– Nie wiem. Ale to nie może być czysty przypadek.

Wyjąłem zdjęcie Martela i podałem mu. Pokiwał nad nim głową.

– Pamiętam go. Był świetnym studentem, jednym z najlepszych, jakich kiedykolwiek miałem. Z nie wyjaśnionych przyczyn zniknął pewnego dnia bez słowa. – Cała wesołość Tappingera uleciała. Kręcił teraz w zamyśleniu głową. – Co go do tego skłoniło?

– Nie wiem. Wiem tylko, że wrócił po siedmiu latach, pod przybranym nazwiskiem, z kupą pieniędzy. Pamięta pan, pod jakim nazwiskiem występował u pana w klasie?

– Takiego studenta się nie zapomina. Nazywał się Feliz Cervantes. – Popatrzył ponownie na fotografię. – Kim są pozostałe osoby na zdjęciu?

– Gośćmi w Klubie Tenisowym. Cervantes pracował tam dorywczo przez parę tygodni we wrześniu pięćdziesiątego

dziewiątego. Był kelnerem.

Tappinger cmoknął językiem.

— To by się zgadzało. Było widoczne, że krucho u niego z pieniędzmi. Był raz u nas w domu i rzucał się po prostu na jedzenie. Ale mówi pan, że teraz ma pieniądze?

— Co najmniej sto tysięcy dolarów. Żywą gotówką.

Tappinger zagwizdał.

— To moja dziesięcioletnia pensja. Skąd wziął taką furę pieniędzy?

— Twierdzi, że to majątek rodzinny. Ale prawie na pewno kłamie.

Tappinger przyjrzał się raz jeszcze fotografii, jakby nie mógł uwierzyć w podwójne życie Cervantesa.

— Nie wyglądało, żeby miał rodzinę, którą mógłby się pochwalić.

— Nie orientuje się pan, skąd pochodzi?

— Uważałem go za Latynosa, najprawdopodobniej imigranta z Meksyku. Mówił po angielsku z wyraźnie cudzoziemskim akcentem. Faktem jest, że jego francuszczyzna była lepsza od angielszczyzny.

— Więc może jednak jest Francuzem?

— I nazywa się Feliz Cervantes?

— Nie ma żadnej gwarancji, że to jego prawdziwe nazwisko.

— Prawdziwe nazwisko musi być w jego aktach — powiedział Tappinger.

— Rzecz w tym, że w sekretariacie nie ma jego akt. Rzekomo przeniósł się tutaj z college'u stanowego w Los Angeles. Może oni będą coś wiedzieli.

— Dowiem się w Los Angeles. Uczy tam na romanistycie mój były student.

— Sam się z nim skontaktuję. Jak się nazywa?

— Allan Bosch. — Przeliterował nazwisko. — Ale może lepiej, żebym ja z nim pogadał. My, wykładowcy, mamy pewne... no, opory w udzielaniu opinii o studentach.

— Kiedy mogę się zgłosić po wiadomości?

— Powiedzmy, jutro rano. Dzisiaj jestem zupełnie zarżnięty. Żona czeka na mnie z lunchem, zaraz potem muszę wracać,

żeby przejrzeć notatki przed wykładem o drugiej. – Zrobiłem widać zawiedzioną minę, bo dorzucił: – Wie pan co, niech pan zje z nami lunch.

– To niemożliwe.

– Nie ustąpię tak łatwo.- Bess byłaby niepokieszona. Przypadł jej pan bardzo do gustu. Poza tym ona może pamiętać o Cervantesie coś, czego ja nie pamiętam. Wywarł na niej duże wrażenie, kiedy wówczas był na naszym wieczorku. Prawdę mówiąc, ludzie to nie moje *métier*.

Powiedziałem, że przyjadę prosto do nich. Po drodze kupiłem butelkę różowego szampana. Byłem podekscytowany, bo sprawa Martela zaczynała ruszać z martwego punktu.

Bess Tappinger miała na sobie twarzową niebieską sukienkę, była świeżo umalowana i za bardzo uperfumowana. Nie podobał mi się porozumiewawczy błysk jej oczu, pozałowałem, że przywiozłem szampana. Wzięła butelkę z moich rąk, jakby miała zamiar ochrzcić nią nasz romans. Stół we wnęce jadalnej był nakryty świeżym lnianym obrusem, z widocznymi prostokątami złożień.

– Mam nadzieję, że pan lubi szynkę –powiedziała. – Bo mam tylko szynkę i sałatkę jarzynową. – Obróciła fiłę do męża. – Tatuśku, co mówią twoje książki winiarskie o różowym szampanie do szynki?

– Z pewnością nie mają nic przeciwko takiej kombinacji – odparł pochłonięty swoimi myślami.

Z jego niedawnego podniecenia nie pozostało śladu. Nie poprawił mu humoru nawet kieliszek szampana. Co chwila odsuwał od ust kanapkę z szynką i zadawał pytania o Cervantesa-Martela. Musiałem mu powiedzieć, że jego były student jest podejrzany o morderstwo. Tappinger pokiwał głową nad jego zmarnowanym życiem.

Natomiast Bess Tappinger podochociła sobie szampanem. Drażniło ją, że nie zwracamy na nią uwagi.

– O kim my właściwie mówimy?

– O studencie nazwiskiem Ftiz Cervantes. Nie pamiętasz go, Bess?

– A powinnam?

– Musisz go pamiętać. Latynoskiego pochodzenia. Był na wieczorku zapoznawczym Cercie Français siedem lat temu. Może pan pokaże żonie tę fotografię?

Położyłem zdjęcie na obrusie przed jej talerzem. Poznała go od razu.

– Oczywiście, że go pamiętam.

– Tak myślałem – powiedział jej mąż znacząco. – Mówiłaś o nim potem.

– Co panią w nim uderzyło? – zapytałem.

– Wydał mi się "bardzo przystojny i męski. – Oczy zabłyśły jej złośliwie. – My, profesorskie żony, mamy po uszy. intelektualnych wymoczków.

Tappinger odgryzł się w sposób bardziej zawołowany.

– Był świetnym studentem. Entuzjazmował się kulturą francuską, największą od czasów starożytnych Aten. Miał świetne ucho do poezji francuskiej, jeśli wziąć pod uwagę jego pochodzenie.

Jego żona opróżniła drugi kieliszek szampana.

– Jesteś genialny, tatuśku. Potrafisz paru zdaniom nadać wydźwięk godzinnego wykładu.

Może chciała to powiedzieć żartem, jak sugerował czarujący uśmiech na jej wargach, ale wypadło jak uderzenie obuchem.

– Proszę cię, nie nazywaj mnie tatuśkiem.

– Jak cię nazywam Tapciem, też ci się już nie podoba. Przecież jesteś ojcem moich dzieci.

– Dzieci tu nie ma, - a twoim ojcem nie jestem. Dopiero przed rokiem skończyłem czterdziestkę.

– A ja mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat – posiedziała do nas obu.

– Dwanaście lat to nie taka wielka różnica. – Zmienił raptownie temat, jakby zatrzaskiwał otworzoną nieopatrnie puszkę Pandory. – A propos, gdzie jest Teddy? Nie ma go w domu.

– W przedszkolu. Mam go odebrać po drzemce poobiedniej.

– Aha.

– Chcę się wybrać po lunchu na Rynek po zakupy.

Konflikt między nimi, który zaczął przycichać, wybuchnął z

nową siłą.

— Nie możesz.

Tappinger aż pobladł.

— Czemu niby nie mogę?

— Bo ja potrzebuję auta. Mam o drugiej wykład. — Spojrzał na zegarek. — Na dobrą sprawę powinienem się już zbierać. Muszę się jeszcze przygotować.

— Nie miałem okazji porozmawiać z pańską żoną — powiedziałem.

— Wiem. Przepraszam pana. Ale faktem jest, że podlegam niemal' takim rygorom jak robotnik przy taśmie produkcyjnej. Studenci są też coraz bardziej produktem taśmowym. Wychodzą z naszych rąk z cienką otoczką kultury. Wykuwają na pamięć czasowniki nieregularne, ale nie umieją ich zastosować w zdaniu. Tak Bogiem a prawdą, bardzo niewielu potrafi zbudować przyzwoite zdanie angielskie, nie mówiąc już o francuskim, bo francuski to język zdań *par excellence*.

Swój gniew na żonę Tappinger obrócił w gniew na swoją pracę i dał mu upust w formie wykładu. Jego żona patrzyła na mnie z lekkim uśmieszkiem, zupełnie ignorując męża.

— Może pan mnie podrzuci na Rynek? — zapytała. — Będziemy mieli okazję dokończyć rozmowy.

— Z przyjemnością.

Tappinger nie zaprotestował. Wygłosił następny punkt wykładu — o tym, jakim skaraniem boskim jest uczenie w drugorzędnym college'u — po czym wstał znad smętnych resztek lunchu. Po chwili dało się słyszeć perkotanie jego Fiacika. Ja z panią domu dopijałem przy stole szampana.

— No, to zostaliśmy sami — powiedziała.

— Wszystko, jak pani zaplanowała.

— To nie ja planowałam, tylko pan. Przyniósł pan szampana, a ja mam słabą głowę.

Spojrzała na mnie omdlewającym wzrokiem.

— Ja mam mocną.

— Co z pana za mężczyzna? Jeszcze jedna zimna ryba?

Nie przebierała w środkach. Tak się często kończy, gdy kobiety wychodzą zbyt wcześnie za mąż i lądują przy garach i

pieluchach. Po dziesięciu latach przecierają oczy i zaczynają się rozglądać, jak by tu użyć jeszcze trochę życia. Jak gdyby czytała w moich myślach, powiedziała:

— Wiem. Jestem ka-u-er-wu-a. Ale nie bez powodu. On siedzi w swoim gabinecie codziennie do północy albo dłużej. Czy moje życie ma być skończone dlatego, że jego obchodzą wyłącznie Flaubert i Baudelaire? I ci jego okropni studenci? Aż przykro patrzeć, kiedy koło niego skaczą jak pieski i kadzą mu, jaki to jest wspaniały. A chodzi im tylko o zaliczenie.

Odetchnęła głęboko i ciągnęła:

— Nie jest wcale taki wspaniały, powinnam chyba najlepiej wiedzieć. Żyję z nim od dwunastu lat, znoszę jego histerie i humory. Myślałby kto, że jest drugim Baudelairem albo van Goghkiem, takie czasami przybiera pozy. Wierzyłam długo, że do czegoś dojdzie. Ale nie doszedł, nigdy nie dojdzie. Utknęliśmy w nędznym college'u stanowym i nawet tutaj nie potrafi się dochrapać pełnej profesury.

Obskurna wnęka jadalna czy też wypity szampan wyzwały coraz to nowe wyznania. Dorzuciłem swój komentarz:

— Jest pani zbyt surowa dla męża. Musi się zebrać na odwagę, żeby postawić sprawę na ostrzu noża. Potrzebuje oparcia moralnego.

Zwiesiła głowę, aż włosy opadły jej na czoło. Zbite w kłębek, wyglądały jak szmaciana piłka.

— Wiem, usiłuję mu być podporą. Naprawdę.

Uciekła się do głosu małej dziewczynki, ale widać nie pasował do jej nastroju, bo szybko z niego zrezygnowała. Podjęła wysokim ostrym tonem, jakiego użyła poprzedniego dnia w stosunku do syna:

— Nie powinniśmy się byli z Tapciem pobierać. On się nie powinien w ogóle żenić. Czasami przypomina mi średniowiecznego mnicha. Dwa najlepsze lata swego życia przeżył przed naszym małżeństwem, często mi to powtarza. Spędził je w Bibliothéque Nationale w Paryżu bezpośrednio po wojnie. Oczywiście wiedziałam o tym, ale ja byłam głupią gęsią, a on wschodzącą gwiazdą romanistyki w Illinois. Byłam na drugim roku i wszystkie koleżanki się zachłystywały, jak

wspaniale byłoby zostać żoną takiego błyskotliwego młodego profesora, przystojnego jak Scott Fitzgerald. Myślałam, że dokończę studia po ślubie. – Rzuciła okiem na zlew kuchenny za przepierzeniem. – No, i dokończyłam.

– Wyszła pani bardzo wcześnie za mąż?

– Miałam siedemnaście lat – odparła. – Najgorsze jest, że się czuję w duchu, jakbym ciągle miała siedemnaście lat. – Dotknęła się dłonią między piersiami. – Jakbym wszystko miała jeszcze przed sobą. A nie mam nic.

Po raz pierwszy wzbudziła we mnie zrozumienie.

– Ma pani dzieci.

– Tak, mam dzieci. I niech pan nie myśli, że nie robię dla nich wszystkiego. Zawsze będę robić. Ale czy na tym się kończy życie?

– Niektórzy ludzie nie mają i tego.

– Ja chcę więcej. – Jej ładne czerwone usta przybrały wyraz żalostnej zachłanności. – Od. dawna chcę więcej, tylko nigdy nie miałam odwagi brać. .

– Trzeba czekać, aż zostanie pani dane – powiedziałem.

– Ale pan sentencjonalny! Zupełnie jak La Rochefoucauld albo mój mąż. Niestety słowami nie rozwiązuje się prawdziwych problemów. Tylko Tapcio w to wierzy, ale on wcale nie zna życia. Jest mówiącą maszyną z podręcznym komputerkiem zamiast serca i systemu nerwowego.

Myśl o mężu nie przestawała jej nękać. Czyniła ją niemal wymowną, ale zaczynałem mieć dosyć jej przypadłości duchowych. Być może prowokowałem ją swoją obecnością do zwierzeń, ale w gruncie rzeczy nie miałem z tym nic wspólnego.

– Wszystko to bardzo pięknie – powiedziałem – ale mieliśmy rozmawiać o Felizie Cervantesie.

– Tak, miałam panu o nim opowiedzieć. – W jej oczach pojawiło się zastanowienie. – Był bardzo interesującym młodym człowiekiem. Ognistym, zaborczym. Tak wyobrażam sobie toreadora. Miał wszystkiego dwadzieścia dwa, trzy lata, ja zresztą też, ale był już mężczyzną. Rozumie pan?

– Rozmawiała pani z nim?

– Trochę.

– O czym?

– Głównie o naszych obrazach. Był zakochany w sztuce francuskiej. Powiedział, że musi za wszelką cenę poznać Paryż.

– Tak powiedział?

– Tak, ale nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Każdy student romanistyki wybiera się do Paryża. Ja też się wybierałam.

– I co jeszcze mówił?

– To właściwie wszystko. Pojawili się jacyś inni studenci i Cervantes uciekł ode mnie. Tapcio potem powiedział... bo pokłóciliśmy się po wyjściu gości... powiedział, że zachowywałam się wobec niego wyzywająco. Sprowadził pana tutaj, żeby mnie zmusić do wyspowiadania się przed panem. Mój mąż lubi wyrafinowane kary.

– Są państwo dla mnie zbyt subtelni. Do wyspowiadania się z czego?

– No, że... Cervantes mi się podobał. Ale ja go nic nie obchodziłam. Traktował mnie jak powietrze.

– Trudno w to uwierzyć.

– Trudno? Nie spuszczał oka z młodej blondynki, która właśnie zaczęła studiować u Tapcia. Przypuszczam, że tak Dante wodził wzrokiem za Beatrycze.

Powiedziała to głosem zimnym z zazdrości.

– Jak się nazywała ta blondynka?

– Wirginia Fablon. Chyba jest dotąd w college'u.

– Rzuciła studia, żeby wyjść za mąż.

– Naprawdę? I któż jest tym szczęśliwym wybranym?

– Feliz Cervantes.

Wyjaśniłem jej, jak do tego doszło. Bess słuchała z szeroko otwartymi oczami. Potem poszła się przebrać na zakupy, ja zaś przechadzałem się po saloniku i patrzyłem na reprodukcje obrazów ze świata, który nigdy naprawdę nie istniał. "Wysłuzony pokój nabrał dla mnie szczególnego znaczenia, jak zabytek historyczny czy miejsce urodzenia kogoś sławnego. W tym domu Cervantes-Martel poznał Ginny, co czyniło go miejscem narodzin mojej sprawy.

Bess wyszła ze swego pokoju. Przebrała się w sukienkę zapinaną z tyłu na haftki i ja dostałem zaszczytu jej zapięcia.

Chociaż miała apetyczne plecy, nie pozwoliłem dłoniom zabłądzić pod sukienkę. Z łatwymi kobietami są prawie zawsze kłopoty. Okazują się nimfomankami albo frigidami, schizofreniczkami, alkoholiczkami albo materialistkami, czasami wszystkim naraz. Pięknie opakowany dar ich ciała jest nader często bombą zegarową albo tortem z arsenikiem w środku.

W pulsującym milczeniu dojechaliśmy na Rynek. Mieściło się tam nowe centrum handlowe, przypominające miasteczko uniwersyteckie, które ma asfalt zamiast trawników i w którym nie można się niczego nauczyć. Dałem jej pieniądze na taksówkę do domu. Był to przyjazny gest, może zbyt przyjazny w istniejących okolicznościach. Wzięła pieniądze, ale pożegnała mnie takim spojrzeniem, jakbym ją porzucił na los gorszy od życia.

20

Shore Drive biegło wzdłuż morza poniżej college'u, w dzielnicy o spontanicznej i bezplanowej zabudowie. Kamienice czynszowe szły tu o lepsze z domkami jednorodzinnymi i internatami różnych korporacji, o greckich literach nad wejściem. Za białą tynkowanym domem pod numerem 148 przycupnęło na niewielkiej parceli pół tuzina przylegających do siebie domków. Nim doszedłem do ganku, drzwi otworzyła tęga kobieta.

- Wszystko zajęte do czerwca.
- Dziękuję, nie szukam pokoju. Czy pani Grantham?
- Z zasady nie kupuję u domokrażców, jeśli o to chodzi.
- Chodzi tylko o parę informacji. – Podaliśmy jej swoje nazwisko i zawód. – Skierował mnie pan Martin z college'u.
- Trzeba było tak od razu mówić. Niech pan wejdzie.

Drzwi wejściowe prowadziły prosto do małego, zagraconego saloniku. Usiedliśmy naprzeciwko siebie, dotykając się niemal kolanami.

- Mam nadzieję, że nie przyszedł pan ze skargą na któregoś z

moich chłopców. Kocham ich jak synów – powiedziała z uśmiechem profesjonalnego macierzyństwa.

Szerokim gestem wskazała na kominek. Cały gzyms i ścianę nad nim zajmowały zdjęcia promocyjne młodych ludzi.

– W każdym razie nie chodzi o nikogo z obecnych pani lokatorów. To sprawa sprzed siedmiu lat. Pamięta pani niejakiego Feliza Cervantesa?

Pokazałem jej zdjęcie Ketchela i Kitty z Martelem-Cervantesem w głębi. Założyła okulary, nim przystąpiła do oględzin.

– Pamiętam całą trójkę. Ten tęgi z tą blondynką przyjechali po jego rzeczy, kiedy się wyprowadzał. Odjechali wszyscy razem.

– Jest pani tego pewna?

– Jasne, że pewna. Mój nieboszczyk mąż zawsze mówił, że mam pamięć jak słoń. Zresztą i bez tego bym ich nie zapomniała. Przyjechali po niego Rolls-Royce'em, nie mogłam się nadziwić, skąd takie towarzystwo do biednego małego Meksykanina.

– Więc Cervantes był Meksykaninem?

– Oczywiście, mimo wszystkich historyjek, które zmyślał. Nie chciałam go z początku przyjąć, nigdy nie przyjmowałam meksykańskich studentów. Ale w college'u powiedzieli, że jak go nie przyjmę, to mnie skreślą z listy, więc mu w końcu wynajęłam pokój. Nie na długo.

– Jakie historyjki zmyślał?

– Fantazji mu ,nie brakowało. Jak go zapytałam, czy jest Meksykaninem, zaklinał się, że nie. Ale nie do mnie taka gadka. Mieszkam całe życie w Kalifornii, poznam Meksykanina na milę. Mówił nawet z meksykańskim akcentem. Twierdził, że to akcent hiszpański, że jest Hiszpanem czystej krwi, prosto z Hiszpanii. Więc mu mówię, pokaż, bratku, paszport. Ale nie miał. Twierdził, że musiał pryskać z Hiszpanii, bo mu generał Franco deptał po piętach za zwalczanie jego reżimu. Nie nabrałam się na to, znam' Meksykanów. Jeśli pan ciekaw mego zdania, przeszwarcował się przez granicę i dlatego te wszystkie łgarstwa. Bał się, że go władze imigracyjne zapakują w autobus

i odstawią do domu.

— Opowiadał pani jeszcze coś więcej?

— A opowiadał, opowiadał, do samego końca. Jeszcze na odjeździe próbował mi mydlić oczy, że się przenosi do Paryża na dalsze studia. Że niby rząd hiszpański zwolnił jakieś ich kapitały rodzinne i stać go teraz na lepszy uniwersytet. Ano jedź, krzyżyk na drogę, pomyślałam sobie.

— Nie lubiła pani zbytnio Cervantesa?

— Nie miałabym nic przeciwko niemu, gdyby znał swoje miejsce. Nie lubię zadzierania nosa. W dodatku wystawił mnie do wiatru. Zawinał się i wyjechał pierwszego października, zostawił mnie z pustym pokojem na resztę semestru. Płułam sobie w brodę, że go w ogóle przyjął.

— Dlaczego pani uważa, że zadzierał nosa?

— Dał mi dość powodów. Nie poczęstowałby mnie pan papierosem?

Poczęstowałam ją i podałam ognia. Dmuchiwała mi dymem w twarz.

— Dlaczego pan się nim tak interesuje? Wrócił do Montevisty?

— Był i wyjechał.

— Co pan powie? Odgrażał się, że wróci Rolls-Royce'em, z milionem dolarów na koncie, i że się wtedy ożeni z tutejszą panną. Czy to nie zadzieranie nosa? Powiedziałam mu, żeby się trzymał swojej sfery. Ale się uparł, że to dziewczyna jego życia i albo się ożeni z nią, albo w ogóle nie.

— Nie mówił, jak się nazywa ta dziewczyna?

— Wirginia Fablon. Znam ją z widzenia, chodziła z moją córką do szkoły. Była rzeczywiście piękna. Pewnie jest do dzisiaj.

— Cervantes tak uważa. Właśnie się z nią ożenił.

— E-e, kpiny pan sobie ze mnie urządza.

— Niestety nie. Wrócił do Montevisty parę miesięcy temu. Wprawdzie nie Rolls-Royce'em, tylko Bentleyem, i nie z milionem dolarów, tylko ze stu dwudziestoma tysiącami, ale się ożenił z Wirginią Fablon.

— A to dopiero! — Pani Grantham zaciągnęła się głęboko papierosem, delektując się pikanterią sytuacji. — To się moja

córka zdziwi, jak jej powiem.

– Zaczekałbym z tym dzień albo dwa. Cervantes zaszył się gdzieś z Wirginią. Może jej grozić niebezpieczeństwo.

– Z jego strony? – zapytała łapczywie.

– Wszystko możliwe.

Nie wiedziałem, czego Cervantes oczekuje od Wirginii, ale było to prawdopodobnie coś, czego nie mogła mu ofiarować. Trzeba się było po nim spodziewać najgorszego, gdy odkryje, że to coś nie istnieje.

Pani Grantham zgasila papierosa w popielniczce z hotelu „Falochron” i wrzuciła niedopałek do filizanki bez uszka, w której było ich już kilka. Pochyliła się w moją stronę z konfidencjonalną usłużnością:

– Chce pan jeszcze coś wiedzieć?

– Owszem. Czy Cervantes nie powiedział pani nic bliższego o ludziach, którzy po niego przyjechali?

– O tych dwojgu? – Dźgnęła palcem fotografię na kolanie. – Nie pamiętam dokładnie. Powiedział, że przyjadą po niego znajomi.

– A nie mówił, kim są?

– Nie, ale widać było, że są nadziani. Mówił, zdaje się, że są z Hollywoodu i że mają go odwiedzić na samolot.

– Jaki samolot?

No, do Paryża. Uważałam, że to bujda na resorach, ale teraz nie jestem już taka pewna. Pojechał faktycznie do Francji?

– Chyba tak.

– Skąd on wziął na to pieniądze? Myśli pan, że ma rzeczywiście bogatą rodzinę w Hiszpanii?

– Myślę, że ma bujną fantazję.

Potwierdzały się moje obawy, że Martel należy do tych niebezpiecznych marzycieli, którzy wprowadzają swoje obłąkańcze rojenia w czyn. Kłamią przed sobą tak długo, aż w końcu sami zaczynają wierzyć w swoje łągarstwa. Jadąc z powrotem do centrum myślałem, że świat, w którym żyje, jest wymaginowany i ubarwiony jak świat z obrazów w salonie Tappingerów, zapewne jego pierwsza wizja Francji.

Kasjerka w Szpitalu Miłosierdzia miała oczy jak ekran mini-komputera. Gdy mnie zlustrowała zza kratek kasy, miałem wrażenie, że oszacowała moje dochody, odjęła moje wydatki i otrzymała saldo ujemne.

— No, ile jestem wart? — zapytałem wesoło.

— Żywy czy martwy?

To mi zamknęło na chwilę usta.

— Chcę zapłacić za następny dzień za pana Harry'ego Hendricksa.

— To zbyt cenne — odparła. — Zrobiła to już jego żona.

— Taka przystojna, ruda? Była tutaj?

— Była u niego chwilę rano.

— Czy można go odwiedzić?

— O to musi pan zapytać siostrę przełożoną na drugim piętrze.

Siostra przełożona była wykrochmaloną kobietą o cienkich wargach. Kazała mi czekać, aż skończy pisać jakieś wykazy. W końcu pozwoliła się poinformować, że jestem detektywem i współpracuję z policją. Zrobiła się wówczas .słodka jak miód.

— Nie widzę przeszkód, żeby pan z nim porozmawiał.

Niech go pan tylko zbyt nie męczy i niech pan nie powie czegoś, co by go zdenerwowało.

Harry leżał w separacie, z której był widok na miasto. Z obandażowaną głową i połową twarzy wyglądał jak nie dokończona mumia. Jego wzrok zatrzymał się na perłowym edenie, który mu przyniosłem.

— To mój kapelusz?

— Ten, który miałeś wczoraj na głowie. Na skórcie jest wytłoczone nazwisko L. Spillman. Co to za jeden?

— Nie mam pojęcia.

— Nosileś jego kapelusz.

— Nosilem? — Przez chwilę się zastanowił. — Kupilem go na kiermaszu staroci.

Nie uwierzyłem mu, ale nie było sensu dalej walczyć

sprawy. Rzuciłem kapelusz na komodę.

– Kto cię tak urządził, Harry?

– Nie wiem, nie widziałem faceta. Było ciemno, rąbnął mnie z tyłu. Potem skopał mi twarz, jak twierdzi doktor.

– Przyjemniaczek. Czy to Martel?

– Ta-ak. W każdym razie stało się to koło jego domu. Niuchałem na podwórku, wiatr tak huczał, że nie słyszałem, jak mnie zaszedł. – Przesunął palcami po prześcieradle, którym był okryty. – Obrobił mnie dokładnie. Jestem cały obolały.

– Byłeś w wypadku samochodowym.

– Ja? W wypadku?

– Martel zapakował cię do twojego własnego bagażnika i porzucił wóz na bulwarze nadbrzeżnym. Ukradło go trzech namoczonych włóczęgów i rozbiło.

Harry jęknął.

– Nie był mój. Moja bryka wysiadła, więc pożyczyłem Calillaka ze składu. Nie był ubezpieczony ani nic. Kompletny wrak?

– Sama blacharka więcej by kosztowała, niż był wart.

– Wiedziałem, że tak się skończy. Diabli wzięli jeszcze jedną dobrą pracę. – Leżał chwilę w milczeniu, zapatrzony w niebo za oknem. – Zastanawiałem się dzisiaj nad swoim życiem. Idę o zakład... Nie, nie idę o zakład, po prostu panu powiem. Nie znajdzie pan drugiego takiego niewydarzonego faceta na zachód od Missisipi. Nie zasługuję, żeby w ogóle żyć.

– Każdy na to zasługuje.

– Ładnie, że pan tak uważa. Aha, właśnie. Powiedziano mi, że niejaki pan Archer zapłacił za mnie szpital. Czy to pan?

– Wyłożyłem dwadzieścia dolarów.

– Dziękuję bardzo. Równy z pana gość.

– Nie ma o czym mówić. To z funduszu dyspozycyjnego.

Mimo to był wzruszony, k – Szczęściarz jednak ze mnie. Że się w ogóle wykipłem od śmierci i że mnie odwiedziła żona. Przypomniały mi się dawne czasy.

– Czy Kitty jest jeszcze w mieście?

– Bardzo wątpię. Mówiła, że wyjeżdża. – Leżał przez chwilę nieruchomo na poduszce. – Nie wiedziałem, że pan ją zna.

- Rozmawialiśmy wczoraj chwilę. To piękna kobieta.
- Mnie pan mówi? Jak ode mnie odeszła, to rany boskie, myślałem, że słońce zgasło na niebie.
- Ketchel ci ją odbił?
- Zamilkł znowu.
- Jego też pan zna?
- Tylko ze słyszenia. Niezbyt mi się podoba z tego, co o nim wiem.
- Jeszcze mniej będzie się panu podobał, jak pan się więcej dowie. Dałem mu się wziąć na lep, to było największe głupstwo mego życia. Kosztowało mnie to Kitty.
- Jak to?
- Bo widzi pan, ja mam żyłkę do hazardu. Nie wiem skąd, ale mam. Ciągnie mnie do gry, czuję wtedy, że żyję. Jestem chyba stuknięty. – Oczy miał- nieruchome, jakby patrzył w studnię bez dna. – No i po pewnej upalnej nocy w „Skorpionie” wyszedłem o świcie na Fremont Street golusieńki, bez żony, bez niczego. Jak panu się to podoba? Przegrałem żonę w kości. Kitty tak się na mnie wkurzyła, że poszła do niego i już została.
- Do Ketchela?
- Harry utkwiał wzrok w kapeluszu na komodzie.
- On się naprawdę nazywa Leo Spillman. Ketchel to przybrane nazwisko. Zostało mu z czasów, kiedy był bokserem. Występował na ringu jako Kayo Ketchel. Był zupełnie niezłym zawodowcem wagi półciężkiej, nim się przerzucił na delikatniejszą robotę.
- Jaką robotę, Harry?
- Jaką pan tylko chce, we wszystkim macza palce. Czy też maczał. Zaczął na Środkowym Zachodzie od automatów do sprzedaży, obłowił się głównie w bazach wojskowych. Można powiedzieć, że dotąd robi w automatach. Jest głównym udziałowcem klubu „Skorpion” w Las Vegas.
- Dziwne, że nigdy o nim nie słyszałem.
- Bo jest cichym współnikiem, tak się to chyba nazywa. Nauczył się nie pchać na afisz. Występuje jako Ketchel, bo nazwisko Leo Spillman śmierdzi na milę. Chociaż już się właściwie wycofał z interesów. Nie widziałem go od lat.

– A skąd wzięłeś jego kapelusz?

– Kitty go przyniosła, jak przysłała do mnie w zeszłym tygodniu. Leo jest ode mnie znacznie większy, ale głowy mamy takie same. Potrzebowałem kapelusza, żeby się nie rzucać w oczy w Montevíście.

– Gdzie mogę znaleźć Spillmana?

– Niech pan się spróbuje dowiedzieć w „Skorpionie”. Miał tam kiedyś biuro i mieszkanie. Wiem, że mają z Kitty melinę gdzieś w południowej Kalifornii, ale nigdy się nie zdradziła, gdzie.

– A co z ranczem hodowlanym?

– Dawno je sprzedał. Kitty nie mogła patrzeć, jak cechują cielaki.

– Widzę, że pozostajesz z nią w ścisłym kontakcie.

– Ee, nie. Ale widziałem ją kilka razy przez te lata. Jak tylko się wpakuje w jakiś smród albo jak czegoś naprawdę potrzebuje, wali jak w dym do starego Harry’ego. – Uniósł głowę parę centymetrów nad poduszkę, popatrzył na mnie. – Odkryłem przed panem karty, Archer. Wie pan, dlaczego? Potrzebuję kumpla, współnika.

– Mówiłeś to już wczoraj.

– Dzisiaj bardziej potrzebuję. – Wolnym ruchem brody wskazał na swoją bezradność i głowa opadła mu z powrotem na poduszkę. – Okazał się pan ta-akim gościem. Dopuszczę pana na równych prawach do naprawdę wielkiego interesu.

– Co to będzie tym razem? Wstrząs mózgu?

– Poważnie mówię. Powinno być przeszło sto patyków do podziąłu. To nie żarty.

– Myślisz o pieniądzach, które ukradł Martel-Cervantes?

– Martel kto?

– Cervantes. Używał kiedyś tego nazwiska.

– To ten sam facet! – Harry aż usiadł z podniecenia. – Mamy go!

– Niezupełnie. Dał nogę ze stoma patykami gotówką. Zresztą gdybyśmy je nawet odzyskali, czy nie upomni się o nie Leo Spillman?

– Nie-e! – Podniósł dłoń wyniosłym gestem. – Sto czy nawet

dwieście tysięcy to dla niego małe piwko. Zostawi je nam, Kitty mi przyrzekła. Im chodzi o prawdziwe pieniądze, o miliony.

Wyciągnął ramię na całą długość i trzymał je tak przez chwilę jak w pozdrowieniu. Potem opadł na poduszkę.

– Martel ukradł Spillmanowi miliony?

– No! Kitty mi powiedziała.

– Coś cię nabiera ta twoja Kitty. Nie można ukraść nawet miliona. Chyba żeby napaść na transport pieniędzy.

– Okazuje się, że można. Kitty nie kłamie, nigdy mnie nie okłamała. Nie może pan zrozumieć, że to szansa urządzenia się do końca życia.

– Szansa dostania w czapę, Harry.

Otrzeźwiło go to trochę.

– Ta-ak, to też.

– Czemu by Leo Spillman powierzał tobie taką sprawę?

– To Kitty, nie Spillman. Mnie jednemu ufa. – Musiał dostrzec powątpiewanie w moich oczach, bo dodał: – Może pan sobie myśleć, co pan chce. Tak jest. Wie, że ją kocham. Powiedziała, że jak mi ten numer wypali, to może nawet do mnie wróci.

Podniósł głos, żeby mu nadać bardziej przekonujące brzmienie. Z korytarza dobiegły ciche, szybkie kroki pielęgniarki.

– Kitty coś wspominała, że mieszkała w tym mieście – powiedziałem śpiesznie.

– Zgadza się, pochodzi stąd. Jak pan chce wiedzieć, to tutaj, w hotelu „Falochron”, spędziliśmy nasz tydzień miodowy.

Zrobił do mnie oko spod bandaża.

– Jak się nazywa z domu?

– Sekjar. Jej stary był Polakiem czy czymś takim. Stara też. W łyżce wody by mnie utopiła, że jej podprowadziłem pisklę. Tak się wyraziła.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wsunęła głowę siostra przełożona.

– No, dosyć tego dobrego. Miał pan zachować spokój.

– Harry się trochę rozochocił.

– To niedopuszczalne. – Otworzyła drzwi na całą szerokość.

– Żegnam pana.

– To co, Archer? Umowa stoi? – zawołał Harry z łóżka. – Rozumiemy się?

Nie zamierzałem się z nikim wiązać, z Harrym ani przeciwko Harry'emu. Ale zacisnąłem pięść i uniosłem rękę dla dodania mu otuchy.

22

W sąsiedztwie Szpitala Miłosierdzia działało kilka klinik i przychodni-satelitów, wśród nich klinika doktora Sylwestra, która ustępowała rozmiarami i zasobnością większości swoich konkurentek. Dywan w hallu miał wydeptaną wyraźną ścieżkę od drzwi do biurka recepcjonistki. Koło wejścia wisiała tablica z nazwiskami i specjalnościami kilku lekarzy, na której jako pierwszy figurował doktor George Sylvester, internista.

Recepcjonistka poinformowała mnie, że doktor Sylvester nie wrócił jeszcze z lunchu. Owszem, ma wolne pół godziny, jeśli zechcę poczekać. Podałem jej nazwisko i usiadłem wśród oczekujących pacjentów. Po chwili czułem się jak jeden z nich. Różowy szampan czy osoba, w której towarzystwie go wypilem, przyprawiły mnie o tępy ból głowy. Wkrótce zaczęły przypominać o sobie inne części mojej anatomii, tak że kiedy się pojawił doktor Sylvester, byłem bliski załamania się i wyrecytowania mu swoich symptomów.

Sylvester wyglądał, jakby mi się mógł odwzajemnić własnymi symptomami, prawdopodobnie symptomami kaca. Był wyraźnie niezadowolony z mojej wizyty, ale mnie powitał uściskiem dłoni i profesjonalnym uśmiechem. Poprowadził mnie przez pokój groźnej sekretarki do swego gabinetu. Nim się przebrał w fartuch, miałem czas rzucić okiem na dyplomy i świadectwa rozwieszane na ścianach wyłożonych boazerią. Sylvester studiował w dobrych uniwersytetach, odbył staż w dobrych szpitalach, uzyskał prawo praktyki w Kalifornii. Wszystkie pozory wskazywały, że jest szacownym lekarzem, ale nie byłem zbyt pewny, co się kryje za tą fasadą.

– Czym mogę panu służyć, Archer? Nawiasem mówiąc, wygląda pan na zmęczonego.

– Bo jestem zmęczony.

– Więc czemu pan nie kłapnie? – Wskazał mi krzesło po drugiej stronie biurka, za którym sam usiadł. – Mam tylko parę minut, więc niech pan wali, chłopie.

Ta nagła familiarność była wymuszona. Obserwował mnie zza niej okiem pokerzysty.

– Dowiedziałem się, kim jest pański pacjent Ketchel.

Uniósł brwi, ale się nie odezwał.

– Właścicielem kasyna w Las Vegas, z rozgałęzionymi koneksjami gangsterskimi. Nazywa się naprawdę Leo Spillman.

Sylvester nie był zaskoczony. Powiedział gładko:

– Pokrywa się to z naszymi danymi. Sprawdziłem rano. Jako swój adres podał klub „Skorpion” w Las Vegas.

– Szkoda, że pan sobie tego nie przypomniał wczoraj, kiedy mogło mi się to przydać.

– Nie mogę wszystkiego pamiętać.

– Ale to pan chyba pamięta? Czy to pan zapoznał Spillmana z Royem Fablonem?

– Nie pamiętam.

– Dobrze pan wie, doktorze, czy pan ich zapoznał, czy nie.

– Nie pozwolę tak do siebie mówić.

– Niech pan lepiej odpowie na moje pytanie. Jak pan nie odpowie, znajdę kogoś, kto to za pana zrobi.

Zwiesił w namyśle głowę. Bezwładnie opuszczona, sprawiała wrażenie nieobliczalne i groźne, jak głąz zawieszony nad urwiskiem.

– Dlaczego Marietta Fablon zwróciła się do pana o pożyczkę?

– zapytałem.

– Jestem starym przyjacielem Fablonów. Do kogo miała się zwrócić?

– Czy to nie była przypadkiem próba szantażu, stary przyjacielu?

Rozejrzał się po gabinecie, jakby się nagle znalazł w okratowanej celi. Ukośne linie, obejmujące z obu stron jego

usta, pogłębiły się nadając mu nieco dziki wyraz, jak blizny po własnoręcznie zadanych cięciach.

– Co pan ukrywa, doktorze?

– Że jestem skończonym idiotą – odparł po chwili zastanowienia. Zajrzał mi badawczo w oczy. – Umie pan trzymać język za zębami?

– Nie, jeśli w grę wchodzi przestępstwo.

– Jakie przestępstwo? – Rozpostarł wielkie dłonie na biurku.

– Było jakieś przestępstwo?

– Więc czego pan się tak boi?

– Montevista to wylęgarnia plotek, już panu mówiłem. Gdyby się rozeszła pogłoska, że coś mnie łączyło ze Spillmanem, moja kariera byłaby skończona. – Skulił dłonie powolnym ruchem rozgwiązdy zwierającej ramiona. – Już teraz robię bokami, jeśli pan chce wiedzieć. W tym mieście jest o wiele za dużo lekarzy. W dodatku miałem poważne straty finansowe.

– Przegrał pan grubszą forszę?

Zaskoczyło go to.

– Jak pan na to wpadł? – Zabębnił zaciśniętymi pięściami o biurko, ale niegroźnie, raczej jak człowiek, który chce się skądś wydostać. Nie grzeszył w ogóle subtelną, a obawa uczyniła go jeszcze mniej zręcznym. – Czego pan ode mnie właściwie chce?

– Dobrze pan wie. Faktów związanych, z osobą Martela. Przy okazji chcę wyświetlić okoliczności śmierci Fablona. Te dwie sprawy łączą się ze sobą za pośrednictwem Spillmana, a może nie tylko jego. Kiedy Spillman wyjeżdżał z Montevisty dwa dni po śmierci Fablona, zabrał ze sobą Martela. Wiedział pan o tym?

Popatrzył na mnie nie rozumiejącym wzrokiem.

– Mówi pan o wydarzeniach sprzed siedmiu lat?

– Tak. Jest pan w nie wmieszany, ponieważ to pan sprowadził Spillmana do Montevisty.

– Ja go nie sprowadzałem, sam się wprosił. Właściwie to był pomysł tej jego pani... żony, jeśli, pan woli. Dwa tygodnie spędzone w Klubie Tenisowym stanowiły jej wyobrażenie rajy na ziemi.

Uniósł jeden kącik ust, ukazując brzeżki zębów.

– Był pan Spillmanowi winien pieniądze?

– Jeszcze pan pyta? – Oczy mu spochmurniały, zapatrzone we wstydlive-tajniki jego życia. – Jeśli odpowiem panu uczciwie na pańskie pytania, jaki użytek pan z tego zrobi?

– Postaram się w miarę możliwości zachować fakty dla siebie. Pewien klient powiedział mi kiedyś, że powierzyć mi sekret to jak wrzucić kamień w studnię bez dna. Nie usłyszysz się nawet plusku. Nie jest pan wprawdzie moim klientem, ale zrobię, co mogę, dla uchronienia pańskiego dobrego imienia.

– Trzymam pana za słowo. Niech pan sobie nie wyobraża, że jestem nałogowym hazardzistą. faktycznie lubię zagrać, zresztą to jedyny ratunek przed obecnymi rabunkowymi podatkami. Ale nie należę do typów, których pełno w Las Vegas. Trzymam się z dala od tego miasta.

– Dzięki temu nigdy pan się nie zetknął ze Spillmanem.

– Przyznaję, dawniej tam jeździłem. Ostatni raz pojechałem w parszywym nastroju, samobójczym. Było mi wszystko jedno, co się stanie. Moja żona...

Zagryzł wargi.

– No, niech pan dokończy.

– Chciałem tylko powiedzieć – wykrztusił załamującym się głosem – że jej ze mną nie było.

– Nie chciał pan przypadkiem powiedzieć, że miała romans z innym mężczyzną?

Twarz wykrzywił mu kurcz bólu.

– Wielki Boże, powiedziała panu to?

– Nie. Mniejsza o to, jak się dowiedziałem.

– Wie pan także, z kim miała romans?

– Z Royem Fablonem. Miał pan powód, żeby mu życzyć śmierci.

– To oskarżenie?

– Uważałem za stosowne wspomnieć o tym, panie doktorze.

– Dziękuję pięknie. Ależ part ma zagrania.

– To życie ma zagrania. Co się wydarzyło podczas pańskiej ostatniej bytności w Las Vegas?

– Dużo. Najpierw przegrałem kilkaset dolarów przy ogólnych

stołach. Zamiast się wycofać, wściekłem się i poszedłem na całego. Ani się obejrzałem, jak mój kredyt się wyczerpał... do dziś jest nadszarpnięty... i byłem winien Spillmanowi dwadzieścia tysięcy. Poprosił mnie na rozmowę do swojego gabinetu. Powiedziałem mu, że w najlepszym razie uda mi się zebrać dziesięć, na resztę będzie musiał poczekać. Myślałem, że wyskoczy ze skóry. Nawymyślał mi od złodziei, naciągaczy i Bóg wie jeszcze czego. Byłby się chyba na mnie rzucił z pięściami, gdyby nie ta jego pani.

—Więc Kitty była przy tym?

— Była. Zainteresowała się mną, bo jakoś się dowiedziała, że jestem z Montevisty. Wsiadła na niego, że może odpowiadać za pobicie mnie. Okazało się, że był kiedyś zawodowym bokserem. Ale znajdował się w opłakanym stanie i to raczej ja bym mu spuścił łanie. — Sylvester pogładził się po pięści. — Boksowałem trochę w college'u.

— Lepiej, że pan nie próbował. Rzadko który amator daje radę zawodowcowi.

— Ale on był chory. Fizycznie i nerwowo.

— Co mu było?

— Zauważyłem, że nie panuje nad jednym z nerwów ocznych. Jak się trochę uspokoił, przekonałem go, żeby sobie pozwolił zajrzeć w oczy i zmierzyć ciśnienie. Miałom torbę podręczną w aucie. Może się to panu wydać dziwne w tych okolicznościach, ale zainteresowałem się nim jako lekarz. Nie bez powodu. Miał cholernie wysokie ciśnienie, jego życie wisiało na włosku. Okazało się, że nigdy nie był u lekarza, nigdy nie miał robionych żadnych badań. Uważał, że to dobre dla mięczaków. Z początku myślał, że chcę mu zamydląć oczy, ale z pomocą tej jego pani wbiłem mu w końcu w tępą łepetynę, że mu w każdej chwili grozi wylew. Ostatecznie zaproponował mi ugodę. Miałem zebrać dziesięć tysięcy, wyleczyć go z nadciśnienia i załatwić jemu i żonie pobyt w Klubie Tenisowym. Nie wiem, czy ktoś kiedyś ubił dziwniejszy interes.

— Nie byłbym taki pewny. Spillman wygrał od pewnego gościa żonę w kości.

— Opowiadał mi. Uwielbiał opowiadać takie historyjki.

^Wyobraża pan sobie, jak się czułem wprowadzając człowieka tego pokroju do klubu. Ale nie miałem wyboru, był gotów zapłacić za to blisko dziesięć tysięcy dolarów.

— Nic go to nie kosztowało.

— Kosztowało go dziesięć tysięcy minus moje honorarium.

— Nie, jeśli pan mu zapłacił dziesięć tysięcy gotówką. Odbił sobie różnicę na podatku.

— Myśli pan, że się uchylił od zapłacenia podatku?

— Nie mam co do tego wątpliwości. To codzienna praktyka w Las Vegas. Wygospodarowane w ten sposób pieniądze nazywają tam lewymi. To dobra nazwa. Są to milionowe sumy, z których finansowana jest połowa wszystkich nielegalnych transakcji w całych Stanach, z działalnością mafii włącznie.

— Za to nie mogę być już odpowiedzialny — powiedział Sylvester lodowato.

— Moralnie owszem, prawnie nie wiem. Gdyby pociągać do odpowiedzialności wszystkich współdziałających ze światem przestępczym, to połowa szacownych obywateli znalazłaby się za kratkami. Niestety nigdy do tego nie dojdzie. My w Stanach traktujemy naszą stolicę zorganizowanego występku, jakby to był drugi Disneyland pachnący oliwką dziecięcą, wymarzone miejsce na wycieczki rodzinne i zjazdy koleżeńskie.

Pohamowałem się. Mam lekkiego bzika na punkcie Las Vegas, może dlatego że sprawy kryminalne, które mi ludzie powierzają w Kalifornii, tak często tam prowadzę. Przykładem obecna.

— Czy wiedział pan, że wtedy, przed siedmiu laty, Martel wyjechał z Montevisty ze Spillmanem? — zapytałem.

— Mówił mi pan już. Nie bardzo to rozumiem.

— Studiował w tutejszym college'u i pracował dorywczo jako pikolak w Klubie Tenisowym.

— Martel?

— Nazywał się wówczas Feliz Cervantes. Poznał Wirginię Fablon, a przynajmniej ją zobaczył na wieczorku studentów romanistyki i zupełnie stracił dla niej głowę. Być może wziął zajęcie w klubie, żeby ją częściej widywać. Natknął się tam na Spillmana.

Sylvester słuchał w napięciu. Był cichy i nieruchomy, jakby się obawiał, że sufit runie mu na głowę za najbliższym poruszeniem.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Większości się dowiedziałem, trochę wydedukowałem. Ale muszę jeszcze porozmawiać ze Spillmanem. Chcę, żeby mi pan pomógł go odnaleźć. Widział go pan ostatnio?

– Od siedmiu lat go nie widziałem. Nie pokazał się tu więcej. Sam pan rozumie, że go do tego nie zachęcałem. Pomijając kontakty zawodowe, unikałem go jak ognia. Nigdy na przykład nie zaprosiłem go do domu.

Sylvester starał się zachować twarz. Ale podejrzewałem, że w ciągu ostatniej półgodziny utracił ją na zawsze.

23

Z pokoju sekretarki dobiegł dzwonek telefonu. Po kilkunastu sekundach zawtórował przytłumionym echem aparat na biurku. Sylvester podniósł słuchawkę.

– Co tam znowu? – spytał z irytacją.

Głos sekretarki dochodził mnie stereofonicznie z dwu stron: ze słuchawki w ręku Sylwestra i zza drzwi za moimi plecami. Był na tyle głośny, że słyszałem każde słowo:

– Wirginia Fablon do pana. Jest bliska hysterii. Połączyć?

– Niech zaczeka. Wyjdę tam.

Przeprosił mnie i wyszedł zamykając znacząco drzwi. Ignorując niemą sugestię wyszedłem za nim do pokoju sekretarki. Stał nad jej biurkiem przyciskając do ucha słuchawkę jak klamrę chirurgiczną unieruchamiającą twarz.

– Gdzie jesteś? – zapytał. Obrócił się, żeby na mnie warknąć:

– Nie może mnie pan zostawić chwilę w spokoju?

– Pan będzie łaskaw wyjść do hallu – powiedziała sekretarka. – Doktor udziela porady w nagłym wypadku.

– Jakim wypadku?

– Nie jestem upoważniona do udzielania informacji. Proszę wyjść.

Była podstawną kobietą o kanciastej, zdecydowanej twarzy. Natarła na mnie ciałem, gotowa użyć siły. Wycofałem się do hallu. Sekretarka zamknęła za mną drzwi. Przyłożyłem do nich ucho i usłyszałem, jak Sylvester mówi:

– Na jakiej podstawie przypuszczasz, że umiera? – I po chwili: – Rozumiem... Tak, zaraz tam będę. Nie trać głowy.

Po kilkunastu sekundach wyskoczył do hallu w tak nieprzytomnym pośpiechu, że o mało mnie nie przewrócił. W rękę ścisnął torbę lekarską, ale był ciągle w fartuchu. Twarz, pozbawioną oparcia słuchawki, wykrzywił mu niekontrolowany grymas. Ruszyłem obok niego do drzwi wyjściowych.

– Zawiozę pana – zaproponowałem.

– Nie.

– Czy Martel jest ranny?

– Wolę o tym nie mówić. Zależy mu na dyskrecji.

– Jestem wcieleniem dyskrecji. Zawiozę pana.

Sylvester potrząsnął głową. Zatrzymał się na chodniku nad parkingiem i stał przez chwilę mrugając oczami.

– Co się stało Martelowi? – zapytałem.

– Został postrzelony.

– To już nie jest sprawa prywatna. Powinien pan to wiedzieć, - doktorze. Moje auto jest tam.

Ująłem go pod łokieć i poprowadziłem do krawężnika. Nie stawiał oporu. Ruchy miał trochę jak zabawka mechaniczna. Zapaliwszy motor zapytałem:

– Gdzie oni są, panie doktorze?

– W Los Angeles. Niech pan wyjedzie na autostradę do San Diego. Mają dom w Brentwood.

– Mają drugi dom?

– Widać mają. Zapisałem adres.

Mieszkali na Sabado Avenue, cienistej alei obszernych rezydencji w stylu hiszpańskim, wybudowanych gdzieś w latach dwudziestych. Była to jedna z owych znikających enklaw, w których – w bardziej sprzyjających okolicznościach – chętnie bym się porozkoszował słonecznym spokojem przedwojennego Los Angeles. Przy wjeździe stał znak

informujący, że ulica jest ślepa.

Dom, którego szukaliśmy, okazał się większy i bardziej wymyślny od innych. Otaczał go ogrodzony ogród z fontannami, który trochę przypominał ekskluzywne Forest Lawn. Byłaby na miejscu w Forest Lawn również dziewczyna, która nam otworzyła drzwi. Z trudem rozpoznałem w niej Ginny, tak miała zapadłe policzki i zapuchnięte oczy. Zaczęła szlochać w fartuch Sylwestra. Ten poklepał ją wolną ręką po plecach wstrząsanych łkaniem.

– Gdzie on jest, Wirginio?

– Uciekł. Musiałam telefonować od sąsiadów. Nasz telefon jest jeszcze nie podłączony. – Każde zdanie kończył spazmatyczny szloch, przypominający czkawkę. – Wziął auto i pojechał.

– Dawno?

– Nie wiem. Straciłam rachubę czasu. Kiedy poszłam zadzwonić do pana.

– To znaczy, prawie przed godziną – powiedziałem. – Czy pani mąż jest ciężko ranny?

Kiwnęła głową, ciągle uczipiona Sylwestra.

– Boję się, że ma krwotok wewnętrzny. Dostał kulę w brzuch.

– Kiedy?

– Jakaś godzinę temu. Dokładnie nie wiem. Ludzie, od których wynajęliśmy ten dom, nie zostawili ani jednego zegara. Drzemałam na górze, bo nie spaliśmy prawie całą noc, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Mój mąż otworzył. Usłyszałam strzał, zbiegłam na dół i znalazłam go siedzącego na podłodze.

Popatrzyła na swoje stopy. Parkiet dookoła był popstrzony rdzawymi plamami, które wyglądały na zasychającą krew.

– Nie widziała pani, kto strzelał?

– Nie widziałam nikogo. Słyszałam tylko odjeżdżające auto. Mój mąż...

Powtarzała to, jakby w ten sposób chciała mu uratować życie i ocalić swoje małżeństwo.

– Nie możemy jej tu przesłuchiwać – wtrącił się Sylvester. – Jeden z nas musi wezwać policję.

– Powinien pan to być zrobić przed wyjazdem z kliniki.

Ginny wzięła moją wymówkę do siebie.

— Mąż mi nie pozwolił. Powiedział, że to by był koniec wszystkiego.

Pokręciła ciężko głową, jakby czuła wiszące nad nią fatum. Sylvester utulił ją na swoim ramieniu. Powoli, delikatnie wprowadził ją do domu. Ja poszedłem do sąsiadów.

Na trawniku przed domem stał tęgi dyrektorski typ w czarnym alpakowym swetrze. Miał obrażoną, lecz zrezygnowaną minę. Był właścicielem rezydencji na Sabado Avenue, powinno mu to gwarantować spokój.

— Czego pan chce?

— Skorzystać z pańskiego telefonu. Ktoś został postrzelony.

— Więc to był strzał?

— Słyszał pan?

— Słyszałem, ale myślałem, że to w gaźniku.

— Widział pan samochód?

— Widziałem przejeżdżającego Rollsa. Czy może to był Bentley. Ale to było w jakiś czas potem.

To nic nie dawało. Zapytałem go, gdzie jest telefon. Zaprowadził mnie tylnym wejściem do kuchni. Była to jedna z owych kuchni wieku kosmicznego, cała błyszcząca metalem i tablicami kontrolnymi, gotowa do wystrzelenia na orbitę księżycową. Gospodarz podał mi telefon i czym prędzej wyszedł, jakby w obawie usłyszenia czegoś, co by mu mogło zakłócić spokój.

W ciągu paru minut nadjechał radiowóz, a tuż za nim i kipa dochodzeniowa z Wydziału Zabójstw pod dowództwem kapitana nazwiskiem Perlberg. Wkrótce odnaleźliśmy Bentleya Martela. Nie ujechał daleko. Jego błyszcząca maska była wbita w metalową barierę ochronną zamykającą ślepy wylot Sabado Avenue. Za barierą zaczynało się usypisko, schodzące do urwistej przepaści, pod którą błyszczał Pacyfik. Silnik Bentleya jeszcze pracował.

Martel siedział z brodą na kierownicy, jego szara twarz ślepiła martwymi oczami w błękitny ocean przestworzy.

Znaliśmy się z Perlbergiem, więc wprowadziłem go pokrótce w sprawę. Wraz ze swymi ludźmi przeszukał auto i dom, ale

nigdzie nie znaleźli śladu stu tysięcy Martela. Rewolwerowiec, który go zastrzelił, zabrał również jego pieniądze.

GINNY była już nieco spokojniejsza, tak że Sylvester zezwolił Perlbergowi na krótkie przesłuchanie. Usiedliśmy obaj z Sylwestrem w salonie i nadzorowaliśmy jego przebieg.

Ślubu udzielił Ginny i Martelowi sędzia w Beverly Hills w ubiegłą sobotę. Tego samego dnia Martel wynajął przez pośrednika dom na Sabado Avenue wraz z całym umeblowaniem. Ginny nie знаła nazwiska właściciela. Nie, nie wie również, kto zastrzelił jej męża. Spała, kiedy to się stało. Nim zbiegła, było po wszystkim.

— Ale pani mąż jeszcze żył — przypomniał Perlberg. — Co mówił?

— Nic.

— Coś musiał powiedzieć.

— Tylko żebym nikogo nie wzywała. Powiedział, że to nic poważnego. Dopiero później się zorientowałam, że rana jest poważna.

— Po jakim czasie?

— Nie wiem. Byłam zupełnie nieprzytomna, zresztą tu nie ma zegara. Siedziałam i patrzyłam, jak życie z niego ucieka. Robił wrażenie do głębi... do głębi upokorzonego. Kiedy w końcu zrozumiałam, jak z nim źle, pobiegłam do sąsiadów, zadzwonić po doktora Sylwestra.

Wskazała głową lekarza siedzącego obok.

— Dlaczego nie wezwała pani miejscowego lekarza?

— Nie znam tu nikogo.

— Dlaczego nie wezwała pani nas? — indagował Perlberg.

— Bałam się. Mąż powiedział, że to by był koniec.

— Koniec czego?

— Nie wiem, ale się bałam. Kiedy zdecydowałam się w końcu zadzwonić, uciekł.

Zakryła twarz dłońmi. Sylvester dał Perlbergowi znak, żeby jej dłużej nie męczył. Ludzie z ekipy dochodzeniowej porobili zdjęcia, wzięli strużyny parkietu poplamionego krwią i zostawili nas samych z Ginny w wielkim domostwie, dudniącym echami. Po ich wyjściu Ginny oświadczyła, że chce

wracać do domu, do matki. Sylvester odparł, że jej matka nie żyje. Nie zareagowała, jakby to do niej w ogóle nie dotarło.

Ofiarowałem się spakować jej rzeczy. Sylvester został z nią na dole, ja zaś wszedłem na piętro do przestronnej sypialni. Jej punkt centralny stanowiło okrągłe łoże, które miało chyba ze trzy metry średnicy. Widywałem ostatnio coraz więcej takich królewskich łóżnic, przypominających ołtarze kultu dawnych bogów. Łóżko było nie posłane, skotłowana pościel kazała się domyślać nocy miłosnej.

Walizki znalazłem na podłodze w szafie ściiennej, pod rzędem pustych wieszaków. Były nie rozpakowane, jeśli nie liczyć kilku wyjętych drobiazgów – koszuli nocnej, szczotki do włosów i do zębów oraz kosmetyków Ginny, piżamy i maszynki do golenia Martela. Przeszukałem szybko jego bagaże. Odzież miał po większej części nową i w dobrym gatunku, niektóre rzeczy z etykietami z Bond Street⁶. Pominąwszy francuskie wydanie „Meditations” Descartes’a nie znalazłem w jego walizkach nic mówiącego cokolwiek bliższego o osobie właściciela. Zresztą książka była też nie podpisana.

Później, w drodze powrotnej do Montevisty przez nie kończące się osiedla podmiejskie, spytałem Ginny, czy Wie, kim był jej mąż. Sylvester dał jej środki uspokajające, jechała między nami z głową opartą na jego wyciągniętym ramieniu. Pod wpływem doznanego szoku nastąpił u niej jakby powrót do dzieciństwa. Jej głos brzmiał trochę tak, jakby mówiła przez sen:

– Nazywa się Francis Martel, pochodzi z Paryża. Przecież pan wie.

– Tak mi się wydawało, Ginny. Ale dziś się wyłoniło inne nazwisko, Feliz Cervantes.

– Nigdy o takim nie słyszałam.

– Poznaliście się, w każdym razie on panią poznał, na wieczorku Cercie Français w domu profesora Tappingera.

– Kiedy? Byłam na kilkudziesięciu wieczorkach Cercie Français.

– Siedem lat temu, we wrześniu. Francis Martel występował

⁶ Bond Street – ulica luksusowych sklepów w Londynie. (przyp. tłum.)

wówczas pod nazwiskiem Feliz Cervantes. Zona profesora Tappingera rozpoznała go na fotografii.

— Mogłabym zobaczyć tę fotografię?

Zjechałem na pas wolnego ruchu, żeby wydobyć zdjęcie z kieszeni. Ginny wzięła je ode mnie. Przez jakiś czas przyglądała się w milczeniu. Po lewej przemykały koło nas sznury aut popołudniowego szczytu. Kierowcy mieli lekko wystraszone miny jak porwani przez własne pojazdy.

— Czy to naprawdę Francis w głębi?

— Prawie na pewno. Nie pamięta go pani z tych czasów?

— Nie. A powinnam?

— Znał panią. Powiedział swojej gospodyni, że jak się dorobi, to wróci i ożeni się z panią.

— To niepoważne.

— Jak najbardziej. Dopiął swego.

Sylvester, który dotąd milczał, warknął na mnie, żebym z tym skończył. Ginny zwiesiła w zadumie głowę nad zdjęciem.

— Jeśli to naprawdę 'Francis, to co robi w towarzystwie państwa Ketchelów?

— Zna pani państwa Ketchelów?

— Widziałam ich raz.

— Kiedy?

— We wrześniu siedem lat temu. Tatuś zabrał mnie na lunch z nimi. To było tuż przed jego śmiercią.

Sylvester spiorunował mnie wzrokiem nad jej głową.

— Dostyc tego, Archer. Nie pora rozdrapywać zabliźnione rany.

— Nie mam czasu czekać. Może nie być lepszej okazji.

— Obróciłem się do dziewczyny:— Ma pani coś przeciwko porozmawianiu o tych sprawach?

— Nie, jeśli to w czymś pomoże.

Zdobyła się na błądy uśmiech.

— Więc dobrze. Zdarzyło się coś podczas lunchu z Ketchelami?

— Właściwie nie. Jedliśmy w patio ich domku. Próbowaliśmy nawiązać rozmowę z jego żoną. Mówiła, że pochodzi z Montevisty, ale to była jedyna rzecz, która nas łączyła.

Utopiłaby mnie w łyżce wody, gdyby mogła.

— Dlaczego?

— Bo wpadłam w oko jej mężowi. Chciał dla mnie robić różne rzeczy, pomagać mi w studiach i tak dalej.

Jej głos był beznamiętny.

— Czy pani ojciec o tym wiedział?

— Tak. To był cel tego lunchu. Roy był bardzo naiwny w stosunkach z ludźmi. Łudził się, że wykorzysta pana Ketchela nie dając się samemu wykorzystać.

— W jaki sposób wykorzysta? — zapytałam.

— Roy zaciągnął u niego dług. Był uroczym człowiekiem, ale w tym czasie był już u wszystkich zadłużony. Niestety nie mogłam mu pomóc. Przyjęcie propozycji pana Ketchela nic by nie zmieniło. Tacy ludzie jak on tylko biorą, nic w zamian nie dając. Mówiłam Royowi.

— Co to była za propozycja?

— Dosyć mętna. W każdym razie pan Ketchel chciał mnie wysłać na studia do Europy.

— I pani ojciec poszedł na to?

— No, nie. Liczył tylko, że uda mi się go trochę ugłaskać. Ale pan Ketchel chciał mieć wszystko. Niektórzy mężczyźni robią się tacy, kiedy czują, że nad nimi wisi śmierć.

Ta dziewczyna mnie zdumiewała. Uświadomiłem sobie, że nie jest już właściwie dziewczyną, lecz kobietą, która ma za sobą krótkie tragiczne małżeństwo. I jak wszystko wskazywało, długie tragiczne dzieciństwo. Nawet jej głos się zmienił w momencie, gdy zaczęła nazywać ojca Royem, niemal jakby się jednym skokiem przeniosła z wieku „dziewczęcego do dojrzałego.

— Często widywała pani Ketchela?

— Tylko ten jeden raz. Zwrócił na mnie uwagę w klubie.

— Powiedziała pani, że wspólny lunch miał miejsce na krótko przed śmiercią ojca. To znaczy kiedy? W tym samym tygodniu?

— Tego samego dnia — odparła. — W dniu, kiedy po raz ostatni widziałam Roya żywego. Wieczorem mamusia wysłała mnie na poszukiwanie go.

— Gdzie go pani szukała?

— Na plaży, w klubie. Przez jakiś czas był ze mną Peter Jamieson. Poszedł do domku Ketchelów, bo ja nie chciałam, ale ich nie zastał. W każdym razie nikt mu nie otworzył.

— Czy sądzi pani, że Ketchel i pani ojciec pokłócili się o panią?

— Nie wiem, możliwe. Żałuję, że się nie urodziłam bez nosa albo tylko z jednym okiem — dokończyła tym samym beznamiętnym tonem.

Nie musiałem jej pytać, co chce przez to powiedzieć. Znałem wiele dziewcząt, którym mężczyźni chcieli na gwałt wyświadczać grzeczności.

— Czy Ketchel zamordował pani ojca, Ginny?

— Nie wiem. Mamusia tak wtedy myślała.

Sylvester się zachnął.

— Co za sens ma odgrzebywanie tego wszystkiego?

— Ten sens, że to wszystko się łączy w jedną całość. Nie chce pan dostrzec związku, doktorze, bo jest pan sam jednym z ogniw sprawy.

— Czy musimy do tego wracać?

— Błagam was. — Ginny, ze skrzywioną twarzą, pokręciła szyją. — Błagam was, nie kłóćcie się nad moją głową. Przez całe życie wszyscy się kłócili nad moją głową.

Przeprosiliśmy ją obydwaj. Po chwili spytała mnie cichym głosem:

— Myśli pan, że to Ketchel zastrzelił mego męża?

— Jest pierwszym podejrzanym. Ale wątpię, żeby to zrobił osobiście. Posłużyłby się raczej najemnym mordercą.

— Ale dlaczego?

— Trudno mi wchodzić we wszystkie szczegóły. Faktem jest, że siedem lat temu pani mąż wyjechał z Montevisty w towarzystwie Ketchela. Wszystko wskazuje na to, że Ketchel go posłał na studia do Francji.

— Zamiast mnie?

— To mało prawdopodobne. Ale niewątpliwie miał na niego jakieś zakusy.

Poczula się dotknięta.

— Co pan? Francis nie był taki.

— Nie mam na myśli zakusów seksualnych. Przypuszczam, że posługiwał się Francisem w interesach.

— W jakich interesach?

— Ketchel jest wielkim macherem od gier hazardowych. Czy Francis nigdy go nie wspominał?

— Nigdy.

— A może wspominał Leona Spillmana? To prawdziwe nazwisko Ketchela.

— Też nie.

— O czym wyście rozmawiali z Francisem, Ginny?

— Najczęściej o poezji, o filozofii. Nauczyłam się od niego mnóstwa rzeczy.

— Nigdy nie rozmawialiście o sprawach realnych?

— Dlaczego sprawy realne muszą być zawsze takie brzydkie i straszne? — zapytała udręczonym głosem.

Zacznie teraz odczuwać ból, pomyślałem. Okrutny ból powrotu do domu jako wdowa po trzydniowym małżeństwie.

Czas był zjeżdżać z autostrady. W oddali widziałem już Montevistę, jej drzewa wyglądały jak zielony las. Droga jazdowa wyprostowała się i pobiegła jak strzełił do oceanu.

Wróciłem myślą do Francisca Martela czy jak mu tam było naprawdę. Przed paroma miesiącami jechał swoim Bentleyem tą samą szosą w pogoni za snem, którym żył przez siedem lat. Siła witalna, która ten sen zrodziła i, co więcej, pozwoliła na krótko urzeczywistnić, została przecięta. Nawet dziewczyna siedząca obok mnie była bezwładna jak szmaciana lalka, jakby i w niej coś pękło od strzału, który zakończył życie jej męża. Nie odezwała się więcej, dopóki nie dojechaliśmy do domu jej matki.

Drzwi były zamknięte na klucz. Ginny odwróciła się od nich z zawiedzioną miną. -

— To dzień, w którym zawsze gra w brydża. Powinna była pamiętać. — Znalazła w torebce klucz, otworzyła zamek. — Wnieście pan moje walizki? — zwróciła się do mnie. — Czuję się trochę słabo.

— Masz prawo — powiedział Sylvester.

— Właściwie to mi nawet ulżyło, że mamusi nie ma w domu.

Co bym jej powiedziała?

Popatrzyliśmy z Sylwestrem po sobie. Wyjąłem z bagażnika walizki i wniosłem do hallu. Ginny zapytała z salonu:

— Co się stało z telefonem?

— Wydarzyło się tu wczoraj nieszczęście — powiedziałem.

Oparła się o futrynę między salonem a hallem.

— Nieszczęście?

Podszedł Sylvester i położył jej dłonie na ramionach.

— Muszę ci to powiedzieć, Ginny. Do twojej matki w nocy strzelano.

Osunęła się z jego rąk na podłogę. Twarz jej poszarzała, oczy podsiniąły, ale nie zemdłała. Siedziała oparta o futrynę.

— Marietta nie żyje?

— Niestety, Ginny.

Przykucnąłem koło niej.

— Wie pani, kto zastrzelił pani matkę?

Potrząsnęła głową tak gwałtownie, że włosy opadły jej jak płowa kurtyna na twarz.

— Pani matka była wczoraj wieczorem bardzo wzburzona. Czy ktoś jej coś powiedział? Pani albo Martel?

— Przyjechaliśmy się z nią pożegnać. — Nieodwołalność tego słowa zaparła jej na chwilę dech. — To wszystko, poza tym, że nie chciała mnie puścić. Powiedziała, że zdobędzie pieniądze w jakiś inny sposób.

— Co to miało znaczyć?

— Zdaje się, że uważała, że wychodzę za Francisa dla pieniędzy. Nic nie rozumiała.

— Powiedziała mi przed śmiercią, że ją zabił gach. Kogo miała na myśli?

— Może Francisa. Ale on był ze mną przez cały czas. — Głowa jej się przegięła i uderzyła ze stukiem o framugę. — Nie wiem, kogo mogła mieć na myśli.

— Niech pan ją zostawi w spokoju — powiedział Sylvester. — Żądam tego jako przyjaciel i jako lekarz.

Miał rację. Siedząc tak nad nią w kucki czułem się jak kat nad dobrą duszą. Podniosłem się i pomogłem jej wstać.

— Potrzebuje opieki — powiedziałem. — Zostanie pan z nią,

doktorze?

— Nie mogę. Czeka już na mnie z tuzin pacjentów. — Rzucił okiem na zegarek. — Niech pan z nią zostanie. Wrócę do miasta taksówką.

— Mam parę spraw do załatwienia. — Obróciłem się do Ginny. — Zniosłaby pani towarzystwo Petera?

— Chyba tak — odparła ze zwieszoną głową. — Pod warunkiem, że nie będę z nim musiała rozmawiać.

Zastałem Petera w domu i wprowadziłem pokrótce w sytuację. Odparł, że umie się obchodzić z bronią — bawi się trochę w strzelanie do rzutków — i chętnie stanie na straży. Załadował dubeltówkę i ruszył za mną niosąc ją na sposób nieco wojskowy. Wiadomość o śmierci Martela dodała mu jakby życia. Ginny powitała go spokojnie w hallu.

— To ładnie z twojej strony, Peter. Ale nie będziemy o niczym rozmawiali, dobrze?

— Do-obra. Tylko chcę, żebyś wiedziała, że mi przykro, Ginny.

Podali sobie ręce jak rodzeństwo. Ale spostrzegłem, jak Peter wzrokiem obejmuje w posiadanie jej nadwerżoną urodę. Uświadomiłem sobie z zaskoczeniem, że dla niego sprawa tak jakby się skończyła. Wyszedłem, nim on sobie to uświadomi.

24

Zaczęliśmy się powoli piąć na przełęcz, przez którą prowadziła najkrótsza droga z Montevisty do miasta. Sylvester oglądał się raz po raz do tyłu, na dolinę, w której pozostała Ginny. Dachy zanurzały się coraz bardziej w morzu drzew jak tonące okręty we wzburzonych falach.

— Czy nie trzeba by jej zabrać do szpitala? — zapytałem. — Albo przynajmniej posłać jej pielęgniarkę?

— Zajmę się tym, jak tylko skończę przyjęcia.

— Myśli pan, że się z tego otrząśnie?

Sylvester odpowiedział nie od razu.

— Ginny to twarda dziewczyna. Ale rzeczywiście ma parszywe

szczęście, no i sama sobie skomplikowała życie niefortunnym wyborem. Powinna była wyjść -za Petera, jak było ustalone. Przy nim byłaby przynajmniej bezpieczna. Zresztą może tak się to jeszcze skończy.

— Może. Zdaje się, że żywi pan dla niej ciepłe uczucia?

— Najcieplejsze, na jakie mogę sobie pozwolić.

— Co to znaczy, doktorze?

— To, co pan słyszał. Jest piękną dziewczyną, ufa mi. W pana ustach wszystko brzmi jak oskarżenie.

— Nie wydaje mi się.

— To niech pan siebie posłucha. Zrozumie pan, o czym mówię.

— Może ma pan trochę racji. — Nie chciałem, żeby się zaciął w milczeniu. Po chwili podjąłem: -- Znał pan dobrze Roya Fablona. Czy był zdolny do posłużenia się własną córką dla wypłatania się z długów karcianych?

— Czemu pan mnie o to pyta?

— Ginny zdaje się tak uważa.

— Nie odniosłem takiego wrażenia. Roy mógł się nią najwyżej posłużyć... czy raczej próbować posłużyć dla uczynienia Spillmana skłonniejszym do ustępstw. Nie wie pan, do jakiej rozpaczki może doprowadzić człowieka, kiedy taki goryl jak Spillman... — Nie dokończył zadania. — Ja wiem.

— Potwierdza to moje przypuszczenia. Fablon był zdolny do próby posłużenia się córką.

— Taka myśl mogła mu chodzić po głowie. Ale nigdy by tego nie zrobił.

— Faktem jest, że w rezultacie się nią nie posłużył.

Nie miał okazji. Powiedzmy, że zrobił Spillmanowi propozycję, po czym się wycofał. Taki impetyk jak Spillman mógł go łatwo zabić.

— Można z tego wysnuć wprost odwrotny wniosek, znacznie bardziej pasujący do Roya — odparł Sylvester. — Mianowicie, że postawiony przed takim dylematem moralnym, poszukał wyjścia w samobójstwie. I tak właśnie było. Nie dalej jak dziś rano rozmawiałem z doktorem Willsem, zastępcą koronera. Robił osobiście sekcję zwłok. Stwierdził niezbitcie, na podstawie

analizy chemicznej, że Roy się utopił w oceanie.

— Względnie został utopiony.

— Medycyna sądowa zna wypadki zabójstwa przez utopienie — przyznał Sylvester. — Ale nigdy nie słyszałem, żeby takiego zabójstwa dokonał człowiek ciężko chory, ciemną nocą, w oceanie.

— Spillman należy do ludzi, którzy zlecają mokrą robotę zawodowcom.

— Jaki by miał motyw?

— O jednym z możliwych motywów mówiliśmy przed rhwilą. Drugim, bardziej oczywistym, jest trzydzieści tysięcy dolarów, które Fablon był mu winien, a których nie mógł zapłacić. Spillman nie traktował takich spraw lekko, sam pan wie najlepiej.

Sylvester poprawił się nerwowo na siedzeniu.

— Marietta zabiła panu ćwieka. Miała obsesję na punkcie Spillmana.

— Rozmawiała z panem o tym ostatnio?

— Wczoraj przy lunchu, kiedy pan wdepnął jak Piłat w Credo.

— Widać potraktował pan to serio. Inaczej nie sprawdzałby pan u doktora Willsa.

— Może pan sprawdzić sam. Powie panu to, co mnie.

Dojechaliśmy do niskiego siodła przełęczy. Na spadzistej hali po lewej, jak samotny rozbitek, spacerował w słońcu stary bułany ogier z płową grzywą. Nim rozpocząłem zjazd z góry, opuściłem osłonę przeciwsłoneczną nad przednią szybą. Miasto w dole wyglądało jak labirynt zaprojektowany przez natchnione dziecko: przemyślny, a zarazem dyletancki. Za nim rozciągała się zmienna błękitna niewiadoma oceanu.

Wysadziłem Sylwestra przed jego kliniką, a sam poszedłem naprzeciwko do Szpitala Miłosierdzia, gdzie w suterenie, obok kostnicy miał swój gabinet i pracownię zastępca koronera, doktor Wills. Okazał się on niskim, szczupłym mężczyzną o wyglądzie rasowego naukowca, podkreślonym jeszcze przez okulary w stalowej oprawie. Nosił się tak, jakby jego dłonie, palce, nawet oczy i usta były instrumentami medycznymi, użytecznymi, ale nieożywionymi, a prawdziwy on, doktor Wills,

tkwił wewnątrz czaszki i stamtąd kierował ich zewnętrznymi działaniami. Nie mrugnął okiem, kiedy mu oznajmiłem, że miało miejsce nowe zabójstwo.

— Nie za wiele tego? — powiedział tylko.

— Zrobił pan już sekcję pani Fablon?

— Niecałkowitą. Okazało się to zbędne. Kula drasnęła aortę, to przesądziło sprawę.

Wskazał ręką drzwi do kostnicy.

— Jakiego kalibru była kula?

— Wygląda na trzydziestkę ósemkę. Jest w dość dobrym stanie, nadaje się do analizy porównawczej, jeśli kiedykolwiek znajdzie się pistolet.

— Mogę ją obejrzeć?

— Przekazałem ją inspektorowi Olsenowi.

— Niech pan mu powie, żeby ją porównał z kulą, od której zginął Martel.

Wills zmierzył mnie badawczym spojrzeniem.

— Czemu pan mu sam nie powie?

— Od pana przyjmie to lepiej. Uważam, że powinien także wznowić sprawę Roya Fablona.

— Co do tego się nie zgadzam — odparł cierpko Wills. — Obecne morderstwo czy nawet dwa nie zmieniają faktu dawnego samobójstwa.

— Jest pan pewien, że to było samobójstwo?

— Całkowicie. Miałem okazję sprawdzić to w swoich notatkach nie dawniej niż dziś rano. Nie ma wątpliwości, że Fablon popełnił samobójstwo przez utopienie. Obrażenia zewnętrzne powstały niemal na pewno po śmierci. A gdyby nawet nie, i tak nie wystarczyłyby do spowodowania zgonu.

— Podobno był ciężko poturbowany?

— Ciała wydobyte z oceanu są zawsze ciężko poturbowane. Nie ma wątpliwości, że to było samobójstwo. Oprócz wyników sekcji są jeszcze jego własne groźby popełnienia samobójstwa. Potwierdziły to jego żona i córka.

— Słyszałem.

Przypomnienie o tym, po niedawnych rozmowach z Sylwestrem i Ginny, podziało na mnie przygnębiająco. Te-

rażniejszość nie może zmienić przeszłości, jak słusznie zauważył doktor Wills, ale może wydobyć na jaw jej wstydlive tajemnice, uwypuklić jej bolesne uwarunkowania. Wills opacznie zrozumiał moje milczenie.

— Jeśli pan mi nie wierzy na słowo, może pan sprawdzić w aktach zespołu orzekającego.

— Nie wątpię, że pańskie dane są zgodne z prawdą, panie doktorze. Kto zeznawał w sądzie w sprawie tych gróźb?

— Pani Fablon. Nie może pan kwestionować jej świadectwa.

— Można kwestionować wszystko, co ludzkie. — Jeszcze dźwięczały mi w uszach niedomówienia wczorajszej nocnej rozmowy z Mariettą. — Podobno przed rozprawą twierdziła, że jej mąż został zamordowany.

— Może. Widać dowody rzeczowe zmusiły ją do zmiany stanowiska. Na rozprawie opowiedziała się zdecydowanie za samobójstwem.

— O jakich dowodach rzeczowych pan mówi?

— O składzie chemicznym krwi pobranej z serca. Dowodził ponad wszelką wątpliwość, że zgon nastąpił wskutek utonięcia.

— Fablon mógł zostać ogłuszony i utopiony w wannie. Takie historie się zdarzają.

— Nie w tym przypadku — odparł Wills szybko i gładko jak dobrze zaprogramowany komputer. — Zawartość chlorku we krwi pobranej z lewej komory serca przekraczała normę o ponad dwadzieścia pięć procent. Również zawartość magnezu była znacznie podwyższona w porównaniu z prawą komorą. Te dwa wskaźniki wzięte razem dowodzą, że Fablon utonął w wodzie morskiej.

— A nie ma wątpliwości, że to było ciało Fablona?

— Najmniejszych. Żona zidentyfikowała zwłoki w mojej obecności. — Wills poprawił okulary i zmierzył mnie taksującym spojrzeniem, iakby podejrzewał, że mam fioła na tym punkcie. — Szczerze mówiąc, uważam, że pan popełnia zasadniczy błąd starając się za wszelką cenę wykazać związek między jego śmiercią a t y m.

Wskazał ponownie drzwi, za którymi leżała w szufladzie chłodniczej Marietta. Może powinienem był zostać i dalej go

przekonywać. Wills był człowiekiem uczciwym. Ale jego pracownia ze swoim piwnicznym chłodem działała na mnie zbyt przygnębiająco. Betonowymi ścianami i wysokimi wąskimi oknami przypominała celę w starym więzieniu. Dałem za wygraną.

Przed opuszczeniem szpitala znalazłem rozmównicę telefoniczną i połączyłem się przez międzymiastową z profesorem Allanem Boschem z college'u stanowego w Los Angeles. Był u siebie i sam przyjął telefon.

— Mówi Lew Archer. Moje nazwisko nic panu nie powie...

— Wprost przeciwnie — przerwał. — Słyszałem je nie dalej niż pół godziny temu.

— Rozmawiał pan z Tappingerem.

— Właśnie stąd wyszedł. Powiedziałem mu wszystko, co wiem o Pedrze Domingo.

— O Pedrze Domingo?

— Tak. Cervantes studiował u mnie pod tym nazwiskiem. To chyba jego prawdziwe nazwisko. Wiem na pewno, że pochodzi z Panamy. O to panu chodziło, prawda?

— O to i jeszcze o parę innych rzeczy. Gdybym mógł się z panem spotkać na chwilę...

Spieszny młody głos na drugim końcu linii przerwał mi ponownie:

— Jestem w tej chwili zupełnie zarżnięty. Wizyta Tappingera dostatecznie mi pokrzyżowała szyki. On zna wszystkie istotne fakty. Jeśli będą panu potrzebne jeszcze jakieś dane, niech pan się ze mną skontaktuje.

— Dobrze, niech tak będzie. Ale jest jedna rzecz, którą pan powinien wiedzieć, profesorze. Pański były student został dziś po południu zastrzelony w Brentwood.

— Pedro zastrzelony?

— Zamordowany. Z czego wynika, że jego tożsamość nie jest już kwestią czysto akademicką. Chyba wskazane by było, żeby pan się skontaktował z kapitanem Perlbergiem z Wydziału Zabójstw.

— Tak, chyba to zrobię — powiedział Bosch powoli i odłożył słuchawkę.

Z kolei połączyłem się ze swoim numerem w Hollywoodzie, żeby sprawdzić, czy nie ma czegoś nowego. Okazało się, że dzwonił Ralph Christman z Waszyngtonu i zostawił wiadomość. Telefonistka odczytała mi ją z kartki:

— Pułkownik Plimsoll zidentyfikował kelnera z wąsikami jako południowo - względnie środkowoamerykańskiego dyplomatę nazwiskiem Domingo, o ile go pamięć nie myli. Czy przeprowadzić wywiad w ambasadach?

Poprosiłem telefonistkę, żeby zadzwoniła w moim imieniu do Christmana i poleciła mu przeprowadzić wywiad, szczególnie w ambasadzie panamskiej. Przeszłość i terażniejszość zaczynały się zbiegać. Zamknięty w ciasnej kabinie telefonicznej, doznałem przez moment uczucia klaustrofobii, jakbym został uwięziony między zwierającymi się ścianami.

25

Nazwiska panińskiego Kitty, Sekjar, nie było w książce telefonicznej. Wobec tego podjechałem do biblioteki publicznej i sprawdziłem w książce adresowej. Figurowała w niej Maria Sekjar, pracownica szpitalna, zamieszkała 137 Juniper Street.

Była to uboga, wąska uliczka, wciśnięta za bocznice kolejowe. Pierwszą osobą, którą na niej zobaczyłem, był młody policjant, Ward Rasmussen, maszerujący mi naprzeciw zakurzoną ścieżką, która pełniła rolę chodnika. Wsiadłem z auta i zawołałem na niego. Na mój widok twarz mu się wydłużyła. Doznaje się czasami takiego uczucia, gdy człowiek wywęszy czyjś trop, by stwierdzić, że ktoś inny był równie sprytny.

— Znalazłem matkę Kitty — powiedział. — Poszedłem do szkoły i odszukałem wychowawczynię Kitty, która ją dobrze pamięta.

— Umie pan sobie radzić.

— Czy ja wiem? — Mimo całego sceptycyzmu było mu przyjemnie. — Natomiast niewiele wskórałem u matki. Może panu powie więcej. Uważa, zdaje się, że Kitty jest zamieszana w coś poważnego. Zresztą już za czasów szkolnych była stale w

tarapatach, jak mi powiedziała wychowawczyni.

— Chłopcy?

— Cóż by innego?

Zmieniłem temat.

— Zdążył pan zajrzeć do banku, Ward?

— Tak jest. Tam mi się lepiej powiodło. — Wyciągnął z kieszeni notes, przerzucił parę kartek. — Pani Fablon rzeczywiście otrzymywała pieniądze z Banku Nowej Granady w Panamie. Przelewy wpływały co miesiąc aż do lutego, potem się urwały.

— Ile dostawała miesięcznie?

— Tysiąc dolarów. Trwało to przez sześć czy siedem lat. W sumie uzbierało się jakieś osiemdziesiąt tysięcy.

— Czy nie ma żadnych danych, z jakiego źródła pochodziły te pieniądze?

— W banku twierdzą, że nie. Pieniądze były przelewane z anonimowego konta, cała operacja odbywała się bez udziału ręki ludzkiej.

— I nagle wszystko się urwało?

— Tak jest. Co pan o tym myśli?

— Nie chciałbym wyciągać pochopnych wniosków.

— To zrozumiałe. Ale to mogą być pieniądze z nielegalnych źródeł. Pamięta pan, mówiliśmy o tym przy śniadaniu?

— Jestem prawie pewien, że to pieniądze z nielegalnych źródeł. Tylko że to rzecz piekielnie trudna do udowodnienia.

— Wiem. Rozmawiałem z kierownikiem działu zagranicznego w banku. Mówi, że banki panamskie są jak banki szwajcarskie. Nie mają obowiązku ujawniania pochodzenia przechowywanych wkładów, co je czyni rajem dla gangsterów. Myśli pan, że można z tym coś zrobić?

Spieszyło mi się do rozmowy z panią Sekjar, więc powiedziałem:

— Zmienić przepisy bankowe. Chce pan poczekać na mnie w aucie?

Wsiadł, a ja ruszyłem pieszo do domu pani Sekjar. Był to mały drewniak, ze smętnymi resztkami łuszczącej się farby, której nie zdążyły otrząsnąć przejeżdżające pociągi. Zapukałem

w zardzewiałe drzwi siatkowe. Po chwili ukazała się za nimi farbowana brunetka. Była postawna i tęga, koło pięćdziesiątki, chociaż nienaturalny kolor włosów dodawał jej parę lat. Przystojna, ale nie tak przystojna jak córka. Tania farba na jej włosach mieniła się w zachodzącym słońcu wszystkimi kolorami tęczy.

– Czego pan chce?

– Porozmawiać z panią.

– O Kitty? Znowu?

– Powiedzmy.

– Nic o niej nie wiem. Powiedziałam to tamtemu i to samo powiem panu. Ręce sobie urabiałam przez całe życie, żeby móc ludziom patrzeć w oczy. – Podniosła do góry brodę. – Nie było mi lekko, o nie, a Kitty nigdy palcem nie kiwnęła, żeby mi pomóc. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

– Mimo wszystko to pani córka.

– Niby córka. – Głos miała ordynarny. – Żeby się jeszcze prowadziła jak córka. Nie mogę odpowiadać za jej sprawki. Jak była mała, rznąłam jej tyłek do krwi, nic nie pomogło. Gziła się jak przedtem, drwiła sobie z nauk Pańskich.

Popatrzyła na mnie przez zardzewiałą siatkę. Jej własne oczy błyszczały buntowniczo.

– Może mnie pani wpuści? Nazywam się Archer, jestem detektywem prywatnym. – Twarz miała wciąż nieustępliwą, więc ciągnąłem śpiesznie dalej: – Nie mam nic przeciwko pani córce, chcę z nią tylko porozmawiać. Liczę, że mi będzie mogła udzielić informacji w związku z pewnym zabójstwem.

– Zabójstwem? – Przeraziło ją to. – Tamten nic nie mówił o nijakim zabójstwie. To jest przyzwoity dom, panie – uniosła się nieobliczalnym, drażliwym honorem ludzi biednych. – Odkąd Kitty poszła z domu, to pierwszy raz, że policjant zapukał do moich drzwi, – Spojrzała trwożnie w jedną i drugą stronę ulicy, czy sąsiedzi jej przypadkiem nie obserwują. – To niech pan już lepiej wejdzie.

Otworzyła z haczyka drzwi siatkowe i wpuściła mnie do małego wyszarzałego saloniku. Jego całe umeblowanie stanowiły dwa krzesła, tapczan, wypłowiały szmaciak na

podłodze i telewizor nastawiony na popołudniowy serial. Nim pani Sekjar go zgasiła, zdążyłem uchwycić morał wyświetlanego odcinka: że życie jest wszędzie ciężkie.

Na telewizorze leżała wielka biblia i stała jedna z owych szklanych kul, w których za potrząśnięciem rozpętuje się burza śnieżna. Ściany były obwieszane taką ilością obrazów o treści religijnej, że można się w tym było domyślać uświadomionego czy nie uświadomionego sposobu obrony przed światem.

Usiadłem na tapczanie, który pachniał lekko, lecz uchwytnie perfumami Kitty. Dziwnie nie pasował ten zapach do otoczenia. Nie była to woń świątobliwości.

— Kitty tu przyszła wczoraj wieczorem — powiedziałem.

Pani Sekjar, stojąc nade mną, przytaknęła głową.

— Przelazła przez płot od torów. Była nieprzytomna ze strachu. Nie mogłam jej wyrzucić.

— Nie mówiła, czego się boi? -

— To jej życie się na niej mści. Jak kto się zadaje z takimi facetami, z łobuziakami, bandziorami... -- Splunęła bez śliny.

— Nie będziemy o tym dyskutowali.

— Ja myślę, że powinniśmy, proszę pani. Czy Kitty pani coś mówiła?

— Niewiele. Tylko płakała. Już myślałam, że odzyskałam córkę. Została na noc. Ale rano była taka sama twarda jak zawsze.

— Nie jest taka znowu twarda.

— Z początku może i nie była. Nawet niczego z niej była dziewczyna, póki jej ojciec mieszkał z nami. Ale potem stary się wpędził w chorobę i ostatnie dwa lata życia przekwękał w Szpitalu Komunalnym. Od tej pory Kitty się zrobiła taka, że bez kija nie przystap. Że niby ja, powiada, jestem winna i wszyscy dorośli, żeśmy go zamkli do Komunalnego. Tak jakbym mogła co insze zrobić. Szesnaście lat miała, jak mi kiedyś skoczyła z pazurami do oczu. Wzięłam i obcięłam jej te pazurska. Jakbym nie była od niej silniejsza, toby mi chyba oczy ze wszystkim wydrapała. Od tego czasu już sobie poradzić z nią nie mogłam. Latała tylko za chłopakami. Próbowалаm po dobroci i nie po dobroci. Wiadomo, co wychodzi z takiego gżenia się. To się zawinęła, żeby mi tylko na złość zrobić, i wyszła za pierwszego

lepszego, który się trafił. – Zamilkła na chwilę, zatopiona w gniewnych wspomnieniach. – Czy to Harry Hendricks, ten zabity?

– Nie, ale Harry jest ranny.

– Słyszałam, mówili w szpitalu. Bo jestem za pomoc pielęgniarzką – wyjaśniła nie bez dumy. – A kto został zabity?

– Kobieta nazwiskiem Marietta Fablon i mężczyzna, który występował pod nazwiskiem Francis Martel.

– Nie słyszałam o takich.

Pokazałam jej fotografię Martela, z Kitty i Leo Spillmanem na pierwszym planie.

– To on! – wybuchnęła. – Ten bandzior, co ją ukradł ślubnemu mężowi. – Dźgnęła palcem głowę Spillmana. – Zatlukabym łobuza za to, co zrobił z moją córką. Wziął i zepchnął ją do rynsztoka. Patrzcie ją, a ta sobie siedzi z założonymi nogami i puszy się jak kotka.

– Zna pani Leona Spillmana?

– On się nie tak nazywa.

– Ketchel?

– Tak. Przywiozła go tu raz do domu, będzie już sześć albo siedem lat. Powiedziała, że byłby skłonny coś dla mnie zrobić. Tacy zawsze chcą coś dla człowieka robić. I ani się obejrzysz, jak cię trzymają za gardło. Tak on trzyma Kitty. A czarował! Że ma mieszkanie w Los Angeles, że mogę się tam wprowadzić, mieszkać na jego koszt, rzucić robotę w szpitalu. To mu powiedziałam, że jego pieniędzy nie potrzebuję, wolę sama na siebie zarobić. Zabrali się i pojechali. Nie widziałam jej aż do wczoraj.

– Nie wie pani, gdzie mieszkają?

– Kiedyś mieszkali w Las Vegas. Z początku Kitty mi przysyłała karki na Gwiazdkę. Gdzie teraz mieszkają, nie wiem. Nie pisała już od paru lat. A jak ją wczoraj spytałam, gdzie mieszka, to nie chciała powiedzieć.

– I nie wie pani, gdzie jej szukać?

– Skąd mam wiedzieć? A jakbym nawet wiedziała, też bym panu nie powiedziała. Miałabym pomagać, żeby pan posłał moją rodzoną córkę za kratki? Niedoczekanie!

— Nie mam zamiaru posyłać jej za kratki. Potrzebuję od niej tylko pewnych...

— Nie zamydli mi pan oczu, panie. Szukają ich za przestępstwa podatkowe, dobrze wiem.

— Kto pani to powiedział?

— Agent federalny. Nie ma dwóch tygodni, jak tu siedział na tym samym miejscu co pan. A jakże, pod włos mnie brał! Że wyświadczę córce przysługę, jak ją namówię do dobrowolnego zgłoszenia się. Że nawet możemy obie dostać procent od odzyskanej sumy, bo oni nie są małżeństwem po prawie. Wygarnęłam mu, że to są judaszowe pieniądze. Ładną bym była matką, żeby roznosić hańbę własnej córki po gazetach. To on mówi, że obowiązek obywatelski. A ja mu na to, że są obowiązki i obowiązki.

— Powiedziała pani o tym Kitty?

— Rano próbowałam. To się zakręciła i poszła. Nigdy nie mogłyśmy się zgodzić. Ale to jeszcze nie powód, żebym ją miała sypać przed urzędem. Powiedziałam to tamtemu i powtarzam panu. Może pan wracać i powiedzieć tym, co pana przysłali, że nie wiem, gdzie jest, a jakbym nawet wiedziała, też bym nie powiedziała.

Zastygła na swoim miejscu, dysząc wyzywająco. Od strony Los Angeles dobiegł gwizd pociągu. Był to długi pociąg towarowy, jechał wolno. Nie wiem, dlaczego przywiódł mi na myśl to, co nazywała urzędem.

Naczynia w kredensie pani Sekjar pobrzękiwały jeszcze od turkotu pociągu, gdy się pożegnałem i wyszedłem. Odwiozłem Warda do domu, w dzielnicy stojącej w hierarchii społecznej zaledwie o szczebel wyżej od uliczki pani Sekjar, i poradziłem mu na pożegnanie, żeby się dobrze wyspał. Następnie pojechałem na lotnisko i kupiłem bilet powrotny do Las Vegas.

Był jeszcze dzień i słońce jak reflektor oświetlało niskim snopem powierzchnię oceanu, gdy samolot wystartował do Las

Vegas. Obrócił się ogonem do słońca i zagłębił w raptowny fioletowy zmierzch.

W Las Vegas wzięłem taksówkę do miasta. Nieliczne gwiazdy na wąskim niebie nad Fremont Street wydawały się blade i zawstydzone w zestawieniu z orgią reklam mieniących się neonowymi barwami. Klub „Skorpion” był jednym z największych kasyn na całej ulicy, piętrowym budynkiem z dwupiętrowym neonem w kształcie skorpiona o drgającym ogonie.

Ludzie przy automatach do gry wewnątrz sprawiali wrażenie owładniętych podobnymi drgawkami. Lewą ręką wrzucali do automatu swoje ćwierćdolarówki i srebrne dolary, a prawą pociągali za dźwignię jak robotnicy w fabryce pieniędzy. Byli wśród nich chłopcy o wilgotnych oczach, tak młodzi, że nie mieli jeszcze co golić, i kobiety w rękawicach ochronnych na dłoni manipulującej dźwignią, niektóre tak słabe i zmęczone, że się opierały o automat, żeby nie upaść. Praca w fabryce pieniędzy to nie przelewki.

Przepchałem się przez przedwieczorny tłum, koło stołów z ruletką i okiem, i wypatrzyłem cerbera nadzorującego stoły gry w kości w tyle wielkiej sali. Facet był ubrany jak karawaniarz i miał latające oczy. Oznajmiłem mu, że chcę się widzieć z kierownikiem.

— Ja jestem kierownikiem.

— Co pan powie?

Strzelił oczami na sufit.

— Jak pan się chce widzieć z panem Davisem, to musi pan mieć diablo dobry powód.

— Powiem jemu.

— Najpierw musi pan powiedzieć mnie.

— Pan Davis mógłby nie być z tego zadowolony.

Zatrzymał wzrok na mojej twarzy. Czuję jego niechęć.

— Jak pan chce się zobaczyć z panem Davisem, musi pan powiedzieć mnie, w jakiej sprawie.

Podąłem mu nazwisko i zawód, powiedziałem, że prowadzę śledztwo w sprawie dwóch zabójstw. Jego twarz nie zmieniła wyrazu.

- I uważa pan, że pan Davis może panu pomóc?
- Chciałbym go o to zapytać.
- Niech pan tu poczeka.

Zniknął za zasłoną w głębi. Słyszałem, jak wchodzi po schodach. Stałem koło jednego ze stołów i przyglądałem się dziewczynie w sukni z głębokim dekoltem z tyłu, która rzucała kości zamiatając biustem po blacie. To była w fabryce pieniędzy praca twórcza: kości można było obracać w palcach, przemawiać do nich.

- Naciągnijcie mi, naciągnijcie – zaklinała.

Była to przyjemna dziewczyna o kulturalnym głosie, przypominała Ginny. Mężczyzna, który stał obok i pod-tykał jej pieniądze, miał kręcone czarne baki i strój kowboja, z butami na wysokich obcasach włącznie. Od czasu do czasu, gdy dziewczyna wygrała, wydawał kiepską imitację kowbojskiego uu-up. Jego dłoń sunęła coraz niżej po jej plecach.

Cerber zszedł z powrotem na dół i rozchylił zasłonę, żeby mi dać kciukiem znak. Wszedłem za draperię. Sterczał tu drugi fagas, który mnie obmacał w poszukiwaniu sploty. Miał mikroskopijną główkę, karykaturalną w połączeniu z byczym karkiem i rozłożystymi barami.

- Może pan wejść.

Ruszył za mną. U szczytu schodów czekał pan Davis, uśmiechnięty mężczyzna o falującej siwej czuprynie i plastycznej twarzy polityka. Miał na sobie szary garnitur w prążki, ze skośnymi kieszeniami i zakładkami na plecach, dla swobody ruchów. Wszystko jednak wskazywało, że od dawna nie może się uskarżać na nadmiar ruchu. Nawet nienagannie skrojona marynarka nie była w stanie zatuszować wielkiej miękkiej wypukłości jego brzucha.

- Pan Archer?
- Pan Davis?

Nie podał mi ręki, co mi bardzo odpowiadało. Nie lubię podawać ręki mężczyznom, którzy noszą pierścionki z drogocennymi kamieniami.

- Czym mogę panu służyć?
- Kilkomina minutami rozmowny. Przypuszczam, że możemy

sobie nawzajem oddać pewne usługi.

Zlustrował sceptycznie moje stare konfekcyjne ubranie, buty, które się prosiły o szczotkę.

— Bardzo wątpię. Wspomniał pan na dole o jakichś zabójstwach. Czy to ktoś, kogo znam?

— Przypuszczam. Francis Martel.

Nie zareagował. Pokazałem mu fotografię. Teraz zareagował. Wyrwał mi zdjęcie, wepchnął mnie do gabinetu i zamknął drzwi.

— Skąd pan to ma?

— Wygrzebałem w Monteviscie.

— Leo tam był?

— Nie ostatnio. To nie jest nowe zdjęcie.

Zaniósł je na biurko, żeby obejrzeć dokładnie przy świetle.

— Tak, rzeczywiście nienowe. Leo już dawno nie wygląda tak młodo. Zresztą Kitty też. — Zdawało mu się to sprawiać przyjemność, jakby w jakiś sposób odmładzało go. — Kim jest ten facet z tacą?

— Miałem nadzieję, że pan mi powie.

Podniósł na mnie wzrok

— Chyba nie Cervantes?

— Owszem, Feliz Cervantes alias Francis Martel. — Alias Pedro Domingo, dodałem w myśli. — Został dziś zastrzelony na Sabado Avenue w Brentwood.

Oczy Davisa straciły wszelki wyraz. Zauważyłem to już przedtem. Pojawiała się w nich na moment iskierka ożywienia, zainteresowania, nawet złośliwości, po czym wszelkie życie z nich uciekło.

— Powie mi pan, co właściwie zaszło? — zapytał.

— Jeśli pan chce. — Zdałem mu pokrótce sprawę z zabójstwa Martela i wypadków, które je poprzedziły. — Resztę przeczyta pan w porannej prasie.

— Rozumiem, że zabójca zabrał te pieniądze?

— Wszystko na to wskazuje. Czyje to były pieniądze?

— Skąd ja mogę wiedzieć — odparł z nagłą rezerwą.

Wstał i oddalił się na drugi koniec długiego gabinetu, zapatrzony w fotogramy pustyni, które pokrywały całe ściany.

Dywan, również koloru pustyni, tłumił jego kroki. W ruchach miał coś kobiecego, a zarazem złowróźbnego, jakby jego wielki brzuch był brzemienny śmiercią.

— Czy to nie były przypadkiem pańskie pieniądze, panie Davis?

Obrócił się i otworzył usta, jakby chciał krzyknąć, ale nie wydał dźwięku. Bezszelestnie ruszył w moją stronę i boczkiem, drobnymi tanecznymi kroczkami obszedł biurko w kształcie podkowy.

— Nie – sapnął mi w twarz – to nie były moje pieniądze. Nie mam także nic wspólnego z zabójstwem Cervantesa. — Uśmiechnął się i szturchnął mnie, jakby mi chciał opowiedzieć kawał, ale w jego uśmiechu nie było cienia wesołości. — Prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego pan do mnie z tym przyszedł.

— Czyż nie jest pan współnikiem Spillmana?

— Ja?

— A Cervantes był jego chłopcem na posyłki.

— Jak to chłopcem na posyłki?

Davis szturchnął mnie ponownie. Zakładki jego marynarki rozchyliły się i zwały przy tym ruchu. Było w tym coś nieprzyzwoitego.

— Liczyłem, że pan mi to wyjaśni.

— To źle pan liczył. Widziałem Cervantesa raz w życiu, dokładnie w zeszłym roku, kiedy tu przyjechał z Leonem. Nie wiem, jakie interesy ich łączyły. W każdym razie ja w nich nie brałem udziału. Jestem uczciwym przedsiębiorcą, prowadzę legalny interes i Leo nie jest moim współnikiem. Nie znajdzie pan żadnego dowodu, że ma jakieś udziały w tym kasynie. Jeśli o mnie chodzi, to nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Była to śmiała wypowiedź, a Davis nie robił na mnie wrażenia człowieka odważnego. Nasunęło mi to przypuszczenie, że Leo Spillman też może nie żyje.

— Gdzie mogę znaleźć Spillmana?

— Nie wiem.

— Posyła mu pan pieniądze.

— To on powinien mnie przysłać pieniądze.

— Z jakiej racji?

— Zadaje pan za dużo pytań. Niech pan sobie lepiej idzie, bo się w końcu zdenerwuję.

— Jeszcze trochę zostanę. Chciałbym rozwikłać sprawę pewnego podatku dochodowego. Nie swojego. Spillmana. A może i pańskiego.

Davis oparł się z westchnieniem o ścianę.

— Czemu pan od razu nie powiedział, że pan jest inspektorem podatkowym?

— Nie jestem.

— Wobec tego pan się podszywa.

— A to dlaczego? Czy trzeba zaraz pracować w Urzędzie Skarbowym, żeby się interesować podatkami?

— I owszem, trzeba, jeśli pan chce ze mną mówić o podatkach. Nie pozwolę się nikomu wpraszać do mojego gabinetu i udawać agenta federalnego.

Dobrze wiedział, że tego nie zrobiłem, ale potrzebowałem pretekstu do wyładowania gniewu. Widać nie miał w sobie żadnego punktu oparcia, który by mu pozwolił zachować spokój. Znałem wielu podobnych figurantów w Las Vegas i Reno – bywalców barowych, którzy stopniowo tracili cały entuzjazm, usłużnych nadszkarciwaczy, którzy za późno pojmowali, że się oddali w pakt śmierci.

— Władze federalne szukają Spillmana – powiedziałem. – Chyba pan o tym wie?

— Chyba wiem.

— Czemu nie mogą go znaleźć? Nie żyje?

— Niczego bym sobie bardziej nie życzył – prychnął.

— Czy to pan kazał sprzątać Cervantesa?

— Ja? Ja jestem uczciwym przedsiębiorcą.

— Już mi pan to mówił. To nie jest odpowiedź.

— Na takie pytania nie ma odpowiedzi.

— Spróbuję sformułować lepsze. Pytanie hipotetyczne z rodzaju tych, które się zadaje biegłym w sądzie.

— Ja nie jestem biegłym, a to nie jest sąd.

— Na wypadek, gdyby pan się tam kiedyś znalazł, to będzie dla pana świetna zaprawa. — Nie zareagował na szpileczkę, co prawdopodobnie znaczyło, że ma poważniejsze kłopoty. — Ile

lewych dolarów Spillman odprowadzał z pańskiej kasy?

— Nie wiem, o czym pan mówi — odpowiedział bez zająknięcia.

— Oczywiście, nie wie pan. Jest pan na to zbyt uczciwym przedsiębiorcą.

— Niech pan uważa — ostrzegł. — Nie pozwolę sobie jeździć bezkarnie po głowie.

— Spillman zawierał polubowne układy z ludźmi, którzy przegrali większe sumy. Czy Cervantesa używał do egzekwowania należności i melinowania pieniędzy?

Davis zmierzył mnie uważnym spojrzeniem. Czy miał martwe, ale niespokojne.

— Zadaje pan pytania, które są same odpowiedzią. Nie potrzebuje pan mnie.

— Owszem, potrzebujemy się nawzajem. Ja chcę odnaleźć Leona Spillmana, a pan chce odzyskać pieniądze, które panu sprzątnął sprzed nosa.

— Jeśli pan myśli o pieniądzach zrabowanych w Los Angeles, to trzeba je spisać na straty. Są nie do odzyskania. Zresztą to śmieszna suma. Przez naszą kasę przechodzi więcej w najmniejszym dniu martwego sezonu.

— Więc nie ma pan żadnych kłopotów?

— Jeśli mam, to nie takie, w których pan mi może pomóc.

Rozpoczął ponowny spacer z jednego końca pokoju w drugi. Stąpał ostrożnie, skradając się trochę po kobiecemu, jakby gabinet koloru pustyni był naprawdę pustynią i pod dywanem gnieździły się grzechotniki.

— Jeśli pan odszuka Leona — dorzucił — to niech mi pan da znać. Gotów jestem zapłacić za tę informację. Powiedzmy pięć tysięcy, pod warunkiem wyłączności.

— Nie miałem zamiaru się wynajmować w charakterze kapusia.

— Nie miał pan? — Jeszcze raz zlustrował mój garnitur. — W każdym razie oferta stoi, kolego.

Otworzył przede mną drzwi. Fagas z szerokimi barami i wąską główką czekał, żeby mnie sprowadzić na dół. Dziewczyna przypominająca Ginny grała w kości przy innym stole na koszt

innego mężczyzny. Wszystko, co się działo w Las Vegas, było jakby powtórzeniem rzeczy, które się już kiedyś zdarzyły.

Złapałem ostatni samolot do Los Angeles i noc spędziłem we własnym łóżku.

27

Rano obudziła mnie sójka mieszkająca w sąsiedztwie. Siedziała na wysokiej gałęzi przed oknem mego mieszkania na piętrze i darła się wniebogłosy o słone orzeszki.

Zajrzałem do szafki kuchennej: orzeszków nie było. Rozsypałem na parapecie za oknem garść płatków kukurydzianych, które już dawno straciły całą kruchość. Sójka nie raczyła nawet sfrunąć z gałęzi. Przekrzywiła ironicznie główkę przyglądając się ostatniemu z filantropów. Potem rzuciła się lotem nurkowym w dół i odfrunęła.

Mleko w lodówce było skwaśniałe. Ogoliłem się, włożyłem czystą bieliznę i drugi garnitur i poszedłem na śniadanie. Jedząc jaja na boczku przejrzałem poranną gazetę. Zabójstwo Martela, które się doczekało omówienia na drugiej stronie, zostało naświetlone jako porachunki gangsterskie. Zabójstwo Marietty Fablon było zagrzebane daleko w wiadomościach z Południa. Gazeta nie dopatrzyła się związku między tymi dwoma zdarzeniami.

Jadąc do swojego biura na Bulwarze Zachodzącego Słońca obrałem długą drogę przez miasto, żeby zawadzić o gmach Sprawiedliwości. Kapitan Perlberg miał już wstępne dane z laboratorium kryminalistycznego. Pocisk wydobyty przez doktora Willsa z piersi Marietty Fablon (ostał prawie na pewno wystrzelony z tej samej broni co pocisk, od którego zginął Martel. Nie odnaleziono ani narzędzia zbrodni, prawdopodobnie starego wojskowego rewolweru kalibru 38, ani tym bardziej zbrodniarza.

— Ma pan jakąś hipotezę? — zapytał Perlberg.

— Mam pewną informację. Martel był na usługach właściciela kasyna w Las Vegas, niejakiego Leona Spillmana.

— Jakie usługi mu wyświadczał?

— Przypuszczam, że był kurierem Spillmana. Ostatnio zaczął robić interesy na własną rękę.

Perlberg posłał mi melancholijne spojrzenie. Zapalił papierosa, dmuchnął na mnie dymem przez zagracone biurko. W jego zachowaniu nie było nic wrogiego ani agresywnego, chociaż czuło się emanującą od niego siłę.

— Czemu mi pan nie powiedział tego wczoraj, Archer?

— Poleciałem wieczorem do Las Vegas, żeby się dowiedzieć czegoś bliższego. Nie otrzymałem zadowalających odpowiedzi, ale wszystko wskazuje na to, że Martel pomagał Spillmanowi w melinowaniu lewych dochodów. Po czym przestał mu pomagać, zaczął pracować na własny rachunek.

— I Spillman go zastrzelił?

— Raczej kazał zastrzelić.

Perlberg zaciągał się raz po raz, napełniając ciasny gabinet dymem, jakby wyziewy papierosowa były żywiołem, w którym jego umysł najlepiej pracuje.

— Jaką rolę przypisuje pan w tym wszystkim pani Fablon?

— Nie wiem. Skłaniam się ku hipotezie, że Spillman zamordował jej męża i pani Fablon o tym wiedziała.

— Zdaniem policji w Monteviscie jej mąż popełnił samobójstwo.

— Wszyscy mi to powtarzają, ale nie ma na to niezbitych dowodów. Co byłoby, gdybyśmy przypuścili, że nie popełnił?

— Mielibyśmy trzy nie rozwiązane zabójstwa zamiast dwóch. Potrzebne mi to jak dziura w moście. — Perlberg rozgniół gniewnie niedopałek w popielniczce. Był to jedyny gest zniecierpliwienia, na jaki sobie pozwolił. — Ale dziękuję za informację i hipotezy. Może się na coś przydadzą.

— Spodziewałem się w zamian pomocy w pewnej sprawie — powiedziałem.

— Chętnie, o ile to nie pociągnie za sobą kosztów. Podatnicy patrzą nam na rękę.

— Usiłuję odnaleźć Leona Spillmana...

— Spokojna głowa. Zabiorę się do tego natychmiast po pańskim wyjściu.

Było to delikatne wyproszenie. Zatrzymałem się w drzwiach.

— Zawiadomi mnie pan, jak go pan odnajdzie? Dałbym dużo za możliwość porozmawiania z nim.

Perlberg odparł, że zawiadomi.

Długo jechałem przez miasto do biura. W skrzynce znalazłem plik korespondencji, ale nic, co by wyglądało obiecująco. Rzuciłem wszystko na biurko w gabinecie. Warstwa kurzu, która się zebrała na blacie, przypomniała mi, że nie byłem w biurze od piątku. Starłem kurz bibułką kosmetyczną, po czym nakręciłem numer przyjmujący dla mnie zlecenia

— Szuka pana jakiś doktor Sylvester — poinformowała dyżurna telefonistka.

— Nie zostawił numeru?

— Nie. Powiedział, że musi odwiedzić paru pacjentów w szpitalu. Będzie po pierwszej u siebie w klinice.

— Nie wie pani, czego chce?

— Nie powiedział, ale odniosłam wrażenie, że to coś ważnego. Poza tym wczoraj wieczorem dzwonił niejaki profesor Tappinger i zostawił numer.

Był to numer domowy Tappingerów. Odebrała telefon Bess.

— Mówi Lew Archer.

— To cudownie — powiedziała głosem nieletniej, za której uwiedzenie można odpowiadać przed sądem. — I jaki zbieg okoliczności. Właśnie o panu myślałam.

Nie zainteresowałem się, co o mnie myślała. Wolałem nie wiedzieć.

— Mąż w domu? — zapytałem.

— Tapcio uczy całe przedpołudnie. Może pan wpadnie na kawę? Parzę świetną kawę.

— Dziękuję, ale nie dzwonię z Montevisty.

— O-o! A skąd pan dzwoni?

— Z Hollywoodu.

— To tylko pięćdziesiąt mil. Zdąży pan przyjechać, nim Tapcio wróci na lunch. Chcę z panem porozmawiać, Lew.

— O czym?

— O nas. O wszystkim, Nie spałam prawie całą noc. Rozmyślałam o zmianach w moim życiu. Pan jest częścią tych

zmian, Lew, mówię poważnie.

— Niestety, proszę pani — odparłem. — Mam ważną sprawę do załatwienia. A w ogóle udzielanie porad sfrustrowanym żonom to nie moja specjalność.

— Nie podobam się panu?

— Oczywiście, że pani mi się podoba.

Byłem ostatnim z filantropów, nie mogłem jej tego odmówić.

— Wiedziała, że się panu podobam. Czułam to. Kiedy miałam szesnaście lat, poszłam sobie powróżyć u Cyganki. Powiedziała mi, że w ciągu roku zajdzie w moim życiu wielka zmiana, poznam przystojnego inteligentnego mężczyznę i wyjdę za niego. Sprawdziło się. Wyszłam za Tapcia. Ale powiedziała również, że druga zmiana w moim życiu nastąpi, kiedy skończę trzydzieści lat. Czuję, że to obecnie nadchodzi. To prawie takie uczucie, jakbym była znowu w ciąży. Mówię poważnie. Myślałam, że moje życie już się skończyło...

— Wszystko to bardzo interesujące — przerwałem — ale pomówimy o tym innym razem.

— To nie może czekać.

— Będzie musiało.

— Powiedział pan, że się panu podobam.

— Podoba mi się wiele kobiet.

Była to grubiańska uwaga.

— Mnie się podoba niewielu mężczyzn. Pan jest pierwszym, odkąd...

Urwała nie dokończywszy zdania. Nie zachęciłem jej do kontynuowania zwierzeń. Nie odezwałem się słowem. Wybuchnęła płaczem i rzuciła słuchawkę.

Bess ma zbyt bujną wyobraźnię albo się wychowała na buduarowych romansach, powiedziałem sobie. Cierpi na gorączkę wiosenną, frustrację żon profesorskich lub pierwsze objawy wieku przejściowego, niewczesne jak mróz na święto czwartego lipca. Nie ulegało wątpliwości, że przeżywa kryzys emocjonalny, a pewien mądry człowiek w Chicago powiedział mi kiedyś: „Nigdy nie idź do łóżka z kobietą, która ma gorsze problemy niż ty”.

Mimo to niełatwo ją było wyrzucić z pamięci. Gdy wy-

prowadziłem samochód z parkingu i wyjechałem na południe autostradą do San Diego, nie mogłem się oprzeć uczuciu, że jadę na spotkanie z nią, chociaż naprawdę jechałem na spotkanie z jej mężem.

Punkt o dwunastej czekałem przed jego gabinetem w budynku humanistyki. Minutę po wybiciu godziny ukazał się w perspektywie korytarza.

– Można według pana regulować zegarek – powiedziałem.

– Niech pan nie mówi takich rzeczy, bo i tak się czuję jak robot. Wszystko się we mnie buntuje przeciwko temu wiecznemu życiu z zegarkiem w ręku. – Przekreślił klucz w zamku, otworzył drzwi na rozcież. – Proszę.

– Podobno dowiedział się pan czegoś nowego o Cervantesie?

Odpowiedział dopiero, gdy usiedliśmy naprzeciwko siebie oddzieleni biurkiem.

– Rzeczywiście. Wczoraj po rozstaniu się z panem zdecydowałem, że mogę raz machnąć ręką na plan. Odwołałem popołudniowe zajęcia i wypuściłem się z pańską fotografią do Los Angeles. – Poklepał się po kieszeni na piersi. – Ustaliłem, że Cervantes nazywał się naprawdę Pedro Domingo. Pod takim nazwiskiem studiował w tamtejszym college'u i profesor Bosch jest przekonany, że to jego prawdziwe nazwisko.

– Wiem, rozmawiałem wczoraj z Boschem.

Na twarzy Tappingera odmalowało się niezadowolenie, jakbym tą rozmową naraził na szwank jego prestiż.

– Allan nic mi nie mówił.

– Zadzwoń tuż po pana wyjściu. Był zajęty, nie miał czasu ze mną rozmawiać. Ale powiedział mi jeszcze jedno: że Domingo pochodzi z Panamy.

Tappinger kiwnął głową.

– To była główna przyczyna jego kłopotów. Zszedł nielegalnie ze statku, nie miał prawa pobytu w Stanach. Dlatego zmienił nazwisko przenosząc się do Montevisty. Urzędnicy imigracyjni deptali mu po piętach.

– Gdzie, kiedy zszedł ze statku?

– Jakoś w 1956 według Allana. Miał wówczas dwadzieścia

lat. Zszedł na ląd w San Pedro, może uważał, że to będzie dla niego szczęśliwe miejsce. Właściwie prosto ze statku poszedł na uczelnię. Nie wiem, w jaki sposób załatwił sobie przyjęcie, dość że uczęszczał przez rok do college'u stanowego w Long Beach, po czym się przeniósł do Los Angeles. Tu studiował przez dwa lata, tak że Allan Bosch miał okazję poznać go dość dobrze. Wywarł na Allanie bardzo podobne wrażenie jak na mnie: młodego człowieka z poważnymi obciążeniami.

— Jakimi obciążeniami?

— Społecznymi, kulturalnymi. Historycznymi. Allan scharakteryzował go jako rodzaj tropikalnego Hamleta, borykającego się z problemami współczesnego świata. Nawiasem mówiąc, to określenie da się zastosować do większości kultur środkowo- i południowoamerykańskich. Obciążenia Dominga nie były jego prywatną własnością, lecz symptomem miejsca i czasu. Ale faktem jest, że się rwał do miasta świetlistego.

Tappinger był bliski rozpoczęcia jednego ze swoich wykładów.

— Do czego? — zapytałem.

— Do miasta świetlistego. To wyrażenie, którym się posługuję na określenie świata ducha i intelektu, sumy dorobku wielkich umysłów przeszłości i terażniejszości. — Postukał się w skroń, jakby przypisywał sobie przynależność do tej grupy. — Obejmuje wszystko, od Platońskich idei i *Cimtas Dei* świętego Augustyna do epifanii Joyce'a.

— Trochę wolniej, jeśli łaska, panie profesorze.

— Przepraszam, wpadam w żargon akademicki. — Wydawał się zbity z tropu moją interwencją. — Prawdę mówiąc, dylemat Pedra można ująć całkiem prosto. Był biednym Panamczykiem, obciążonym wszystkimi problemami, frustracjami i nadziejami swego kraju. Urodził się w slumsach Santa Any, jego matka była panienką do towarzystwa w lokalach Panama City, sam Pedro prawdopodobnie nieślubnym dzieckiem. Ale miał zbyt wielkie aspiracje, żeby się pogodzić ze swoją pozycją i nie próbować do czegoś dojść. Nietrudno mi sobie wyobrazić, co musiał czuć. Wprawdzie nie jestem sam bękartem, ale

musiałem się wywindować o własnych siłach ze slumsów Chicago i nieraz zaznałem głodu w czasie wielkiego kryzysu. Prawdę mówiąc, nigdy bym się nie przebił przez uniwersytet, gdyby nie powojenna karta kombatanta. Więc sam pan widzi, mam dużo zrozumienia dla Pedra Dominga. Chyba nie ukarzą go zbyt surowo, jak go złapią?

— Nie złapią.

Zauważył nieodwołalność w tonie,, którym wypowiedziałem to stwierdzenie. Z namysłem, poszukał moich oczu. Sam miał oczy wrażliwe, trochę może kobiece. Były pewnie kiedyś ładne, nim od zbytniego wysiłku przekrzywiły mu się białka.

— Coś mu się stało? — zapytał..

— Nie żyje. Zastrzelił go wczoraj jakiś oprych. Czy pan nie czyta gazet?

— Muszę wyznać, że bardzo rzadko biorę je do ręki. Ale to okropna wiadomość. — Zrobił pauzę i jego delikatne usta wykrzywił grymas. — Domyśla się pan, kto go mógł zabić?

— Pierwszym podejrzanym jest szuler nazwiskiem Leo Spillman. To ten drugi mężczyzna na zdjęciu, które panu dałem.

Tappinger wyjął z kieszeni fotografię i przyjrzał jej się uważnie.

— Wygląda na niebezpiecznego typu.

— Domingo też był niebezpieczny. Ginny miała szczęście, że wyszła z życiem.

— Pannie Fablon mc się nie stało?

— Nic, jeśli nie liczyć przeżytego wstrząsu. Wyobraża pan sobie, jak się musi czuć straciwszy dzień po dniu matkę i męża.

— Biedne dziecko. Chętnie bym ją odwiedził i spróbował pocieszyć, jeśli potrafię.

— Niech pan się przedtem porozumie z doktorem Sylwestrem. Jest pod jego opieką. Właśnie jadę na spotkanie z nim.

Podniosłem się do odejścia. Tappinger wyszedł z za biurka.

— Żałuję, że nie mogę pana dzisiaj zaprosić na lunch — powiedział z agresywną dobitnością. — Za mało na to czasu.

— Ja też nie mam czasu. Proszę się ode mnie kłaniać żonie.

— Na pewno się ucieszy. Jest wielką pańską wielbicieleką.

— To dlatego, że mnie mało zna.

Moje wysiłki, żeby zbyć sprawę żartem, nie na wiele się zdały. Tappinger, znacznie ode mnie niższy, podniósł na mnie wzrok pełen napięcia i niepokoju.

— Martwię się o Bess. Jest taką niepoprawną romantyczką, ze skłonnościami do bowaryzmu. Nie wydaje mi się, żeby pańskie towarzystwo było dla niej wskazane.

— Mnie także.

— Niech pan się nie gniewa, ale może lepiej by było, żeby pan się z nią więcej nie widywał.

— Nie miałem zamiaru.

Na twarzy Tappingera odmalowała się wyraźna ulga.

28

W drodze powrotnej do miasta zatrzymałem się na stacji benzynowej, przy której była budka telefoniczna, i zadzwoniłem do Waszyngtonu. Christman był jeszcze na lunchu, ale telefonistka przełączyła rozmowę do restauracji, w której się stołowałem, i w końcu usłyszałem jego głos w słuchawce.

— Tu Christman. Nie można cię zupełnie złapać, Lew. Nigdy cię nie ma w biurze.

— Tak, nie było mnie przez ostatnie dni. Dowiedziałeś się czegoś więcej o naszym przyjacielu?

— Trochę. Był do niedawna drugim sekretarzem ambasady panamskiej. Jest bardzo młody na to stanowisko, ale podobno ma bardzo wysokie kwalifikacje, doktorat z Sorbony czy coś w tym rodzaju. Zanim go przeniesiono do Waszyngtonu, był trzecim sekretarzem w Paryżu.

— Dlaczego odszedł ze służby dyplomatycznej?

— Nie wiem. Urzędnik, z którym rozmawiałem, powiedział, że się zwolnił przed paroma miesiącami z powodów osobistych. Nie wyjaśnił, jakie to powody, ale nie odniosłem wrażenia, żeby Domingo popadł w niełaskę. Mam niuchać dalej?

— To już bezcelowe – powiedziałem. — Możesz zawiadomić

swojego informatora w ambasadzie, że ich były pracownik dostał wczoraj w Los Angeles kulkę w brzuch.

— Trup?

— Zimny. Zechcą się pewno zająć zwłokami, jak tylko policja będzie skłonna je wydać. Sprawę prowadzi kapitan Perlberg.

Spóźniłem się parę minut na spotkanie z Sylvestrem, ale on się spóźnił jeszcze bardziej. Zjawił się w klinice koło wpół do drugiej, ze zgnębioną miną, i wprowadził mnie prosto do swego gabinetu.

— Przepraszam, że panu kazałem czekać. Uważałem za wskazane zajrzeć do Ginny.

— Jak się czuje?

— Myślę, że się otrząśnie. Oczywiście jest załamana po przeżytych szoku, ponadto aplikują jej dość silne dawki środków uspokajających. Ale się pogodziła z faktem śmierci zarówno matki, jak męża. Zdaje się zrozumiała, że to nie koniec świata.

— Mimo to uważam, że nie powinno jej się zostawiać samej.

— Nie jest sama. Jamiesonowie odstąpili jej domek gościnny w ogrodzie. Karmi ją, Peter jej usługuje. O ile wiem, nie miał nigdy żadnych innych aspiracji. Wszystko może się jeszcze skończyć happy endem.

— Małżeństwem z Peterem?

— Wcale bym się nie dziwił. Wie pan – dodał z krzywym uśmiechem, w którym nie było zbyt wiele wesołości – dla mnie szczęśliwym małżeństwem jest każde, które się nie rozlatuje.

— Właśnie, jak się trzyma pańskie małżeństwo?

— Dziękuję, jakoś przebijujemy. Zarówno Audrey, jak ja mamy sobie dużo do wybaczenia. Ale nie zaprosiłem pana tutaj, żeby zasięgać porad małżeńskich. Mam dla pana pewną informację. – Wyjął z szuflady biurka żółtą kartonową teczkę.

— Poszukuje pan nadal Leona Spillmana?

— Nie tylko ja. Policja także.

— A gdybym panu powiedział, gdzie i jak go znaleźć? Mógłbym liczyć na pewną dozę pobłażliwości z pańskiej strony?

— Musiałby pan dokładnie sprecyzować, o co panu chodzi.

Zagryzł zębami kciuk, zlustrował ślad, który na nim pozostał.

— Wczoraj straciłem trochę głowę. Prawdę mówiąc, byłem bliski paniki. Faktem jest, że wie pan o mnie więcej niż ktokolwiek w Montevíście. Wypadki przybrały teraz taki obrót, że wszystko, co się wiąże z tą sprawą, zostanie prawdopodobnie roztrąbione w prasie. Chcę pana prosić o jedno: żeby pan zachował odrobinę godziwej dyskrecji co do mojej roli w tym wszystkim. Mam bardzo wiele do stracenia.

— Konkretnie. Co pan chce zachować w tajemnicy?

— N-no, szczegóły moich kontaktów ze Spillmanem. Może udałoby się to sprowadzić do stosunku lekarza z pacjentem? Tak w gruncie rzeczy było.

— Powiedzmy, że tak się skończyło. Dobrze, zatrzymam resztę dla siebie, jeśli to będzie możliwe.

— Następnie to o... Audrey i Fablonie. Czy to musi wyjść na światło dzienne?

— Nie widzę powodu, dlaczego by miało wyjść. Jeszcze coś?

— Nie chciałym przeciągać struny — odparł obserwując uważnie moje reakcje. — Jeszcze tylko te pieniądze, które Marietta próbowała ode mnie pożyczyć. Nie moglibyśmy tego zachować między sobą?

— Wątpię. Wie o tym również pani Strome w klubie.

— Już z nią rozmawiałem. Zachowa wiadomość dla siebie.

— Ja nie mogę tego obiecać.

Spojrzenie Sylvestra stwardniało i uciekło w dół.

— Dlaczego pan się nagle przed tym wzbrania? Przecież to najmniej kłopotliwa z tych trzech rzeczy.

— Tak, zakładając, że Marietta nie próbowała pana szantażować.

— Czym? Historią Spillmana z Fablonem? To zostało chyba dawno wyjaśnione?

— Mnie to wyjaśnienie nie zadowala.

— Nie może pan oskarżać Marietty o szantaż. Chodziło o przyjacielską pożyczkę. Oczywiście miałem nadzieję, że nie będzie rozpowiadać o Spillmanie ani o przygodzie Audrey z jej mężem.

— Oczywiście. Czy zależy panu na przemilczeniu jeszcze czegoś?

— Przez pana?

— Nie tylko. Zastanawia mnie na przykład, dlaczego Ginny zgodziła się u pana pracować. Podobno była przez parę lat recepcjonistką?

— Tak jest. W sierpniu minie dwa lata, jak odeszła. Wróciła na studia.

— Dlaczego je w ogóle przerwała?

— Nadwerżyła sobie zdrowie zbyt forsownym wkuwaniem.

— Czy to pańskie zdanie?

— Przede wszystkim Marietty, ale ja je potwierdziłem. Potrzebna jej była odmiana.

— Nie przysłała przypadkiem pracować u pana dla jakichś względów ubocznych?

— Nie była moją kochanką, jeśli o to panu chodzi — powiedział chrapliwym głosem. — Mogę mieć różne świństwa na sumieniu, ale nie splamiłem się uwodzeniem młodych dziewcząt.

Wbił wzrok w swoje oprawne dyplomy na ścianie. W jego oczach malowało się lekkie zdziwienie, jakby nie mógł sobie przypomnieć, skąd się tam wzięły. Wyraz jego twarzy zaczął się robić nieprzytomny, jakby odbiegał myślą coraz dalej i dalej, po stromiźnie minionych lat do zarania swego życia. Przywołałem go z powrotem do teraźniejszości.

— Miał mi pan powiedzieć, jak odnaleźć Spillmana.

— Tak, miałem.

— Gdyby pan mi podał tę informację wczoraj, oszczędziłby mi pan wiele zachodu, a może ocalił życie ludzkie.

— Nie miałem jej wczoraj. To znaczy, nie wiedziałem, że mam. Natknąłem się na nią dziś rano, przeglądając historię choroby Spillmana. — Otworzył kartonową teczkę na biurku. — Mniej więcej trzy miesiące temu, 20 lutego, zwrócił się do nas o historię jego choroby niejaki doktor Charles Parks z Santa Teresa. Nie wiedziałem o tej prośbie, w teczce jest adnotacja mojej sekretarki, pani Loftin, która nie uważała za stosowne mnie o tym poinformować. Dopiero dziś rano wpadła mi w

ręce jej notatka.

— Czego pan szukał w teczce Spillmana?

— Chciałem sprawdzić, jak poważnie był chory. Był, bardzo poważnie. Widać jest nadal. Natychmiast po odkryciu notatki zadzwoniłem do doktora Parksa. Nie było go jeszcze, ale jego sekretarka potwierdziła, że ma pacjenta nazwiskiem Ketchel. Spillman mieszka pod tym nazwiskiem w Santa Teresa.

— Dowiedział się pan adresu?

— Tak. 1427 Padre Ridge Road.

Podziękowałem mu.

— Niech pan nie dziękuje. Zawarliśmy dżentelmeńską umowę. Mam nadzieję, że pan jej dotrzyma. I jeszcze jeden istotny szczegół. Niech pan nie mówi Spillmanowi, że to ja pana napuściłem.

Bał go się ciągle. Strach zasyczał w jego głosie jak ulatujący gaz i pozostał w mojej pamięci jak fetor. W drodze na północ, do Santa Teresa, wstąpiłem do swojego mieszkania po pistolet.

29

Miasto Santa Teresa zostało wybudowane na zboczach wznoszących się od oceanu grzbietami coraz wyższych wzgórz aż do nadbrzeżnego pasma górskiego. Padre Ridge to najniższe z tych wzgórz i jedyne w obrębie właściwego miasta. Jest to dosyć kosztowne miejsce do zamieszkania, tradycyjna dzielnica dobrze utrzymanych starszych domów, z których wiele może się pochwalić wspaniałymi ogrodami wiszącymi.

Posesja pod numerem 1427, jedyna w całym sąsiedztwie, robiła zaniedbane wrażenie. Żywopłot z ligustrów był nie podcięty, na stromym trawniku pleniły się bujnie chwasty. Nawet dom z różowymi tynkami i czerwoną dachówką wyglądał na nie zamieszkaną. W oknach od frontu były zaciągnięte zasłony. Jediną żywą istotą wydawał się zadowolony strzyżyk, głośno protestujący, gdy się zbliżałem do werandy.

Uniosłem kołatkę w kształcie lwiej głowy i zastukałem w

drzwi, nie bardzo oczekując odpowiedzi. Ale po chwili dały się słyszeć z głębi domu ciche kroki. Drzwi uchylły się nieznacznie i w wąskiej szparze ukazała się muskularna kobieta nie pierwszej młodości, w mokrym niebieskim bawełnianym kostiumie kąpielowym.

— Nazywam się Archer. Czy jest pani Ketchel?

— Zobaczę.

Zawróciła w głąb domu pozostawiając na kafelkach, w miejscu, gdzie stała bosymi stopami, niewielką kałużę wody. Otworzyłem drzwi na całą szerokość i wszedłem do środka. Pod pachą czułem pistolet uwierający jak dobrotliwy guz.

W hallu było kilkoro zamkniętych drzwi i jedno otwarte na wprost. Prowadziły do dużego pokoju, zakończonego rozsuwanymi szklanymi drzwiami, za którymi mienił się niebiesko basen. Z wody wyszła ociekająca Kitty. Przeszła przez pokój pozostawiając na dywanie ślady stóp, zwięzające się jak osy, i spotkała się ze mną w drzwiach hallu. Miała na sobie biały elastyczny kostium kąpielowy i biały gumowy czepek w kształcie kasku, który jej nadawał wygląd Amazonki.

— Niech pan się stąd wynosi. Wezwę policję.

— Świetnie się składa. Przeczesują całą Kalifornię w poszukiwaniu Leona.

— Nie zrobił nic karygodnego. — Zreflektowała się. — Przynajmniej ostatnio.

— Chcę to usłyszeć z jego ust.

— Nie! Nie pozwolę panu.

Zrobiła krok do przodu zatrzaszkując za sobą drzwi. Ruch był tak gwałtowny, że wpadła na mnie. Dla odzyskania równowagi złapała mnie za ramiona i natychmiast odskoczyła jak oparzona czy rażona prądem. Wyczuła widać kaburę pod moją pachą. Jej strach powrócił wykrzywiając jej twarz, jakby połknęła truciznę.

— Przyszedł pan nas zabić?

— Już raz o tym mówiliśmy. O niczym innym pani nie myśli, tylko o zabijaniu.

— Zbyt wiele razy to widziałam...

Ugryzła się w język.

— Widziała pani śmierć wielu ludzi?

— Tak. W wypadkach ulicznych i innych. — Zrobiła niewinną minę. Bez makijażu i z jaskrawymi włosami ukrytymi pod czepkiem wyglądała młodziej i naturalniej.' Ale nie niewinnie.

— Czego pan od nas chce? Pieniędzy? Nie mamy pieneędzy.

— Niech pani nie czaruje, Kitty. Przecież to centrala fabryki pieneędzy.

— Mówię prawdę. Ten pański Martel dał nogę z całą naszą gotówką, a z lokat nie możemy nic wycofać.

— W jaki sposób położył łapę na gotówce?

— Miał ją dostarczyć Leonowi. Leo mu ufał. Ja nie, ule Leo tak.

— Martel został wczoraj zastrzelony w Los Angeles. Jeszcze jeden wypadek do pani kolekcji. Miał ze sobą sto tysięcy dolarów gotówką.

— Gdzie one są?

— Nie zdziwiłbym się, gdyby były tutaj. To lewe dochody, co, Kitty?

Wyrzuciła ramiona w górę, przyłożyła pięści do barków, po czym takim samym nagłym ruchem opuściła je w dół.

— Ja tego nie powiedziałam.

— Czas, żeby pani zaczęła mówić, nie sądzi pani? Prawdziwymi zeznaniami można czasami kupić bezkarność, szczególnie w sprawach podatkowych.

Chociaż w hallu nie było wcale zimno, przeszedł ją nagły dreszcz.

— W sprawie o zabójstwo — ciągnąłem — to nie takie proste. Mimo to nie może sobie pani pozwolić na krycie kogokolwiek. Czy to Leo albo któryś z jego chłopców stuknął Martela?

— Leo nie miał z tym nic wspólnego.

— Jeśli miał, a pani o tym wie, radzę mówić. Chyba że woli pani stanąć razem z nim przed sądem.

— Wiem, że nie miał. Nie ruszał się z domu na krok.

— Za to pani się ruszała.

Trzęsła się już teraz nieprzerwanie.

— Pan posłucha, panie. Nie wiem, w co nas pan chce zrobić...

— Ja was nie chcę w nic zrobić. Samiście się wrobili. Co

innym czynicie, sobie czynicie. To odwrotność złotej maksymy biblijnej, Kitty.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— O trzech morderstwach. Wczoraj Martel. Poprzedniej nocy Marietta Fablon, kiedy pani była dziwnym trafem w Monteviście. No i Roy Fablon przed siedmiu laty. Pamięta go pani?

Kiwnęła sztywno głową.

— Niech pani mi powie, jak to się stało. Była pani przy tym.

— Może pan mi się pozwoli najpierw ubrać. Trzęsę się cała. Siedziałam z Leonem w basenie chyba z godzinę.

— Leo jest nad basenem?

— Tak, ćwiczy z instruktorką. Tylko niech pan przy niej czegoś nie powie. To głupia kobieta.

Kitty zsunęła gumowy czepek. Wysypały się spod niego rude włosy. Otworzyła jedno z zamkniętych drzwi i moim oczom ukazała się skotłowana różowa sypialnia kobieca z lustrem nad jeszcze jednym królewskim łóżem. Niestety.

Wyszedłem na dwór. Wśród mebli ogrodowych stał fotel inwalidzki na kółkach. Kobieta w niebieskim kostiumie, zanurzona po piersi w wodzie, trzymała w objęciach mężczyznę o krągłej sflaczałej twarzy i bezwładnym ciele. Tylko w jego czarnych oczach jarzyły się resztki świadomego inteligentnego życia.

— Dzień dobry, panie Ketchel.

— Dzień dobry w jego imieniu — odparła kobieta. — Pan Ketchel miał mały wylew przed trzema miesiącami. Nie odezwał się od tej pory słowem. Prawda, rybeńko?

Odpowiedział jej tylko smutnym spojrzeniem czarnych oczu. Potem skierował trwożnie wzrok na mnie, uśmiechnął się przeproszająco. Z kącika ust ciekła mu ślina.

W rozsuwanych drzwiach ukazała się Kitty kiwając na mnie. Włożyła spodnie obszywane cekinami, które zamrugały do mnie obiecująco, i sweter z angory zachodzący wysoko na szyję. Spieszny makijaż pozbawił jej twarz wyrazu, tak że trudno się było zorientować, jakie mi szykuje niespodzianki.

Zaprowadziła mnie do małego pokoiku od frontu, nie-

widocznego od strony basenu, i odsunęła zasłony. Stała w oknie, jakby chciała iść o lepsze z widokiem. W zestawieniu z krągłościami jej ciała białe żagle na oceanie wydawały się płaskie i nierealne jak białe serwetki ustawione w stożki na wyblakłym niebieskim obrusie.

– Sam pan widzi, na co mi przyszło – powiedziała rozkładając ręce. – Mam na głowie bezradnego chorego starca. Nie potrafi zrobić kroku, powiedzieć słowa, nawet się podpisać. Nie jest mi w stanie zapewnić ochrony.

– Przed kim?

– Leo narobił sobie dosyć wrogów' w życiu. Niechby się tylko zwiedzieli, że mieszka tu bezbronny, jego życie nie byłoby warte tyle. – Pstryknęła palcami. – Moje także. Jak pan myśli, przed kim się kryjemy w tej dziurze?

Dziurą, pomyślałem, jest dla niej pewnie wszystko, co nie leży na linii Chicago–Las Vegas–Hollywood.

– Czy współnik Leona, Davis, to jeden z wrogów, przed którymi potrzebuje pani ochrony? – zapytałem.

– Przed nim *w* pierwszym rzędzie. Ma najwięcej do zyskania, jeśli Leo umrze albo zostanie sprzątnięty.

– Kasyno?

– Kasyno już jest na papierze jego własnością. Komisja Podatkowa zmusiła Leona do pozbycia się go. Gorzej, że Davis ma z Leonem na pieńku.

– Rozmawiałem wczoraj z Davisem. Zaproponował mi pięć kawałków za odnalezienie Leona.

– Dlatego pana tu przyniosło.

– Jeszcze jeden pochopny wniosek. Odrzuciłem ofertę Davisa.

– Czyżby?

– Niech pani sobie wyobrazi. Dlaczego Davis ma na pieńku z Leonem?

Potrząsnęła głową. Jej włosy rozblęły w słońcu. Przypomniały mi nie wiedzieć czemu ognisko bandosów przy bocznicach kolejowych. Nie zamierzone groteskowe zbliżenie naszych ciał owego wieczoru wciąż żyło jako ewentualność między mną a Kitty.

– Nie mogę panu powiedzieć – odparła.

– Więc ja pani powiem. Urząd Skarbowy poszukuje Leona w związku z sumami, które odprowadził na lewo ze „Skorpiona”. Jeśli go nie odnajdą i nie odzyskają pieniędzy, a może nawet wówczas, gdy odzyskają, zwałą winę na Davisa. W najlepszym razie grozi mu utrata koncesji za firmowanie nielegalnych machinacji. W najgorszym spędzenie reszty życia w więzieniu federalnym.

– Nie jemu jednemu.

– Jeśli ma pani na myśli Leona, to reszta jego życia jest niewiele warta.

– A reszta mojego życia? – Dotknęła przez kosmatą angorę piersi. – Nie mam jeszcze trzydziestu lat. Wcale mi się nie uśmiecha gnicie w więzieniu.

– Więc musi pani pójść na ugodę.

– I wydać Leona? O, nie!

– Nic mu nie zrobią w jego obecnym stanie.

– Zamkną go gdzieś, pozbawią możliwości leczenia się. Nigdy się nie nauczy mówić ani pisać, nigdy...

Urwała w pół zdania.

– Nigdy pani nie powie, gdzie są zamelinowane pieniądze.

Zawahała się.

– Jakie pieniądze? Twierdzi pan, że przepadły.

– Te sto tysięcy przepadło. Ale wiadomo, że Leo odprowadził miliony. Ciekawe, co się z nimi stało?

– Sama bym to chciała wiedzieć, panie... – Jej twarz była nieruchomą maską, ale w oczach dostrzegłem błysk kalkulacji.

– Zapomniałam, jak pan się nazywa.

– Archer. Czy Leo wie, gdzie są te pieniądze?

– Chyba wie, trochę rozumu mu zostało. Ale trudno się zorientować, ile naprawdę rozumie. Zawsze udaje, że rozumie wszystko, co się do niego mówi, więc parę dni temu nagadałam mu stek głupstw. Tak samo się uśmiechał i kiwał głową.

– Co mu pani nagadała?

– Nie mogę powtórzyć. Stek świństw o numerach, jakie z nim będę odstawiała, kiedy się nauczy mówić. Albo przynajmniej pisać. – Nerwowo założyła ręce na piersiach. – Do rozpacz

mnie doprowadza, kiedy pomyślę o wszystkim, co znosiłam, żeby sobie zapracować na spokojną przyszłość. Cięgi, które mi spuszczał, i te inne rzeczy. A niech pan sobie nie wyobraża, że nie miałam innych możliwości. Ale tkwiłam wiernie przy Leonie. Tak jest, tkwiłam. I co? Tkwię teraz z kaleką na tym odludziu, wydajemy miesięcznie dwa tysiące, sześćset idzie na samych doktorów i zabiegi, i ja muszę sobie łamać głowę, skąd na to wszystko brać. — Podniosła głos. — A byłabym milionerką, gdybym dostała, co mi się prawnie należy.

— Bezprawnie.

— O nie, zapracowałam sobie na to. Siódme poty z siebie wyciskałam przez te wszystkie lata. Nie wmówi mi pan, że nie mam prawa do tych pieniędzy. Mam prawo do przyzwoitego życia.

— Kto pani to powiedział?

— Nikt mi nie potrzebował mówić. Z moją urodą? Mogę wybierać i przebierać.

Były to dziecinne przechwałki, samooszukańcze i żalodne. Dawały pojęcie o zwodniczej fantazji, która ją związała z Leonem Spillmanem i trzymała przy nim nawet teraz, odizolowaną od życia jego dalej sięgającą fantazją.

— Chciała pani powiedzieć, że może pani zostać wybrana albo nie. Czemu pani się nie zakręci koło jakiegoś zarobku? Jest pani silną, zdrową kobietą.

Ale emocjonalnie była ciągle niedowarzoną nastolatką.

— Jak pan śmie! — obruszyła się. — Nie jestem prostytutką.

— Nie miałem na myśli takiego zarobku. Niech pani się postara o pracę.

— Dziękuję, nigdy nie musiałam pracować na życie.

— Najwyższy czas zacząć. Jak pani się będzie dalej oglądała na te zaginione miliony, to ani się pani obejrzy, jak pani wylądjuje w kryminale.

— Nie będzie mi pan tu groził!

— Ja pani nie grożę. Pani własne fantazje są dla pani największą groźbą. Skoro pani nie chce stuknąć palcem o palec, żeby się wyrwać z tego bagna, niech pani wróci do Harry'ego.

— Do tego niedołągi? Wykierował się do szpitala.

— Ryzykował dla pani wszystko.

Zamilkła. Jej twarz była jak kolorowy obrazek, usiłujący ożyć w bólach. Najpierw zabłyśły życiem oczy i po policzku spłynęła łza. Sam nie wiem, jak się przy niej znalazłem. Zacząłem ją pocieszać. Jej głowa osunęła mi się na ramię jak sztuczna dalia i poczułem, że rzewne spazmy jej ciała robią się coraz mniej rzewne.

Rozległo się pukanie i w drzwiach stanęła kobieta z basenu. Była ubrana do wyjścia.

— Ja już idę, proszę pani. Pan Ketchel jest bezpieczny i suchy w swoim fotelu. — Zmierzyła nas surowym wzrokiem. — Ale niech pani go nie zostawia za długo samego.

— Nie zostawię, może pani być spokojna — odparła Kitty. — Dziękuję pani.

Kobieta nie odchodziła.

— Chciałam zapytać, czy nie mogłabym coś dostać na poczet należności za zeszły tydzień i poniedziałkową noc. Mam rachunki do zapłacenia.

Kitty poszła do swego pokoju i wróciła z banknotem dwudziestodolarowym. Ze złością wcisnęła go kobiecie.

— Chyba na jakiś czas wystarczy?

— Musi. Nie chciałabym, żeby pani mnie źle zrozumiała. Ja chętnie przychodzę do pana Ketchela, ale za uczciwą pracę należy się uczciwa zapłata.

— Niech pani się nie martwi, dostanie pani swoje pieniądze. Nasze dywidendy jakoś się opóźniają w tym miesiącu.

Kobieta obrzuciła ją sceptycznym spojrzeniem i wyszła. Kitty była sina z wściekłości. Uderzyła pięścią o pięść.

— Stara megiera! Tak mnie upokorzyć!

— Czy naprawdę spodziewa się pani dywidend?

— Skądże! Muszę sprzedać biżuterię. A chowałam ją na czarną godzinę.

— Zdaje się, że już nadeszła. Mało, czarna godzina, cała noc polarna.

— Ale z pana meteorolog!

Zbliżyła się do mnie, nuąc starą piosenkę o tym, co będziemy robili czarną, czarną nocą. Szturchnęła mnie lekko

piersią.

— Gotowa byłabym wiele zrobić dla mężczyzny, który by mi pomógł odzyskać pieniądze Leona.

Prowokowała mnie teraz z rozmysłem, ale chwilowy czar już przysł.

— Gotowa byłaby pani na przykład powiedzieć prawdę?

— O czym?

— O Royu Fablonie. Czy to Leo go zabił?

Namyślała się dłuższą chwilę, nim odrzekła:

— Niechący, to był przypadek. Klócili się o coś, Leo go pobił.

— O coś?

— Jeśli pan chce koniecznie wiedzieć, chodziło o córkę Fablona. W miarę jak Leo się starzał, leciał na coraz młodsze siksy. To było żenujące. Może źle postąpiłam, ale zawiadomiłam panią Fablon, że jej mąż stręczy Leonowi córkę.

— Zawiadomiła pani panią Fablon?

— Tak, musiałam się jakoś bronić. No, i wyświadczyłam dziewczynie przysługę. Pani Fablon zmyła zdaje się mężowi solidnie głowę, bp przyleciał zaraz wieczorem powiedzieć Leonowi, że nici z całego interesu.

— Nie rozumiem, dlaczego w ogóle się zgodził.

— Był Leonowi winien kupę pieniędzy, a Leo umiał ludzi przyciskać do muru. Fablon wołał udawać, że nie rozumie, co się święci. Rozumie pan?

— Rozumiem.

— Tak jakby Leo był jakimś filantropem czy czym. A on by własnej matce krew wytoczył, żeby sprzedać po dziesięć dolarów za ćwiartkę, i jeszcze by zażądał zastawu za butelkę. O, Leo przed niczym się nie cofał. Niby to miał posłać tę małą na naukę do Szwajcarii i jej rodzony ojciec dał się na to wziąć. Dopiero matka zwietrzyła pismo nosem. Prawdę mówiąc, myślę, że Fablon nienawidził córki.

— Słyszałem, że ją ubóstwiał.

— Czasami od ubóstwiania do nienawiści jest jeden krok. Ja coś o tym wiem, może mi pan wierzyć. Podobno Fablon się do niej zraził, kiedy zaszła z jakimś facetem w ciążę. Potem chciał jej się za wszelką cenę pozbyć z domu.

— Co to był za facet?

— Nie wiem. Pani Fablon też nie wiedziała albo nie chciała mi powiedzieć. Dość że Fablon przyszedł do nas wieczorem i wszystko odwołał. Wzięli się z Leonem za łby i Fablon dostał nielicho w kość. Leo miał ciężką rękę, mimo że był chory. Fablon ledwo się trzymał na nogach, kiedy od nas wyszedł. Zgubił po ciemku drogę, wpadł do basenu i utonął.

— Widziała pani to?

— Cervantes widział.

— Cervantes kłamał. Sekcja zwłok wykazała, że Fablon utonął w wodzie morskiej. Woda w basenie jest słodka.

— Może teraz jest słodka. Za moich czasów była słona. Powinnam chyba wiedzieć, kąpałam się w basenie codziennie przez dwa tygodnie.

W jej głosie pojawiła się nostalgiczna nutka. Jeśli nawet przyszła na nią czarna godzina i będzie zmuszona sprzedać biżuterię, ma przynajmniej co wspominać. Spędziła dwa tygodnie w Klubie Tenisowym.

— Co miał do powiedzenia na ten temat Cervantes?

— Znalazł Roya Fablona w basenie i przyszedł zawiadomić Leona. Zrobił się sądny dzień. Samo to, że Leo pobił Fablona, było karalne. Kiedy Fablon utonął, stało się to nieumyślnym zabójstwem. Cervantes dał do zrozumienia, że mógłby upozorować samobójstwo wrzucając ciało do oceanu. Kręcił się już przedtem koło Leona, teraz znalazł bicz na jego skórę. Skończyło się tak, że wyjeżdżając następnego czy drugiego dnia z Montevisty zabraliśmy go ze sobą. Zamiast posłać tę małą na naukę do Szwajcarii Leo posłał Cervantesa na studia do Paryża. Mówiłam Leonowi, że chyba upadł na głowę. Ale mi powiedział, że trzeba umieć przewidywać na lata naprzód, to jest tajemnica jego powodzenia. Ma swoje plany co do Cervantesa i wie, że mu może zaufać po tej historii z Fablonem. Pomylił się ten jeden raz. Jak tylko dostał ostatniego ataku, Cervantes puścił go kantem.

W jej głosie pojawiło się zastanowienie.

— To dziwna rzecz z Leonem. Wszyscy się przed nim trzęśli, nie wyłączając mnie. Był bogiem, a jak tylko go to spotkało, stał

się od razu niczym. Takie zero jak Cervantes mogło mu sprzątnąć sprzed nosa całą forszę.

— Przynajmniej jest ruch w interesie. W jaki sposób Cervantes położył łapę na forsie?

— Leo przekazywał mu ją po trochu przez ostatnie trzy, cztery lata. Cervantes miał jakąś posadę rządową, mógł wyjeżdżać za granicę bez kontroli celnej. Melinował gdzieś pieniądze, może w Szwajcarii, na jednym z tych anonimowych kont.

Byłem prawie pewien, że pieniądze nie są zamelinowane w Szwajcarii. Anonimowe konta istnieją także w Panamie.

— O czym pan myśli?

— Zastanawiam się, czy pani Fablon nie szantażowała przypadkiem Leona zabójstwem męża.

— Owszem, szantażowała. Przyjechała do niego do Las Vegas po znalezieniu zwłok. Powiedziała, że go kryła na rozprawie, ale w zamian będzie jej musiał trochę pomóc. Wściekał się jak wszyscy diabli, ale przypuszczam, że coś jej od tej pory odpałał.

— Zrobiła pauzę. — Powiedziałam panu wszystko, co wiem o Fablonach. Pomoże mi pan odzyskać te pieniądze?

— Nie mówię nie. Ale w tej chwili mam innego klienta i dwa zabójstwa do rozwiązania.

— Co pan będzie z tego miał?

— Pieniądze nie są jedynym celem w życiu.

— Też tak myślałam, aż do tej historii. Chce pan zostać dobroczyńcą ludzkości?

— Nie powiedziałbym tego. Staram się nie zostać złoczyńcą.

Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem.

— Nie rozumiem pana, Archer. Co pan kombinuje?

— Nic. Lubię ludzi, staram się pomagać.

— I to ma być życie?

— W każdym razie coś, co czyni życie znośnym. Niech pani kiedyś spróbuje.

— Próbowалам — odparła. — Z Harrym. Ale nie miał w sobie tego czegoś. Już ja mam takie parszywe szczęście, zawsze wyląduję z niedołągą albo z kaleką. — Wzruszyła ramionami. — Muszę wracać do Leona.

Czekał cierpliwie w kraciastym cieniu pergoli z łat. Koszula i

spodnie wisiały na jego skurczonym ciele. Zmrużył oczy na mój widok, jakby się spodziewał ciosu.

— Śmierdzący siutas — powiedziała Kitty wesoło. — To mój nowy kochanek. Odszuka twoje pieniądze i zabierze mnie w podróż dookoła świata. A wiesz, co będzie z tobą, stary błaznie? Oddamy cię do przytułku i nikt cię nawet nie przyjdzie odwiedzić.

Odwróciłem się i wyszedłem.

30

Wróciłem do Los Angeles, o pierwszym zmierzchu zjadłem obiad i resztę drogi do Montevisty odbyłem już po ciemku. W domu Jamiesonów otworzyła mi Wera. Miała na sobie szlafrok w słońca, rozpuszczone czarne włosy opadały jej na ramiona. Nie było jeszcze tak późno. Do gospodarstwa Jamiesonów zaczynały się wkradać pierwsze oznaki rozprężenia.

— Jest w domku gościnnym — powiedziała. — Z nią.

Obecność drugiej kobiety na terenie posesji działała jej wyraźnie na nerwy.

Domek gościnny okazał się białą tynkowanym parterowym drewniakiem na końcu ogrodu. Zza przymkniętych okiennic wydobywało się światło budząc do życia kolorowe grządki pod oknami. W powietrzu unosiły się nie zidentyfikowane słodkie wonie. Sceneria była wymarzona do idylli, trudno było sobie wyobrazić, że służy jako miejsce rekonwalescencji po tragedii. Życie jest krótkie i słodkie, pomyślałem, krótkie i słodkie.

— Kto tam? — odezwał się z wnętrza głos Petera.

Dopiero gdy odpowiedziałem, otworzył drzwi. Miał na sobie obszerny szary sweter i białą koszulę z wykładanym kołnierzykiem, który odsłaniał jego grubą, miękką szyję. Oczy błyszczały mu nienaturalnie. Mogło to być czyste, niewinne szczęście, mogła być podejrzana euforia.

Podobne wątpliwości budziła dziewczyna w jasno oświetlonym pokoju w głębi, z meblami obitymi kretonem. Siedziała pod lampą, z książką na kolanach, doskonale opanowana i

nieruchoma w swojej czarnej sukni. Skinęła do mnie głową, to było wszystko.

– Niech pan wchodzi – powiedział Peter.

– Ty wyjdź do mnie.

Wyszedł w mrok, zostawiając drzwi półotwarte. Wieczór był ciepły jak na maj, bezwietrzny.

– O co chodzi? Nie chcę jej zostawiać samej.

– Ani na chwilę?

– Ani na chwilę – odparł z rodzajem dumy.

– Dowiedziałem się pewnych rzeczy o śmierci jej ojca. Wątpię, żeby chciała o tym słuchać. Nie umarł śmiercią samobójczą. Mógł to być wypadek.

– Myślę, że będzie chciała wiedzieć.

Wszedłem bez entuzjazmu do środka i powtórzyłem nieco okrojoną wersję wydarzeń, które doprowadziły do śmierci Roya Fablona. Ginny przyjęła moją opowieść spokojniej niż Peter, który przez cały czas wybijał nogą nerwowy rytm, jakby jakaś przemożna siła pchała go do ucieczki, mimo że w pokoju była Ginny.

– Przykro mi to odgrzebywać i zwałać pani na głowę – powiedziałem do niej. – I bez tego dość się na panią zważyło.

– Nie szkodzi. To już minęło.

Miałem nadzieję, że się nie myli. Przerzązał mnie jej spokój. Przypominał kamienną niewzruszoność posągu.

– Chce pani, żebym przedsięwziął jakieś kroki w stosunku do Ketchela alias Spillmana?

Peter zamarł oczekując na jej odpowiedź. Ginny uniosła dłonie nieco w górę i po chwili opuściła je na książkę.

– W jakim celu? Mówi pan, że jest schorowanym starcem, niemal w stanie wegetacji roślinnej. Przypomina to owe dantejskie kary, dostosowane do charakteru winowajcy. Silny wybuchowy mężczyzna zostaje przemieniony w bezradnego kalekę. – Zawahała się. – Czy oni się kłócili o mnie?

– Pani osoba odegrała w tym pewną rolę.

– Nie rozumiem – odezwał się Peter.

Obróciła się do niego.

– Pan Ketchel robił mi nieprzyzwoite propozycje.

– I ty nie chcesz, żeby go spotkała zasłużona kara?

– A cóż mi z tego przyjdzie? To było przed laty. Jestem już zupełnie innym człowiekiem – dodała bez uśmiechu. – Nie wiesz, że z punktu widzenia chemii organizm ludzki ulega co siedem lat całkowitej przemianie?

Ta myśl jakby jej przyniosła ulgę.

– Jesteś aniołem – powiedział Peter.

Ale nie podszedł do niej ani jej nie dotknął.

– Istnieje jeszcze inna możliwość – powiedziałem. – Że Ketchel-Spillman nie jest wcale winien śmierci pani ojca. Ktoś inny mógł go zauważyć błądzącego w stanie zamroczenia po terenie klubu i utopić z premedytacją w basenie.

– Któż by zrobił coś takiego? – zapytała.

– Pierwszym kandydatem jest pani nieżyjący mąż. Dowiedziałem się o nim pewnych dalszych szczegółów. Był Panamczykiem, wyszedł z dość twardej szkoły życia.

– Wiem – przerwała mi. – Odwiedził mnie po południu profesor Tappinger. Opowiedział mi wszystko o Francisie. Biedny Francis – dodała beznamiętnie. – Widzę teraz, że był niezupełnie normalny. Ja też musiałam być niespełna rozumu, żeby tego nie zauważyć. Ale nie wyobrażam sobie, co by mógł mieć przeciwko Royo- wi. Nawet go wówczas nie znałam.

– Mógł utopić pani ojca, żeby ukrećcić bicz na Ketchela. Względnie mógł widzieć, jak ktoś inny go topi, i wmówić Ketchelowi, że to jego sprawka.

– Ma pan chorobliwą wyobraźnię.

– To pani mąż miał chorobliwą wyobraźnię.

– O nie, myli się pan co do tego. Francis wcale nie był taki.

– Obawiam się, że znała pani tylko jedną twarz swego męża. Francis Martel to postać wymyślona. Czy profesor Tappinger powiedział pani, że był bękartem ze slumsów Panama City? To właściwie wszystko, co wiemy o jego osobie, O jego prawdziwym realnym życiu, które go pchnęło do szukania rekompensaty w fikcyjnym życiu z panią.

– Nie chcę o tym mówić. – Otuliła się ciasno ramionami, jakby przez swoją wdowę czerń poczuła przenikający chłód rzeczywistości. – Nie będziemy więcej rozmawiali o Francisie.

. Peter podniósł się z fotela.

— Całkowicie się zgadzam. Wszystko to należy do przeszłości. Dosyć o tym mówiliśmy jak na jeden wieczór.

Wstał i otworzył drzwi. Do pokoju wtargnęła fala słodkiego nocnego powietrza. Nie ruszyłem się z miejsca.

— Panno Fablon, czy mógłbym pani zadać parę pytań w cztery oczy? Przyjmuję, że pozostała pani przy nazwisku panińskim.

— Chyba tak. Nie zastanawiałam się nad tym.

— Ale nie pozostanie przy nim długo — oświadczył Peter z beztroską durnia. — Pewnego pięknego dnia zmieni je na pani Jamieson, tak jak miało być od początku.

GINNY siedziała ze zrezygnowaną miną. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

— O co chciał mnie pan zapytać? — odezwała się cicho.

— To pytanie osobiste. Niech pani poprosi Petera, żeby nas zostawił na chwilę samych.

— Słyszałeś, Peter?

Naburmuszył się, ale wyszedł pozostawiając drzwi szeroko otwarte. Słyszałem, jak się tłucze po ogrodzie.

— Biedny Peter — powiedziała Ginny. — Nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Chociaż nie wiem również, co z nim robić.

— Wyjdzie pani za niego?

— Nie mam wyboru. Brzmi to cynicznie, co? Ale to nie zamierzony cynizm. Po prostu wszystko jakoś straciło sens.

— Nieuczciwością byłoby wychodzić za Petera, jeśli pani nic do niego nie czuje.

— Owszem, czuję, zawsze czułam. Więcej niż do kogokolwiek. Francis był tylko przelotnym epizodem w moim życiu.

Ale spod jej światowej pozy przebijała niedojrzałość. Zaczynałem się zastanawiać, czy jej rozwój emocjonalny nie zatrzymał się w chwili śmierci ojca. Uderzyła mnie równocześnie myśl, że Ginny i Kitty, dziewczyny z dwu przeciwnych krańców miasta, mają w gruncie rzeczy wiele wspólnego. I jednej, i drugiej wypaczyła życie uroda, którą je obdarzył ślepy los. Przemieniło je to w przedmioty, malowane lale na martwej pustyni świata, na które równie przykro

patrzeć jak na ukrzyżowanych bez powodu.

– Peter mi mówił, że ze sobą chodziliście.

– Tak, prawie przez całą szkołę. Nie był wtedy jeszcze taki gruby – dodała w formie wyjaśnienia.

– Byliście kochankami?

Oczy jej pociemniały jak ocean, gdy niebo zasnuje się chmurami. Po raz pierwszy dotknąłem czulego miejsca jej przytępionej wrażliwości. Odwróciła się, żebym nie widział jej oczu.

– Co to ma do rzeczy?

Znaczyło to, że byli.

– Zaszła pani z nim w ciążę?

– Jeśli potwierdzę – odparła z odwróconą twarzą – czy pan obieca nigdy nikomu tego nie powtórzyć? Nawet Peterowi?

– Obiecuję.

– Więc dobrze, powiem panu. Spodziewałam się dziecka, kiedy byłam na pierwszym roku college'u. Nie powiedziałam Peterowi. Był taki młody, taki niedojrzały na swój wiek. Byłby przerażony. Nie powiedziałam nikomu prócz Roya, a ostatecznie i mamusi. Nie chciałam rzucać studiów dla przymusowego szczeniackiego małżeństwa. Dla Roya to był okropny cios, ale pożyczył tysiąc dolarów i zawiózł mnie do Tijuany. Zafundował mi luksusową skrobankę, z lekarzem, pielęgniarką, w antyseptycznych warunkach. Ale od tej pory zachowywał się tak, jakby uważał, że mu jestem winna pieniądze.

Głos miała bezbarwny, równie dobrze mogłaby opowiadać o wyprawie po zakupy. Jej beznamiętność kazała przypuszczać, że był to dla niej koszmar, który sparaliżował jej zdolność odczuwania.

– Jak pan się dowiedział o mojej ciąży? – zapytała bez zbytejnej ciekawości. – Byłam pewna, że nikt o tym nie wie.

– Mniejsza o to, jak się dowiedziałem.

– Ale ja nie mówiłam nikomu prócz Roya i mamusi.

– A oni nie żyją.

Jej ciało przeszedł ledwo dostrzegalny dreszcz. Powoli, jakby pokonując opór fizyczny, obróciła do mnie głowę.

— Myśli pan, że zostali zabici, bo wiedzieli o mojej ciąży?

— Możliwe.

— A co z zabójstwem Francisa?

— Nie mam w tej sprawie żadnej hipotezy. Błądzą ciągle po omacku. Może pani mi coś podsunie?

Potrząsnęła głową. Jej jasne włosy zakołysały się głaszcząc zimne, blade policzki narcystyczną pieśczęcią.

— Mogę już wrócić? — rozległ się w drzwiach zniecierpliwiony głos Petera.

— Nie, nie możesz. Idź sobie, zostaw mnie samą. Podniosła się obejmując wyprasającym gestem również mnie.

— Ależ nie wolno ci być samej — zaprotestował Peter. — Doktor Sylvester powiedział...

— Doktor Sylvester jest starą babą, a ty drugą. Wynoś się. Jak ty się nie wyniesiesz, ja się wyniosę. Wyprowadzę się stąd jeszcze dzisiaj.

Peter wycofał się tyłem, a ja wyszedłem za nim. Ginny zamknęła za nami na zasuwę. Kiedy się oddaliliśmy na tyle, że nas nie mogła usłyszeć, Peter wskoczył na mnie:

— Co pan jej naopowiadał?

— Nic takiego.

— Musiał jej pan coś powiedzieć, żeby wywołać taką reakcję.

— Zadałem jej parę pytań.

— O co?

— Prosiła, żeby ci nie mówić.

— Ona prosiła pana, żeby pan mnie nie mówił? — Przynął twarz tuż do mojej. Nie widziałem jej wyrazu, ale jego głos był nabrzmiąły wściekłością, agresywny. — Odwrócił pan całkowicie kota ogonem. Miał pan pracować dla mnie, a Ginny jest moją narzeczoną.

— Tak z miejsca została znowu twoją narzeczoną?

Nie powinienem był tego mówić. Peter nazwał mnie chamskim ryjem i zamachnął się na odlew. W ciemności za późno dostrzegłem nadlatującą pięść i nie zdążyłem się uchylić. Wykręciłem tylko głowę, zmniejszając siłę ciosu. Nie oddałem mu, podniosłem jedynie pięści jako gardę, na wypadek gdyby mi wymierzył drugi cios. Ale nie wymierzył, przynajmniej nie

cios fizyczny.

— Niech pan się stąd wynosi — zawołał z łkaniem w głosie. — Koniec z nami. Nie ma pan tu po co wracać.

31

Odbija się to zawsze fatalnie na moim morale, gdy muszę porzucić nie rozwiązaną sprawę. Wróciłem do swego mieszkania w Zachodnim Los Angeles i odurzyłem się solidną porcją whisky. Mimo to nie spałem za dobrze. Obudziłem się w środku nocy. Gęsty deszcz szeleścił za oknem jak celofan. Działanie whisky dobiegało końca i w przyływie paniki ujrzałem samego siebie — starzejącego się mężczyznę, który leży samotnie w ciemnościach, podczas gdy życie przemyka obok jak samochody na autostradzie.

Wstałem późno i poszedłem na śniadanie. W porannych gazetach nie było nic nowego o żadnym z zabójstw. Pojechałem do biura i czekałem z cichą nadzieją, że Peter po ochłonięciu zadzwoni, żeby mnie ściągnąć z powrotem.

Właściwie wcale go nie potrzebuję, mówiłem sobie. Została mi jeszcze część jego zaliczki. Zresztą nawet bez niej i bez jego stosunków w Montevíście mogę zawsze współdziałać z Perlbergiem w sprawie zabójstwa Martela. Ale dla jakiegoś istotnego powodu chciałem, żeby mnie zaangażował na powrót. Może w swoim nocnym osamotnieniu spłodziłem imaginacyjnego syna, biednego głupiego tłustego syna, który szuka zapomnienia nie w pijaństwie, lecz w obżarstwie.

Słońce powoli wypalało poranną mgłę i osuszało bruki. Moja depresja nie chciała ustąpić tak łatwo. W poszukiwaniu szczęśliwszej wróżby zabrałem się do przeglądania poczty. Najbardziej obiecująco wyglądał list z Hiszpanii, z podobizną generała Franco na znaczkach, zaadresowany do senora Lew Archera. Tekst w środku brzmiał:

Tym listem z dalekiej Hiszpanii pragniemy zwrócić pana uwagę na nasze komplety meblowe „Fiesta”, z au-

tentycznym hiszpańskim motywem dekoracyjnym, malowniczym jak corrida, ognistym jak flamenco. Mogą je państwo obejrzeć w każdym z naszych sklepów na terenie wielkiego Los Angeles.

Ale okazem literatury reklamowej, który mi najbardziej przypadł do gustu, był folder Izby Handlowej w Las Vegas. Wśród atrakcji tego miasta wymieniał pływanie, golf, tenis, kręgle, narty wodne, restauracje, widowiska, kościoły różnych wyznań. Nie zająknął się natomiast o hazardzie.

Może rzeczywiście była to szczęśliwa wróżba. Jeszcze siedziałem rozbawiony folderem, gdy zadzwonił kapitan Perlberg.

— Zajęty pan, Archer?

— Niespecjalnie. Klient zrezygnował z moich usług.

— Przykre — powiedział wesoło. — Mógłby nam pan wyświadczyć grzeczność? Nie porozmawiałby pan ze staruszką Martela?

— Z matką Martela?

— Chyba mówię wyraźnie. Przyleciała dziś rano z Panamy i awanturuje się o wydanie zwłok. Ciśnie nas także o informacje. Wie pan o sprawie więcej niż ja, więc pomyślałem sobie, że gdyby pan z nią porozmawiał, może by nam pan zaoszczędził interwencji dyplomatycznej.

— Gdzie ona jest?

— W tej chwili śpi. Wzięła apartament w hotelu „Beverly Hills”. Ale mogłaby pana przyjąć wczesnym popołudniem. Powiedzmy kwadrans po drugiej. Byłaby dla pana wymarzoną klientką.

— Tak? A kto by mi zapłacił?

— Jak to kto? Ona. Babka jest nadziana.

— Myślałem, że przymiera głodem.

— To źle pan myślał — odparł Perlberg. — Według konsula panamskiego jest żoną wiceprezesa banku w Panama City.

— Jak się nazywa ten wiceprezes?

— Rosales. Ricardo Rosales.

Było to nazwisko wiceprezesa Banku Nowej Granady, tego

samego, który podpisał list zawiadamiający Mariettę Fablon, że nie będzie więcej otrzymywała pieniędzy.

— Chętnie odwiedzę panią Rosales.

Zadzwoiłem zaraz do profesora Allana Boscha z college'u stanowego w Los Angeles. Bosch odparł, że z przyjemnością mnie poinstruuje co do osoby Pedra Dominga, jednakże nie ma zbyt wiele czasu.

— Mogę do pana przyjechać. Czy na terenie uniwersytetu jest jakieś miejsce, gdzie można zjeść lunch?

— Są trzy. „Bratniak”, „Piekielko” i „Olimp Północy”. Aha, i przy okazji. Zmieniliśmy ostatnio nazwę na College Stanu Kalifornia w Los Angeles.

— „Piekielko” brzmi zachęcająco.

— To pusty dźwięk. W rzeczywistości jest to bar szybkiej obsługi. Umówmy się lepiej w „Olimpie Północy”. To na najwyższym piętrze budynku północnego.

College leży na wschodnim skraju miasta. Dojechałem autostradą hollywoodzką do autostrady na San Bernardino, z której zjechałem koło Alei Wschodniej. Miasteczko uniwersyteckie zajmowało ociosany wierzchołek wzgórza, pokryty ciasno zabudowaniami. Wszystkie parkingi były przepełnione. W rezultacie zaparkowałem na parkingu profesorskim i wjechałem windą pięć pięter do „Olimpu Północy”.

Profesor Bosch okazał się mężczyzną między trzydziestką a czterdziestką, o młodzieńczym wyglądzie. Był tak wysoki, że mógłby z powodzeniem grać jako środkowy napastnik w reprezentacyjnej drużynie koszykówki. Miał przygarbione plecy, jak to się często zdarza u ludzi bardzo wysokich, i bystre spojrzenie pozbawione złudzeń. Mówił staccato, z akcentem Środkowego Zachodu.

— Jestem zaskoczony, że pan zdążył na czas. To kawał drogi. Zająłem stolik przy oknie.

Zaprowadził mnie do stolika w końcu przestronnej sali, brzęczącej gwarem. Z okna roztaczał się widok na wschód, w kierunku Pasadeny i gór.

— Więc chce pan usłyszeć wszystko, co wiem o Pedrze

Domingu – powiedział znad zupy cebulowej,

– Tak. Interesuje mnie również jego rodzina. Profesor Tappinger powiedział, że jego matka była w Panama City panienką do towarzystwa. To tak jak u nas w barach dziewczyny, które mają przyciągać i zabawiać mężczyzn?

– Chyba tak. – Bosch obrócił swój długi tułów i popatrzył na mnie ukosem przez stół. – Ale może najpierw pan mi odpowie na jedno pytanie. Dlaczego gazety nic nie piszą o zabójstwie Pedra?

– Piszą. Czy Tappinger panu nie powiedział, że Domingo występował pod przybranym nazwiskiem?

– Może i powiedział, ale nie pamiętam. Byliśmy obaj podekscytowani, mówiliśmy jeden przez drugiego. – Wbił we mnie wzrok. – Pod jakim nazwiskiem występował?

– Francis Martel.

– To ciekawe. – Nie powiedział, dlaczego ciekawe. –

O tym zabójstwie czytałem. Ale czy w gazetach nie pisali, że to były porachunki gangsterskie?

– Tak rzeczywiście pisali.

– Pan w to wątpi?

– Faktycznie mam coraz więcej wątpliwości.

Bosch przestał jeść. Stracił apetyt na zupełną, a kiedy mu przyniesiono stek, pokrajał go pedantycznie na drobne kawałki, ale ich nawet nie podniósł do ust.

– Jak dotąd, to głównie ja zadaję pytania – powiedział. – Interesowałem się Pedrem. Miał żywy umysł, trochę rozwichrzony, ale błyskotliwy, i tryskał życiem.

– Nic z tego życia nie zostało.

– Dlaczego występował pod przybranym nazwiskiem?

– Ukradł grubszą forszę i nie chciał się dać złapać. Ponadto chciał zaimponować pewnej dziewczynie, która ma bzika na punkcie Francji. Podawał się za francuskiego arystokratę Francisca Martela. To brzmi dużo lepiej niż Pedro Domingo, szczególnie w południowej Kalifornii.

– Co dziwniejsze, jest niemal prawdziwe – powiedział Bosch cicho.

– Prawdziwe?

— Mniej więcej tak jak większość genealogii. Dziadek Pedra po kądzieli nazywał się Martel. Może nie był arystokratą, ale był wykształconym paryżaninem. Przyjechał z Francji jako młody inżynier Compagnie Universelle.

— Nie znam francuskiego, profesorze.

— La Compagnie Universelle da Canal Interocéanique de Panama to nazwa nadana przez Lessepsa towarzystwu budowy Kanału Panamskiego. Pompatyczna nazwa monumentalnego fiaska. Budowa zakończyła się bankructwem jakoś na krótko przed 1890 rokiem i *grandpère* Martel stracił cały majątek. Zdecydował się zostać w Panamie. Był ornitologiem amatorem, fascynowała go miejscowa fauna i flora. Stopniowo zaczął żyć jak tubylec i w końcowym okresie mieszkał z wiejską dziewczyną w jakiejś zakazanej dziurze. Pedro twierdził, że dziewczyna się wywodziła od pierwszych Cimarrones, zbiegłych niewolników, którzy walczyli z Francisem Drake’iem przeciwko Hiszpanom. Opowiadał również, że za jej pośrednictwem jest w prostej linii potomkiem samego Drake’a, co by tłumaczyło przybranie imienia Francis, ale co już zdaje się być czystą fantazją genealogiczną. Pedro miał w ogóle skłonności do fantazjowania.

— Może się to stać niebezpieczne, gdy taki osobnik zaczyna wcielać swoje fantazje w życie — powiedziałem,

— Zapewne ma pan rację. Ale faktem jest, że ta wieśniaczka była jego babką. Jego matka, a następnie Pedro odziedziczyli po niej nazwisko Domingo.

— A kto był ojcem Pedra?

— Tego nie wiedział. Przypuszczam, że nie wiedziała tego sama matka. Najogólniej mówiąc, prowadziła w tym czasie bardzo nieunormowane życie. Nie przeszkadzało jej to pielęgnować tradycji starego Martela długo po jego śmierci. W Panamie są w ogóle żywe tradycje francuskie. Matka uczyła Pedra francuskiego równocześnie z hiszpańskim. Czytała z nim na głos książki dziadka. *Grandpère* był dosyć oblatany w literaturze, jego biblioteka sięgała od La Fontaine’a i Descartes’a do Baudelaire’a, tak że Pedro wyniósł z domu całkiem przyzwoite wykształcenie francuskie. Rozumie pan

teraz, dlaczego miał obsesję na punkcie Francji. Wychował się w slumsach, ale obok krwi indiańskiej, a może i murzyńskiej, płynęła w jego żyłach krew francuska. Francuskie pochodzenie było jedyną rzeczą, która go wyróżniała, jedyną nadzieją nobilitacji.

— Skąd pan to wszystko wie, profesorze?

— Spędziłem z Pedrem sporo czasu. Uważałem, że rokuje znaczne nadzieje, może nawet nieprzeciętne nadzieje. On z kolei szukał kogoś, z kim by mógł rozmawiać o Francji, gdzie ja spędziłem rok na stypendium – wyjaśnił bagatelizującym tonem. — Poza tym na wyższym kursie francuskiego stosuję pewien chwyt, który nawiasem mówiąc, zapożyczyłem od Tapcia. Każę studentom napisać po francusku esej wyjaśniający, dlaczego wybrali romanistykę. Otóż Pedro wystąpił z zadziwiającym elaboratem o swoim *grandpère* i *la gloire*, chwale Francji. Postawiłem mu piątkę z plusem, pierwszą w mojej karierze uniwersyteckiej. Ta jego praca jest źródłem większości moich informacji.

— Chociaż nie znam francuskiego, chętnie bym zobaczył ten elaborat.

— Zwróciłem go Pedrowi. Powiedział mi, że go posłał matce.

— Wie pan, jak ona się nazywa?

— Secundina Domingo. Widocznie była drugą córką swojej matki.

— Sądząc po panińskim nazwisku, nigdy nie wyszła za mąż.

— Chyba nie, ale mężczyzn w jej życiu nie brakowało – odparł Bosch sucho. — Pewnego wieczoru dałem Pedrowi za dużo wina i po pijanemu opowiedział mi o amerykańskich marynarzach, których sprowadzała do domu. Było to podczas wojny, kiedy Pedro był jeszcze zupełnie mały. Mieli wówczas tylko jeden pokój, a w nim jedno łóżko, i Pedro musiał czekać na schodach, kiedy ich zabawiała. Zdarzało się, że czekał całą noc. Był bardzo przywiązany do matki i podejrzewam, że naruszyło to trochę jego równowagę psychiczną. Tego wieczoru, kiedy się wstawił moim *vin ordinaire*, wdał się we wścickłą perorę o tym, jak to jego kraj jest rozdrożem świata, traktowanym przez każdego, kto chce i #ie chce, a on sam jego

typowym wytworem, ulepionym z gliny aryjskiej, indiańskiej i murzyńskiej. Z tego, co mówił, wynikało, że się utożsamia z czarnym Chrystusem z Nombre de Dios, sławną panamską figurą kultową.

— Miał złudzenia mesjanistyczne?

— Jeśli, to nic o tym nie wiem. Nie jestem psychiatrą. Dla mnie był raczej niedoszłym poetą, idealistyczną duszą o skłonnościach do symbolizmu, zdławionych w zarodku przez wszystkie obciążenia dziedziczne. Przyznaję, że miał dziwaczne pomysły, ale nawet najdziwaczniejsze nie były pozbawione swoistej logiki. Panama stanowiła dla niego coś więcej niż tylko kraj, nawet coś więcej niż ogniwo geograficzne łączące Amerykę Północną i Południową, Uważał, że reprezentuje podstawową więź między duszą a ciałem, mózgiem a sercem, więź, którą zerwali Północni Amerykanie. No, i w rezultacie go uśmierciliśmy – zakończył.

— My?

— My, Północni Amerykanie.

Przesunął widelcem ciemne mięso, zastygające na talerzu. Popatrzyłem na góry, nad którymi odrzutowiec rozkrawał niebo białą krechą. Zaczynałem sobie wyrabiać zdanie o Allanie Boschu – podobał mi się coraz bardziej. Był zupełnie różny od starszych profesorów w typie Tappingera, tak zasklepionych w sobie i swojej pracy, że czyniło to z nich ekscentryków. Bosch robił wrażenie szczerze przejętego swoimi studentami. Powiedziałem coś na ten temat, ale wzruszeniem ramion zbył przyjemność, którą mu sprawił mój komplement.

— Jestem nauczycielem. Nie chciałbym być niczym innym. – Po pauzie, wypełnionej szumem studenckich rozmów dookoła nas, ciągnął: – Muszę przyznać, że to przeżyłem, kiedy Pedro musiał stąd wyjechać. Był najbardziej interesującym studentem, jakiego kiedykolwiek miałem, tutaj i w Illinois. Uczyłem tylko w tych dwóch miejscach.

— Pański przyjaciel Tappinger mówił, że interesował się nim Departament Sprawiedliwości.

— Tak, Pedro dostał się do Stanów nielegalnie. Musiał uciekać najpierw z Long Beach, potem stąd, oba razy o krok

przed urzędnikami imigracyjnymi. Prawdę mówiąc, to ja go ostrzegłem, że się o niego dowiadują, i wcale się tego nie wstydę – powiedział z półuśmiechem.

– Ja pana nie sypnę, panie doktorze.

Jego uśmiezek zrobił się kwaśny i zażenowany.

– Muszę pana rozczarować, nie mam doktoratu. Obląłem egzamin doktorski w Illinois. Mogłem próbować drugi raz, ale jakoś wydawało się to bezcelowe.

– Bezcelowe?

– Tak. Tapcio już wtedy wyjechał. Ja byłem jednym z jego protegowanych i część odium spadła na mnie. To, co go spotkało, sparaliżowało we mnie. ducha. Jeśli coś takiego mogło się przytrafić jednemu z najbardziej obiecujących uczonych w mojej specjalności, rozumowałem, to znaczy, że może się przytrafić każdemu.

– Właściwie co takiego zaszło w Illinois?

Bosch zaciął wargi w milczeniu. Odczekałem chwilę, po czym spróbowałem innej linii ataku:

– Czy Tappinger liczy się nadal jako uczony w pańskiej specjalności?

– Liczyliby się, gdyby mu dano szansę. Ale nie ma czasu na pracę naukową, doprowadza go to do rozpacz. Pomijają go przy rozdziale stypendiów, odmówili mu pełnej profesury nawet w takim prowincjonalnym college’u jak Montevista.

– Dlaczego?

– Bo ja wiem. Może im się nie podoba jego uczesanie.

– Albo uczesanie jego żony?

– Tak, pewnie i ona się do tego przyczyniła. Ale jeśli mam być szczery, nie lubię kolportować plotek akademickich. Chciał pan porozmawiać o Pedrze Domingu alias Cervantesie. Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania dotyczące jego osoby, chętnie służę. Jeśli nie...

– Skąd wziął nazwisko Cervantes?

– Ja mu je podsunąłem w dniu jego wyjazdu. Zawsze uważałem, że ma w sobie coś z donkiszota.

Uderzyło mnie, że to określenie bardziej pasuje do samego Boscha, ale nie powiedziałem tego na głos.

— Czy to pan skierował Pedra do Tappingera?

— Nie. Pewnie przy różnych okazjach wspominałem nazwisko Tappingera, ale Pedro pojechał do Montevisty z powodu pewnej dziewczyny. Była studentką pierwszego roku, podobno bardzo uzdolnioną do języków...

— Kto tak powiedział?

— To zdanie samego Tapcia. Zresztą ja też z nią rozmawiałem. Przywiózł ją tutaj na nasz wiosenny festiwal sztuki. Wystawialiśmy „Przy drzwiach zamkniętych” Sartre’a, a ona nigdy nie widziała współczesnej sztuki francuskiej w oryginale. Pedro ją tutaj zobaczył i zakochał się dosłownie od pierwszego wejrzenia.

— Skąd pan to wie?

— Sam mi powiedział. Mało tego, pokazał mi parę sonetów, w których opiewał jej idealną urodę. Była rzeczywiście urocza, jedna z tych niepokalanych pastelowych blondynek. Przy tym bardzo młoda, miała najwyżej szesnaście, siedemnaście lat.

— Nie jest już taka młoda ani niepokalana, ale jest nadal urocza.

Bosch upuścił widelec ze szczękiem, który utonął w nieprzerwanym szurnie sali.

— Chce pan powiedzieć, że pan ją zna?

— Jest wdową po Pedrze. Pobrali się w zeszłą sobotę.

— Nie rozumiem.

— Gdybym panu opowiedział wszystko ze szczegółami, przyprawiłoby to pana o jeszcze większego kaca. Pedro postanowił ją poślubić przed siedmiu laty, może od razu tego wieczoru, kiedy ją pierwyszy raz zobaczył. Nie wie pan, czy nie próbował się do niej zbliżyć wtedy po przedstawieniu albo później?

Bosch się zastanowił,

— Bardzo wątpię. Jestem wewnątrznie przekonany, że nie. To była jedna z tych tajemnych namiętności, w których tak gustuje rasa łacińska.

— Coś jak Dante i Beatrycze?

Obrzucił mnie zaskoczonym wzrokiem.

— Czytał pan Dantego?

— Czytałem o nim. Ale muszę wyznać, że zacytowałem tylko pewną osobę, która mi powiedziała, że Pedro wodził oczami za dziewczyną jak Dante za Beatrycze.

— Któż, na miłość boską, mógł powiedzieć coś takiego?

— Bess Tappinger. Zna ją pan?

— Znam, oczywiście. Można by faktycznie powiedzieć, że jest autorytetem, jeśli chodzi o Dantego i Beatrycze.

— Naprawdę?

— No, nie myślę tego poważnie. Tylko że Bess i Tapcio odegrali analogiczne role w swoim czasie: intelektualisty i dziewczyny-ideału. Łączyła ich bardzo wzniosła miłość platoniczna, dopóki... dopóki życie nie wzięło góry.

— Nie mógłby się pan wyrażać trochę jaśniej? Ta kobieta mnie interesuje.

— Bess?

— Oboje Tappingerowie. Co to znaczy, że życie wzięło górę?

Przez chwilę studiował moją twarz, jakby chciał z niej odczytać moje intencje.

— A, mogę panu chyba powiedzieć. Każdy, kto się obraca w kręgach neofilologów, wie o tej historii. Bess była na drugim roku romanistyki w Illinois, a Tapcio najbardziej obiecującym młodym wykładowcą na wydziale. No i zapłonęli do siebie ową platoniczną miłością. Byli jak Adam i Ewa przed upadkiem. Albo Heloiza i Abelard. Może to brzmi jak romantyczna egzaltacja, ale tak nie jest. Obserwowałem to na własne oczy. Dopiero później, jak mówię, życie wyciągnęło swoje brudne łapy. Bess zaszła w ciążę. Tapcio się z nią oczywiście ożenił, ale cała sprawa została niepotrzebnie rozdmuchana. Uniwersytet stanowy w Illinois był w owych czasach diablo purytański. Co gorsza, prodziekanką do spraw dziewcząt była pani, która się sama podkochiwała w Tapciu i która zorganizowała na niego formalną nagonkę. Nie lepsi byli rodzice Bess, para nabzdyczonych burżujów z Oak Park, Skończyło się na tym, że Tapcia zwolniono za szerzenie zgnilizny moralnej i wyekspediowano do tej dziury zabitej deskami.

— Gdzie uczy do tej pory?

Bosch kiwnął głową.

— Tak, już dwanaście lat. To kupa czasu, szczególnie że pokutuje za drobny błąd, w dodatku bardzo rozpowszechniony. Iluż to profesorów żeni się co roku ze swymi studentkami, w tym pewnie z połowa pod strachem Boga, żeby zdążyć przed chrztem. Moim zdaniem Tapcia potraktowano wyjątkowo wrednie. To mu zwichnęło życie. Ale odbiegliśmy daleko od tematu.

Młody profesor spojrział na zegarek.

— Dochodzi już wpół do drugiej, zaczynam za chwilę konsultacje.

— Niech pan je odwoła i jedzie ze mną. Mam ciekawsze spotkanie.

— Tak? Z kim?

— Z matką Pedra.

— Żartuje pan?

— Niemal żałuję, że tak nie jest. Przyleciała dziś rano z Panamy. Zatrzymała się w hotelu „Beverly Hills”. Mogę potrzebować tłumacza. Co pan na to?

— Jasne. Ale pojedę swoim wozem, żeby pan mnie nie musiał odwozić z powrotem.

32

Spotkałem się z Boschem w hallu hotelowym. Spóźniłem się parę minut na umówioną godzinę i recepcjonista kazał nam wjechać od razu na górę.

Kobieta, która nas wprowadziła do saloniku swego apartamentu, miała około pięćdziesiątki i była ciągle jeszcze przystojna mimo złotych zębów i przepastnych sińców pod oczami. Była ubrana od stóp do głów na czarno i biła od niej ciężka woń piżmowych perfum, wytwarzając wokół niej aureę niewygasłej zmysłowości.

— Seniora Rosales?

— Tak.

— Nazywam się Lew Archer, jestem detektywem prywatnym. Mój hiszpański nie jest zbyt dobry. Mam nadzieję, że pani

mówi po angielsku.

— Owszem, mówię.

Spojrzała pytająco na mojego młodego towarzysza.

— To profesor Bosch — powiedziałem. — Był przyjacielem pani syna.

Nieoczekiwanie emocjonalnym gestem, w którym było więcej zachłanności niż gościnności, ujęła nas obu za ręce i pociągnęła na drugi koniec saloniku. Posadziła nas po swoich obu stronach. Dłonie miała szorstkie, napiętnowane niezmaszalnym brudem pracy fizycznej. Po angielsku mówiła płynnie, ale z pewnym skrępowaniem, jakby paraliżowana narzuconą dbałością o poprawne wysłowienie.

— Pedro opowiadał mi o panu, panie profesorze. Był pan dla niego bardzo dobry, dziękuję panu.

— Był najlepszym studentem, jakiego kiedykolwiek miałem. Jestem wstrząśnięty jego śmiercią.

— Tak, to niepowetowana strata. Byłby jednym z wielkich ludzi naszego kraju. — Obróciła się do mnie. — Kiedy wydadzą jego ciało?

— Za dzień, może dwa. Konsul panamski zająłby się przetransportowaniem zwłok do kraju. Nie musiała pani wcale przyjeżdżać.

— Mąż mówił mi to samo. Powiedział, że nie powinnam się tu pokazywać, że mnie aresztujecie i odbierzecie mi moje pieniądze. Ale nie możecie tego zrobić. Jestem obywatelką panamską, mój syn był także obywatelem panamskim. Pieniądze są moje, dostałam je od Pedra.

— Są zapewne wspólną własnością pani i męża?

— Tak, oczywiście.

— Dawno są państwo małżeństwem?

— Dwa miesiące. Trochę ponad dwa miesiące. Pedro się cieszył z naszego ślubu. W prezencie dał nam willę w La Cresta. Przyjaźnił się z moim mężem, seniorem Rosales.

Zabrzmiało to, jakby chciała usprawiedliwić swoje małżeństwo, podejrzewając, że przyczyniło się ono do śmierci syna. Nie miałem cienia wątpliwości, że jest to małżeństwo z wyrachowania. Kiedy wiceprezes banku w jakimkolwiek kraju

bierze za żonę podstarzałą kobietę podejrzaną konduity, musi w tym wietrzyć dobry interes.

– Czy pani syn i mąż byli współnikami?

– Pedro i senior Rosales? – Zrobiła minę nierozgarniętej, uniosła dłonie i ramiona gestem przypominającym trochę targowanie się. – Nie znam się na interesach. Dziwne, prawda, skoro Pedro miał do nich taką szczęśliwą rękę? On się znał na działaniu *la Bourse*. Wy to nazywacie Wall Street, *n'est-ce pas*”? Oszczędzał i mądrze inwestował – recytowała z usypiającą rytmicznością. Musiała jednak podejrzewać prawdę, gdyż dodała: – Bo to kłamstwo, że Pedra zabili gangsterzy.

– Nie wiem, czy to prawda, czy kłamstwo, seniora. Zabójca nie został jeszcze zatrzymany.

– Mówił pan – wtrącił Bosch – że pan nie wierzy, żeby to były porachunki gangsterskie.

Kobieta chwyciła się tego.

– Oczywiście, mój syn nie miał nic wspólnego z gangsterami. Był uczciwym człowiekiem, wielkim człowiekiem. Gdyby żył, zostałby ministrem spraw zagranicznych, może nawet prezydentem.

Dla zawołania niewygodnej prawdy, która mogłaby się objawić naszym oczom, snuła pajęczynę swoich fantazji. Nie zależało mi na powiększeniu jej bólu, ale chciałem wyjaśnić sprawę do końca.

– Znała pani Leona Spillmana?

– Kogo?

– Leona Spillmana?

– Nie. Kto to taki?

– Szuler z Las Vegas. Pani syn był jego współnikiem. Nigdy nie wspominał jego nazwiska?

Potrząsnęła głową. Nie miałem powodu jej nie wierzyć. Ale w jej czarnych oczach kryły się otchłanie cierpienia, otchłanie pod otchłaniami, jak warstwy przeszłości sięgające czasów odleglejszych niż państwo Inków.

– Pan myśli, że ten Spillman zabił mego syna, tak?

– Myślałem tak do wczoraj. Pedro podprowadził mu mnóstwo pieniędzy.

– Podprowadził? – Obróciła się do Boscha. – *Que estd diciendol*

– Pan Archer, uważa – odparł Bosch z rezerwą – że pani syn ukradł Spillmanowi pieniądze. Ja nic o tym nie wiem.

– *Esta diciendo mentiras* – zasyczała przez swoje złote zęby.

– *Pedro hizo SIL fortuna en Wall Street.*

– Mówi, że pan kłamie – przetłumaczył Bosch z tłumioną satysfakcją.

– Dziękuję, dotarło to do mnie. – Zwróciłem się do niej: – Nie wyciągam tego dla przyjemności, seniora. Jeśli chcemy się dowiedzieć, kto go zabił, musimy zbadać sprawę jego pieniędzy. Sądzę, że dla nich został zabity.

– Przez tę swoją żonę? – spytała wznoszącym się głosem.

– Słuszne pytanie. Odpowiedź brzmi nie, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego pani o to pyta.

– Znam kobiety i znałam mego syna. Był zdolny do wielkiej pasji... namiętności. Tacy mężczyźni dają się zawsze brać na lep kobiet.

– I przypuszcza pani, że Pedro dał się także wziąć na lep?

– Sam to podejrzewał. Pisał mi o swoich obawach, czy kobieta, z którą się chce żenić, go kocha. Już ja się z nią rozmówię.

– To nie najlepszy pomysł, seniora – odrzekłem. – W ostatnich dniach straciła matkę i męża. Niech pani ją zostawi w spokoju.

– Ja straciłam więcej od jej... od niej. Chcę z nią mówić – upierała się tępo. – Niech pan mnie do niej zawiezie. Dobrze panu zapłacę.

– Niestety, nie mogę tego zrobić.

Poderwała się raptownie.

– Wobec tego szkoda mego czasu.

Podeszła do drzwi, otworzyła je przed nami. Bez żalu wyszedłem. Dowiedziałem się wszystkiego, czego się mogłem dowiedzieć, na dobrą sprawę wszystkiego, czego chciałem. Pragnąłem się znaleźć jak najdalej od jej brudnych pieniędzy i od czarnej żałoby, którą na nią sprowadziły.

– Nie patyczkował się pan z nią zbyt długo – skomentował

Bosch w windzie. — Zrobiła na mnie wrażenie naiwnej i nieświadomej.

— Może sobie na to pozwolić. Jest rzeczą jasną, że mózgiem całej kombinacji był jej mąż. Przyssał się do niej i do jej pieniędzy, skarb Stanów Zjednoczonych nie zobaczy z nich nigdy centa.

— Nie rozumiem, dlaczego pan uważa, że Pedro został zabity dla swoich pieniędzy. Nie przypuszcza pan chyba, że go zabiła rodzona matka?

— Nie, zabójca nie ma prawdopodobnie pojęcia, że pieniądze przeszły na jej własność.

— Pozostawia to szerokie pole do domysłów.

Lecz Allan Bosch był wrażliwym człowiekiem. Intuicja podszeptnęła mu widać, w jakim kierunku zmierza moja rozumowanie, bo ledwo wysiedliśmy z windy, zakrzyknął „Do widzenia” i puścił się biegiem jak sprinter.

— Chwileczkę, Allan. Jeszcześmy z sobą nie skończyli.

— O! Obawiam się, że niewiele panu pomogłem. Myślałem, że będziemy mieli możliwość porozmawiać z tą kobietą.

— Porozmawialiśmy. Powiedziała więcej, niż się spodziewałem. Teraz chcę ponownie porozmawiać z panem.

Wepchnąłem go do baru i wmanewrowałem pod ścianę na wyściełaną kanapkę łoży. Musiałby przeze mnie przeleźć, żeby uciec. Zamówiłem dwa dziny z tonikiem. Allan się uparł, że za siebie zapłaci.

— O czym tu jeszcze mówić? — zapytał z ponurą miną.

— O miłości i pieniądzach. O profesorze Tappingerza i życiowym błędzie, który popełnił w Illinois. Jak pan myśli, dlaczego wciąż za niego płaci? Dwanaście lat po fakcie?

— Nie mam pojęcia.

— Może powtarza ten sam błąd w Monteviscie?

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza. — Bosch poskrobał się po potylicy. — Tapcio jest szczęśliwie ożeniony, ma troje dzieci.

— Dzieci nie zawsze działają odstraszająco. Znam wypadki, gdy ojcowie się zwracali przeciwko własnym dzieciom, bo im zbyt przypominały, że ich młodość minęła bezpowrotnie. A

co do małżeństwa Tappingerów, to się znajduje w stanie ostatecznego rozkładu. Bess jest w rozpacz.

— Nonsens. Bess to kochana dziewczyna.

— Nie jego kochana – odparłem. – Zastanawiam się, czy nie znalazł sobie nowej flamy wśród studentek.

— Co pan opowiada. Tapcio nie romansuje ze studentkami.

— Raz to zrobił, sam pan mówił.

— Nie powinienem był panu tego mówić.

— To jest skłonność, z której nie tak łatwo się wyleczyć. W swojej praktyce natykam się często na mężczyzn, zresztą i na kobiety, którzy nie potrafią dorosnąć i nie mogą się pogodzić z myślą o starości. W pogoni za utraconą młodością łączą się z coraz młodszymi partnerami.

Młody profesor wydał wargi w grymasie odrazy.

— Jeśli to nawet prawda, co to ma wspólnego z Tapciem? Ta cała rozmowa wydaje mi się niesmaczna.

— Ja też w niej nie gustuję. Lubię Tappingera, był dla mnie zawsze miły. Ale czasami trzeba spojrzeć w oczy wstydlivym faktom. Nawet jeśli dotyczą ludzi, których lubimy.

— To nie są fakty. Spekuluje pan na podstawie czegoś, co się wydarzyło przed dwunastu laty.

— Jest pan taki pewny, że nie trwa do dziś? Mówi pan, że siedem lat temu przywiózł na przedstawienie Sartre'a studentkę pierwszego roku. Czy byli z nimi jacyś inni studenci?

— O ile wiem, nie.

— Czy to przyjęte, żeby młody profesor zabierał ze sobą studentkę pierwszego roku na przedstawienie w miejscowości odległej o sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt mil?

— Nie wiem, może i przyjęte. W każdym razie była z nimi Bess.

— Dlaczego pan tego nie powiedział od razu?

— Nie wiedziałem, że to takie ważne – odparł z odcieniem ironii. — Profesor Tappinger nie jest erotomanem ani psychopata, mogę pana zapewnić. Nie ma potrzeby pilnowania go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Miejmy nadzieję. Wspomniał pan, że rozmawiał pan z tą dziewczyną. Czy mówiła coś o Tappingerze?

— Nie pamiętam. To było tak dawno.

— Widział ich pan razem?

— Tak. Jeśli pan chce wiedzieć, byli u mnie wszyscy troje na obiedzie, po czym pojechaliśmy razem na przedstawienie.

— Jak się odnosili do siebie Tappinger i dziewczyna?

— Wyglądało, że się lubią. — Coś sobie przypomniał, bo na moment się zmienił na twarzy. Czym prędzej przybrał obojętny wyraz. Uniósł się lekko na kanapce. — Hejże, do czego pan właściwie zmierza?

— Dobrze pan wie, do czego. Czy zachowywali się jak kochankowie?

Odpowiedział z rezerwą, nie od razu:

— Nie bardzo rozumiem sens tego pytania. Nie widzę, jaki może mieć związek z chwilą obecną. Przecież mówimy o wydarzeniach sprzed siedmiu lat.

— W ciągu tych siedmiu lat miały miejsce trzy morderstwa, wszystkie trzy związane z osobą Ginny Fablon. Zostali zamordowani jej ojciec, matka i mąż.

— Wielki Boże, chyba pan nie podejrzewa Tapcia?

— Za wcześnie, żeby na to odpowiedzieć. Ale niech pan będzie pewny, że moje pytania nie są bezprzedmiotowe. A więc czy byli kochankami?

— Bess tak chyba uważała. Ja byłem wówczas przekonany, że to jej fantazja. Teraz nie jestem już taki przekonany.

— Niech pan mi opowie, co zaszło.

— Właściwie nic wielkiego. Bess wstała i wybiegła w połowie przedstawienia. Siedzieliśmy wszyscy razem, Bess między mną i Tapeiem, a dziewczyna po jego drugiej ręce. Nagle Bess się zerwała jak oparzona i zataczając się zniknęła w ciemnościach. Wyszedłem za nią. Myślałem, że może jej się zrobiło niedobrze, i rzeczywiście zwymiotowała na parkingu. Ale były to raczej torsje moralne niż fizyczne. Wylała przede mną wszystkie swoje żale do Tapcia i tej małej Fablonówny, Twierdziła, że dziewczyna go demoralizuje...

— Ona jego demoralizuje?

— Tak twierdziła. To jeden z powodów, dla których nie potraktowałem tego wszystkiego zbyt serio. Bess była wówczas w zaawansowanej ciąży, a wie pan, jak bezsensownie zazdrosne

bywają kobiety w tym stanie. Ale może wiedziała, co mówi; Faktem jest, że , kiedy Tapcio ją uwiódł, była w tym samym wieku co ta mała wtedy. – Bosch zrobił się purpurowy na twarzy jak człowiek, który się dusi. – Czuję się jak Judasz opowiadając panu to wszystko.

– Jeśli pan jest Judaszem, to czym jest Tappinger?

Bosch wychylił łyk dżinu.

– Rozumiem, co pan chce powiedzieć. Na pewno nie jest Chrystusem. Ale mimo wszystko od uwiedzenia nieletniej do zamordowania jej rodziców jest jeszcze długa droga. To przechodzi ludzkie wyobrażenie.

– Morderstwo zwykle przechodzi ludzkie wyobrażenie. Nawet wyobrażenie samych morderców, bo inaczej by nie mordowali. O której Tappinger przyszedł do pana we wtorek?

– O czwartej. Zadzwoił, żeby się umówić, i zjawił się co do minuty.

– A o której się umówił?

– Niecałą godzinę przedtem. Zadzwoił, żeby się dowiedzieć, o której będę wolny.

– Skąd dzwoił?

– Nie powiedział.

– W jakim stanie się u pana zjawił?

– Przesłuchuje mnie pan jak prokurator na rozprawie. Ale nie jest pan prokuratorem i nie odpowiem panu na to pytanie. Ani na żadne inne.

– Pański przyjaciel Pedro został zastrzelony we wtorek po południu w Brentwood. Pański drugi przyjaciel wyjechał z Montevisty koło pierwszej. Między pierwszą a czwartą miał dość czasu, żeby dokonać zabójstwa i zjawić się u pana dla niepoznaki.

– Dla niepoznaki?

– Tak, musiał jakoś wytłumaczyć, dlaczego odwołał zajęcia i pojechał do Los Angeles. Czy umie się obchodzić z bronią?

Bosch zaciął się w milczeniu.

– Mówił, że skończył uniwersytet dzięki karcie kombatanta – podjąłem – z czego wynika, że był na wojnie. Czy Tappinger umie się obchodzić z bronią?

— Służył w piechocie. — Bosch zwiesił głowę, jakby gromadzące się dowody obciążały i jego. — Jako dziewiętnasto- czy dwudziestoletni chłopak brał udział w wyzwaniu Paryża. O, Tapcio nie był... nie jest byle kim.

— Nigdy tak nie uważałem. W jakim stanie psychicznym zjawił się u pana we wtorek?

— Nie jestem autorytetem, jeśli chodzi o stany psychiczne. Był bardzo napięty i jakby trochę zażenowany. Ale to zrozumiałe, nie widzieliśmy się przez parę lat. No, i dopiero co zjechał z autostrady, a wie pan, co się dzieje na tej autostradzie do Bernardino. — Zamilkł na chwilę. — A-a, powiem panu. Był cały wstrząśnięty, nie da się ukryć. Dostał ataku hysterii, kiedy zidentyfikowałem Pedra na fotografii i podałem mu zasadnicze fakty dotyczące jego osoby.

— Co mówił?

— Właściwie nic. Dostał napadu spazmatycznego śmiechu. Zachowywał się, jakby to wszystko było piramidalnym żartem.

33

Bess Tappinger otworzyła mi drzwi z trzyletnim malcem uczepionym spódnicy. Miała na sobie podartą i wypłowiałą kretonową sukienkę, jakby już się przymierzała do roli porzuconej żony. Spod ściereczki, którą sobie owiązała włosy, ciekły strużki potu. Gdy otarła twarz przedramieniem, zobaczyłem perełki potu błyszczące pod wygoloną pachą.

— Dlaczego pan mnie nie zawiadomił, że pan przyjedzie? Robię porządki w domu.

— Widzę.

— Niech pan mi pozwoli wziąć prysznic. Wyglądam pewnie okropnie.

— Jeśli mam być szczery, wygląda pani uroczo. Ale nie przyjechałem podziwiać pani urody. Mąż w domu?

— Nie, nie ma go.

Powiedziała to przytłumionym głosem.

— Jest w college'u?

— Nie wiem. Może pan wejdzie. Zaraz zrobię kawę.
I pozbędę się małego. Zbliża się pora jego drzemki.

Wyprowadziła protestującego malca. Wróciła po dobrym kwadransie, wykąpana, w innej sukience, z bujnymi czarnymi włosami wyszczotkowanymi gładko.

— Przepraszam, że panu kazałam czekać, ale musiałam się doprowadzić do jakiegoś takiego stanu. Zawrże, kiedy się czuję naprawdę podle, biorę się do sprzątanania.

Usiadła obok mnie na kanapie pozwalając mi się napawać zapachem czystości bijącym od jej ciała.

— Dlaczego pani się czuje podle?

Wydeła nagle czerwoną dolną wargę.

— Nie mam ochoty o tym mówić. Chciałam porozmawiać z panem wczoraj, ale pan nie chciał. — Podniosła się raptownie i stanęła nade mną, dorodna i wciąż jeszcze drżąca z pragnienia, jakby zmysły, które ją pchnęły do niefortunnego małżeństwa, mogły jej teraz otworzyć drogę odwrotu. — Nie chce pan sobie mną zawracać głowy.

— Wprost przeciwnie. Chętnie bym poszedł z panią do łóżka choćby zaraz.

— Więc czemu pan nie pójdzie?

Nie zrobiła żadnego ruchu, ale jej ciało stało się jakby bliższe, bardziej konkretne.

— Z dzieckiem w sąsiednim pokoju i mężem, który może się zjawić w każdej chwili?

— Tapciowi byłoby to obojętne. Prawdę mówiąc, sądzę, że chciał mnie do tego sprowokować.

— Czemuż by to robił?

— Żebym się zakochała w innym mężczyźnie. Miałby wówczas rozwiązane ręce. Kocha się w innej dziewczynie. Od lat.

— W Ginny Fablon?

Opadła koło mnie na kanapę, jakby to nazwisko podcięło jej nogi.

— Więc pan wie. Od dawna?

— Dopiero od dzisiaj.

— Ja wiedziałam od samego początku.

— Słyszałem.

Posłała mi szybkie spojrzenie spod oka.

— Rozmawiał pan z Tapciem?

— Jeszcze nie. Jadłem przed chwilą lunch z Allanem Boschem. Opowiedział mi o pewnym wieczorze przed siedmiu laty, gdy wraz z panią, pani mężem i Ginny był na przedstawieniu studenckim w Los Angeles.

Przytaknęła głową.

— Tak, to było „Przy drzwiach zamkniętych” Sartre’a. Powiedział panu również, czego byłam świadkiem?

— Nie. Myślę, że sam nie wie.

— Racja, nie powiedziałam mu. To było ponad moje siły. Nie powiedziałam o tym nikomu. Po pewnym czasie zaczęło mi się to samej wydawać nierealne. Złało się jakby ze wspomnieniem sztuki, która opowiada o trojgu ludzi uwięzionych poza czasem, w swego rodzaju piekle psychicznym. Siedziałam koło Tapcia w całkowitej niemal ciemności i nagle usłyszałam jego jęk czy stłumione stęknienie, prawie jakby go coś zabolalo. Obróciłam się. Ta mała trzymała rękę na jego... na jego udzie. To był jęk rozkoszy. Nie wierzyłam własnym oczom. Ogarnęły mnie gwałtowne mdłości, musiałam czym prędzej wyjść. Allan Bosch wyszedł za mną. Nie pamiętam dokładnie, co mówiłam. Świadomie unikam od tej pory spotkania z nim w obawie, że może mnie zacząć wypytywać o Tapcia.

— Czego pani się boi?

— Nie wiem. Właściwie wiem. Gdyby ludzie się dowiedzieli, że Tapcio uwiódł tę dziewczynę... czy ona go uwiodła... gdyby się o tym dowiedzieli, straciłby pracę i szansę na otrzymanie jakiegokolwiek innej posady. Pamiętam, co było w Illinois, kiedy się wydało, że my z sobą... — Ugryzła się w język. — Pan o tym nie wie.

— Allan Bosch mi powiedział.

— Allan jest okropnym paplą. — Ale wyraźnie jej ulżyło, że nie musi mi opowiadać. — Przypuszczam, że pozostał mi lekki kompleks winy. Miałam prawie takie uczucie, jakby Ginny Fablon była moim młodszym wcieleniem. Nie zmniejszyło to mojej nienawiści do niej, ale mi zamykało usta. Spędziłam ostatnie siedem lat głównie na ukrywaniu romansu mego

męża, nawet przed samą sobą. Ale od dzisiaj koniec.

— Co się wydarzyło dzisiaj?

— Właściwie to było w nocy, jeszcze przed świtem. Zadzwoiła do niego tutaj. Spał w swoim gabinecie, od lat tam sypia. Rozmawiał z tamtego aparatu, ja słuchałam tutaj. Była przerażona, śmiertelnie przerażona. Powiedziała, że pan ją przypiera do muru, że nie potrafi już dłużej udawać, tym bardziej że nie wie, co właściwie zaszło. Po czym zapytała go wręcz, czy zabił jej ojca i matkę. Odparł, że skądże, to idiotyczne pytanie, jaki miałby motyw. Taki, powiedziała, że wiedzieli o jej ciąży i o tym, że on jest ojcem.

Mówiła bardzo szybko. Teraz urwała, z palcami przy wargach, przebiegając w myśli to, co powiedziała.

— Kto ich o tym zawiadomił, Bess?

— Ja. Trzymałam język za zębami aż do września tego pierwszego roku. W lecie, kiedy sama urodziłam dziecko, dziewczyna zniknęła z horyzontu. Łudziłam się, że na tym się skończy. Ale po wakacjach pojawiła się na pierwszym zebraniu Cercie Français. Tapcio odwiózł ją tego wieczoru do domu, nie chciał widać, żeby się do niej przypiął Cervantes. Kiedy wrócił, pokłóciliśmy się okropnie, już panu o tym mówiłam. Miał czelność mi zarzucić, że się interesuję Cervantesem tak jak on dziewczyną. Po czym mi powiedział, że musiała zrobić skrobankę. I ja byłam wszystkiemu winna, chyba dlatego że w ogóle żyję. Powinnam była pewnie paść na kolana i płakać nad jej nieszczęściem. Owszem, płakałam, mało sobie oczu nie wypłakałam przez następne parę tygodni. Wreszcie nie mogłam już wytrzymać. Zadzwoiłam do jej ojca i powiedziałam o wszystkim. Kiedy dwa czy trzy dni potem zniknął, wyrzucałam sobie, że to ja go doprowadziłam do samobójstwa. Przyrzekłam sobie, że nigdy więcej nikomu o tym nie pisnę.

Znów jakby przebiegła w myśli wypowiedziane słowa. Ich sens dotarł do niej z wolna i zasnuł jej oczy mrokiem.

— Czy pan myśli, że mój mąż zabił państwa Fablonów?

— Trzeba go będzie o to spytać, Bess.

— Więc myśli pan, że tak? — Niby było to pytanie, ale już kiwała żałośnie głową. — Matka Ginny telefonowała tu tamtego

wieczoru.

— Którego wieczoru?

— W poniedziałek. Tego wieczoru została zastrzelona, prawda?

— Dobrze pani wie. I co mówiła?

— Powiedziała, że chce mówić z Tapciem. Rozmawiał z domu, tak że nie mogłam słuchać. Zresztą rozmowa była nic nie znacząca. Powiedział, że muszą się rozmówić, i wyszedł.

— Wyszedł z domu?

— Tak.

— O której?

— Było już dość późno, kładłam się do łóżka. Spałam, kiedy wrócił.

— Czemu nie powiedziała mi pani tego wcześniej?

— Chciałam panu powiedzieć wczoraj. Ale nie dał mi pan szansy.

Oczy miała szeroko rozwarte, niewidome, jak oczy posągu.

— Czy dziś rano, w rozmowie z Ginny, była jeszcze o czymś mowa?

— Powiedział, że ją kocha, że ją zawsze kochał i zawsze będzie kochał. Nie wytrzymałam i odezwałam się do telefonu. Wyrwało mi się nieprzyzwoite słowo. Wydawało mi się to potworne, że może mówić coś takiego do innej kobiety w domu, w którym śpi troje naszych dzieci. Pobiegłam w koszuli nocnej do gabinetu. Poszłam do niego tak po raz pierwszy od czasu poczęcia naszego najmłodszego. To był nasz ostatni szczęśliwy moment.

Zamilkła na chwilę nasłuchując, jakby malec zawołał przez sen. Ale w całym domu panowała taka cisza, że słyhać było wodę kapiącą w kuchni.

— Od tej pory nasze życie było stąpaniem po lodzie. Obozowaliśmy raz z tatusiem w Wisconsinie na zamarznętym jeziorze. Po pewnym czasie zaczyna się człowiekowi wydawać, że jest na twardym lądzie, chociaż wie, że ma pod nogami głęboką czarną toń.

Popatrzyła na wytarty dywan pod stopami, jakby pod jego powierzchnią kłębiły się pływające potwory.

— Można by powiedzieć, że właściwie im pomagałam na swój sposób, prawda? Nie wiem, dlaczego to robiłam ani dlaczego tak to odczuwałam. Oczywiście, wiedziałam, że to o n a rozbija moje małżeństwo, ale czułam się jak postronna obserwatorka. Byłam jak przypadkowy gość na weselu. Miałam cały czas wrażenie, że chodzi nie o moje życie, że moje życie jeszcze się nie zaczęło.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, wsłuchani w odmierzaną ciszę.

— Miała mi pani powiedzieć, co się wydarzyło, kiedy pani poszła nad ranem do gabinetu męża.

Wzruszyła ramionami.

— Wolałabym o tym zapomnieć. Tapcio siedział przy biurku z rewolwerem w ręku. Twarz mu zapadła, nos zrobił się taki ostry jak u ludzi, którzy mają wkrótce umrzeć. Przeraziłam się, że chce popełnić samobójstwo, podbiegłam do niego, zaczęłam błagać, żeby mi oddał rewolwer. Było to niemal dokładne odwrócenie sytuacji tamtej nocy, kiedy został poczęty nasz najmłodszy. Tylko rewolwer był ten sam.

— Nie rozumiem.

— Kupiłam ten rewolwer cztery lata temu, żeby się zabić — powiedziała. — To był używany rewolwer, wynalazłam go w jakimś lombardzie. Tapcio spędzał z nią wieczór po wieczorze, mówił, że ma lekcje prywatne, nie mogłam już tego dłużej znieść. Postanowiłam skończyć z całą naszą trójką.

— Tym rewolwerem?

— Nie, rewolwer był tylko dla mnie. Przed zastrzeleniem się zadzwoniłam do pani Fablon i powiedziałam, co mam zamiar zrobić i dlaczego. Oczywiście wiedziała o romansie córki, ale nie wiedziała, kto jest jej kochankiem. Uważała, że Tapcio jest tylko jej opiekunem uniwersyteckim, dobrym wujaszkiem, trzymającym się z daleka. Odnalazła go gdzieś, nie wiem gdzie, i Tapcio przyjechał czym prędzej do domu, odebrał mi rewolwer. Ulżyło mi, nie chciałam się zabijać. Wmówiłam sobie nawet, że mnie kocha. Ale on myślał tylko o jednym: żeby uniknąć skandalu, jeszcze jednego skandalu. Zresztą pani Fablon też chciała uniknąć skandalu. Zabrała Ginny z college'u

i posłała do pracy w jakiejś klinice niedaleko szpitala. Przez pewien czas myślałam, że romans się skończył. Byłam znowu w ciąży, po raz trzeci, i Tapcio obiecywał, że mnie nigdy nie opuści, zaklinał się na wszystkie świętości. Twierdził, że rewolwer, którym się chciałam zabić, wyrzucił do oceanu. Ale kłamał, zachował go przez te wszystkie lata. Kiedy próbowałam mu go dzisiaj odebrać, wycelował we mnie. Powiedział, że zasłużyłam na śmierć używając plugawego słowa wobec Ginny. Ona jest doskonale czysta i piękna, powiedział, a ja jestem obleśna ropucha. Zdjęłam wtedy koszulę. Nie wiem dlaczego, ale chciałam, żeby mnie zobaczył. Chciałam, żeby mnie całą zobaczył. Powiedział, że moje ciało wygląda jak gęba zaplutego chłopca. Długa żalobna fizys z oskarżycielskimi różowymi oczkami, z dziurą zamiast nosa jak u syfilityka i z idiotyczną małą bródką.

W takt słów przesuwiała dłońmi od piersi w okolice pępka i niżej poza środek ciała.

— Kazał mi się wynosić, powiedział, że mnie zastrzeli, jak się ośmielę jeszcze raz wejść do jego gabinetu. Wróciłam do siebie. Dzieci jeszcze spały, zaczynało dopiero świtać. Siedziałam i patrzyłam, jak się robi coraz jaśniej. Wkrótce po świetle usłyszałam, jak wychodzi i odjeżdża swoim Fiatem. Wyprawiłam dzieci do szkoły i zabrałam się do porządków. Sprzątałam aż do pana przyjścia.

— Mówi pani, że męża nie ma w college'u?

— Nie. Dzwonili rano z dziekanatu, czy jest chory. Powiedziałam, że tak.

— Czy zabrał ze sobą rewolwer?

— Nie wiem. Nie byłam w jego gabinecie, moja noga tam więcej nie postanie. Niech zarośnie brudem.

Pośpiesznie przeszukałem gabinet. Rewolweru nic było. W jednej z szuflad znalazłem natomiast ze dwadzieścia wersji pierwszej strony „książki” Tappingera o wpływach francuskich na Stephena Crane'a. Najnowsza wersja, nad którą Tappinger pracował, kiedy tu przyszedłem po raz pierwszy, leżała na biurku. Zaczynała się następująco:

Stephen Crane żył jak bóg w diamentowym mieście swego umysłu. Gdzie znalazł prototyp tego miasta? W Atenach, marmurowym ideale Zachodu, czy w niebiańskiej utopii, którą w swoim Civitas Dei przekazał nam święty Augustyn? Czy też w Paryżu, Mieście Sztuki? A może w spojrzeniu na własne wszeteczne ciało 'z mrozącą ironią „Olimpii” Maneta? Lub może świetliste miasto jego myśli zostało ulepione z gliny łądźwi Kory?

Brzmiało mi to jak bełkot. Co gorsza, kazało przypuszczać, że z Tappingerem dzieje się coś niedobrego. Działo się już wtedy, gdy po raz pierwszy tu przyszedłem.

Obok beznadziejnego manuskryptu leżał brudnopis pięciu pytań, zestawionych jako tekst dla Martela:

- 1.Kto odpowiedzialny za „Związki” dawne i nowe?
- 2.„Hypocrite lecteur”.
- 3.Kto uważał, że Dreyfus winien?
- 4.Gdzie według Descartes’a dusza? (Szyszynka).
- 5.Kto wy dostał Jeana Geneta z więzienia?

Patrząc teraz na te pytania uświadomiłem sobie osobiste znaczenie, jakie miały dla Tappingera. Zawarł w nich, może podświadomie, wszystkie rzeczy, które go pchały na skraj obłędu: niebezpieczny związek seksualny, hipokryzję, winę i uwięzienie, duszę ludzką zamkniętą w gruczole.

Jeśli test wydał mi się wówczas dziwnie jednostronny, to dlatego że pytania były zarazem odpowiedziami wyrażającymi szyfrem rozterkę moralną i emocjonalną Tappingera. Nie bez wstrząsu uświadomiłem sobie, że odpowiedź na piąte pytanie brzmi: Sartre. Ciekaw byłem, czy w umownym języku akademickim Tappingera stanowi ona aluzję do owego wieczoru w teatrze przed siedmiu laty.

Brak rewolweru znaczył prawdopodobnie, że Tappinger zabrał go ze sobą. Poszedłem do auta wyjąć z bagażnika swój pistolet. Ponieważ na ulicy bawiły się dzieci, wróciłem do domu, żeby go przypasać.

— Zabije go pan — skonstatowała Bess.

Wyglądała, jakby już owdowiała.

— Nie użyję broni, jeśli pani mąż mnie do tego nie zmusi. Chcę się tylko zabezpieczyć.

— Co się stanie z dziećmi?

— To będzie zależało od pani.

— Dlaczego ode mnie? — zapytała swoim głosem małej dziewczynki. — Dlaczego musiało mi się to przytrafić?

Bo wyszłaś za niewłaściwego człowieka w niewłaściwym czasie z niewłaściwych powodów, odpowiedziałem jej w myśli. Ale nie było sensu mówić tego na głos. Zresztą wiedziała to sama. Na swój nieudolny sposób dawała mi to do zrozumienia od momentu, gdy nasze drogi się skrzyżowały.

— Niech pani dziękuje Bogu, że pani żyje. To dużo, Bess.

Uniosła pięść gestem zniecierpliwienia, niemal groźby.

— Nie chcę żyć. Nie za tę cenę.

— Zmieni pani zdanie. Ma pani tylko jedno życie.

Przeraziło ją to.

— Niech pan mnie nie zostawia samej.

— Muszę. Niech pani zadzwoni po kogoś z przyjaciół.

— Nie mamy przyjaciół. Dawno się od nas odsunęli.

Robiła wrażenie zagubionej we własnym domu. Pocałowałem ją na pożegnanie. Był to nie najlepszy pomysł. Usta miała zimne, ciało sztywne jak deska.

Myśl o niej, przejmująca i dotkliwa, nie opuszczała mnie przez cały czas jazdy do Fablonów. Zastanawiałem się, czy pod powierzchnią świadomości, w zimnych, mrocznych głębiach rojących się od świetlistych potworów, Bess nie hołubi przypadkiem fascynacji romansem swego męża.

Ginny była w domu, a Tappinger z nią. Pod dębem stał jego popielaty Fiat. Kiedy zapukałem, podeszli obydwój do drzwi.

On miał czerwone oczy i szarą twarz, ona dygotała.

— Może pan mu zamknie usta — powiedziała Ginny. — Mówi i mówi od rana.

— O czym?

— Zabraniam ci powtarzać. — Głos Tappingera był chrapliwy, nienaturalny. — Niech pan stąd idzie — zwrócił się do mnie.

— Nie, proszę zostać. Boję się go. Zabił Roya i wszystkich.

O tym mówi przez cały dzień: dlaczego musiał zabić Roya.

I za każdym razem podaje inne powody. Raz, że zobaczył Roya kłęczącego nad basenem, obmywającego krew z twarzy, i zrobiło ma się go tak żal, że go wepchnął do wody. To motyw eutanazji. Następnie jest motyw świętego Jerzego i smoka. Że Roy chciał mnie wydać w łapy pana Ketchela, więc musiał temu zapobiec.

W jej głosie była pogarda i wściekłość. Tappinger aż się wzdrygnął.

— Mogłabyś ze mnie nie kpić.

— Nie kpić? — Obróciła się do mnie. — Prawdziwy powód był bardzo prosty. Zgadł pan wczoraj. Zaszłam z nim w ciążę i Roy się jakoś dowiedział, kto jest ojcem mego dziecka.

— Dała mi pani do zrozumienia, że ojcem był Peter.

— Wiem. Ale nie mam zamiaru dłużej osłaniać Tapcia.

Odetchnął ze świstem, jakby dotąd wstrzymywał dech.

— Nie wolno ci mówić takich rzeczy. Ktoś może usłyszeć. Wejdźmy lepiej do środka.

— Podoba mi się tutaj.

Zaparła się demonstracyjnie w drzwiach. Tappinger bał się ją zostawić. Chciał słyszeć, co powie.

— Co pan robił tego wieczoru w Klubie Tenisowym, panie profesorze?

Umknął spojrzeniem, ale po chwili podniósł na mnie buńczucznie wzrok.

— Poszedłem tam z powodów czysto zawodowych. Panna Fablon studiowała u mnie od lutego. Byłem jej opiekunem, zwierzała mi się ze swoich kłopotów.

— A zwierzałam, zwierzałam — powiedziała.

On zaś snuł dalej pajęczynę słów, jakby były dla niego

jedynym punktem zaczepienia w próżni.

– Zwierzyła mi się, że jej ojciec, dzięki stypendium niejakiego pana Ketchela, chce ją wysłać na dalsze studia do Szwajcarii. Uważałem, że moja porada jako doświadczonego pedagoga może być pożądana. Udałem się do klubu, ale niestety przybyłem za późno. Natknąłem się na pana Fablona idącego chwiejnie przez trawnik* Powiedziałem coś do niego, ale mnie nie poznał. Odepchnął mnie, zatoczył się za ogrodzenie basenu. Chciał widać obmyć krew z twarzy i nim się spostrzegłem, wpadł do wody. Ja sam nie bardzo umiem pływać, ale próbowałem go wyciągnąć bosakiem, który trzymają tam na takie okazje. Łapałem go hakiem obszytym czymś miękkim...

– Chcesz powiedzieć – przerwała Ginny – że go wpychałeś pod wodę.

– To absurdalne oskarżenie. Czemu to powtarzasz w kółko?

– Francis był świadkiem wszystkiego, opowiedział mi w zeszłym tygodniu. Nie chciałam mu z początku wierzyć, myślałam, że zmyśla z zazdrości. Ale teraz wierzę. Widział, jak wepchnąłeś Roya pod wodę i przytrzymałeś bosakiem.

– Więc czemu mi nie przeszkodził? – spytał Tappinger pedantycznie. – I czemu nie dał znać policji?

– Nie wiem. – Spojrzała przez moje ramię na zniżające się słońce, jakby w obawie, że ją zawiedzie, pozostawi w lodowatym mroku. – Wielu rzeczy nie rozumiem.

– Poruszyła je pani w rozmowie z matką w poniedziałek wieczór?

– Niektóre. Spytałam ją, czy to może być prawda, że Tapcio utopił Roya w basenie. Nie powinnam była jej o to pytać. Poruszyło ją to do głębi.

– Wiem, rozmawiałem z nią po pani odjeździe. Potem zadzwoniła do Tappingera. To była jej ostatnia rozmowa. Przyjechał i zastrzelił ją.

– Nie zrobiłem tego – powiedział bez przekonania.

– Owszem, zrobiłeś. – Głos miała poważny. – Zabiłeś ją, a następnego dnia przyjechałeś do Brentwood i zabiłeś Francisca.

– Nie miałem powodu ich zabijać.

Ale w jego zaprzeczeniu była nutka pytająca.

— Miałaś dość powodów.

— Jakich? — zapytałem obojga.

Obrócili się i popatrzyli po sobie, jakby każde uważało, że drugie posiada odpowiedź, wieloraką odpowiedź na to pytanie. Uderzyło mnie dziwne podobieństwo, łączące ich mimo różnicy płci i wieku. Byli niemal identycznego wzrostu i wagi, mieli takie same delikatne, regularne rysy. Mogliby być rodzeństwem. Niestety nie byli.

— Z jakiego powodu zabił pan Martela? — zapytałem.

Stali wpatrzeni w siebie nadal, jakby jedno było postacią ze snu drugiego, ze snu, który dopiero wymaga interpretacji.

— Byłaś zazdrosny o Francisa, może nie? — powiedziała w końcu Ginny.

— Bzdura.

— Wobec tego pleciesz bzdury, bo sam to pierwszy powiedziałeś. Chciałaś, żebym wszystko odkręciła.

— Co odkręciła? — zapytałem.

Żadne nie odpowiedziało. Popatrzyli na mnie z na wpół, uświadomionym wstydem, jak dzieci przyłapane na zabawie w doktora.

— Chcieliście go zabić i zagarnąć jego pieniądze — powiedziałem. — Ale jak zwykle trafił swój na swego. Byliście tacy zaślepieni własnymi rojeniami, że uwierzyliście w jego bajeczki. Nie przyszło wam do głowy, że on sam zagarnął pieniądze oszusta podatkowego.

— To nieprawda — powiedziała Ginny. — Francis opowiedział mi w sobotę historię swego życia. Faktem jest, że się urodził w biednej rodzinie w Panamie. Ale był po kądzieli w prostej linii potomkiem sir Francisa Drake'a. Odziedziczył starą mapę na pergaminie, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, która podawała miejsce ukrycia zaginionego skarbu Drake'a. Francis odszukał skarb, peruwiańskie złoto wartości ponad miliona dolarów, na wybrzeżu Panamy w pobliżu Nombre de Dios.

Nie próbowałem z nią dyskutować. Nie miało już znaczenia, w co wierzy czy udaje, że wierzy.

— Nie jest również prawdą — ciągnęła — że chcieliśmy go zabić. Jego czy kogokolwiek. Z początku planowaliśmy po

prostu, że wyjdę za Petera. Potem miałam się z nim rozwieść i uzyskać alimenty, tak żebyśmy mogli z Tapciem wyjechać...

Potrząsnął głową szybkimi nerwowymi ruchami. Włosy mu się falowały jak kobiecie.

— Wyjechać i studiować w Europie? — zapytałem.

— Tak. Tapcio wierzył, że jak wróci do Francji, napisze swoją książkę. Nie może jej zacząć od lat. Ja też byłam bliska rozpaczki. To nie do zniesienia, to ciągle kochanie się na tylnym siedzeniu auta albo w jego gabinecie w college'u, albo w motelach. Czasami mi się wydawało, że wszyscy na uczelni, wszyscy w mieście wiedzą. Ale nikt nigdy nie powiedział słowa.

— Nie powinnaś mu tego mówić — wtrącił się Tappinger. — Nie przyznawaj się do niczego.

Wzruszyła ramionami.

— Cóż to ma teraz za znaczenie?

— Więc początkowo miała pani zamiar wyjść za Petera i potem się z nim rozwieść? — powiedziałem.

— Tak, ale nie miałam sumienia robić mu takiego świństwa. Zgodziłam się tylko dlatego, że tak okropnie potrzebowaliśmy pieniędzy. Zawsze lubiłam Petera. Więc kiedy się zjawiał Francis i z miejsca mi się oświadczył, zmieniliśmy plan. W stosunku do Francisca nie miałam żadnych skrupułów.

— Podobał ci się!

Słowa wyrwały się Tappingerowi bezwiednie, jakby był powolną kukłą w ręku hipnotyzera.

— Mówię, że byłeś zazdrosny.

— Zazdrosny! — prychnął. — Jak mogłem być zazdrosny? Nie widziałem człowieka na oczy do chwili...

Ugryzł się w język, ale nie mógł cofnąć wypowiedzianych słów.

— Do chwili, gdy go zastrzeliłeś — dokończyła.

— Mówiłem ci, że go nie zastrzeliłem. Nie wiedziałbym, gdzie go szukać.

— Owszem, podałam ci adres. Źle zrobiłam. Francis mi powiedział, kto do niego strzelał. Powiedział, że to ten sam mężczyzna, który zabił Roya.

— Powiedział tak, bo mnie nienawidził.

- Za co pana nienawidził? – zapytałem.
- Za to, że byliśmy z Ginny kochankami.
- Przyznaje pan, że byliście kochankami?

Poruszył bezgłośnie wargami szukając słów, które by go przeniosły nad przepaścią.

- Kochankami w platonicznym sensie.

Popatrzyła na niego z pogardą.

– Nie jesteś nawet mężczyzną. Żałuję, że ci się kiedykolwiek pozwoliłam tknąć.

Dygotał cały, jakby mu się udzielił dreszcz Ginny.

- Nie mów tak do mnie.

– Bo jesteś taki *sensitif*? Jesteś mniej więcej taki wrażliwy jak wściekły pies. Wątpię, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz, bardziej niż wściekły pies.

- Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób? – krzyknął.

– Byłaś ciemną dziewczyną, ja z ciebie zrobiłem kobietę. Dopuszciliem cię do obcowania z moim intelektem...

– Wiem, miasto świetliste. Tylko że ono wcale nie jest świetliste. Ostatnie mętne światełko zgasło w poniedziałek wieczór, kiedy zastrzeliłeś Mariettę.

Raptownie pochylił się ku niej całym ciałem, jakby chciał się na nią rzucić, ale zamarł w pół kroku. Moja obecność działała hamująco.

- Nie zniosę tego!

Odwrócił się i niemal wbiegł do pokoju.

– Niech pan uważa – ostrzegła Ginny. – Ma rewolwer. Próbował mnie namówić do wspólnego samobójstwa.

W domu rozległo się pokorne kasznięcie rewolweru. Znaleźliśmy Tappingera na podłodze pokoju, w którym zabił Mariettę. Rewolwer, z którego strzelał do niej i do Martela, pozostawił ciemny otwór w jego skroni. Walizka z pieniędzmi stała tuż za drzwiami, jakby nie miał jej odwagi spuścić z oka.

Zabrałem rewolwer, w którym były jeszcze trzy naboje, i poszedłem do Jamiesonów zadzwonić na policję. Peter wpadł w ogromne podniecenie. Chciał biec do Fablorów i zaopiekować się Ginny. Ale sam bardziej potrzebował opieki. Kazałem mu zostać w domu.

Dobrze zrobiłem, bo gdy wróciłem, Ginny leżała na podłodze z twarzą przy twarzy Tappingera. Ich profile zazębiały się jak wycięte z jednej bryły metalu. Leżała przy nim bez dźwięku i bez ruchu, dopóki na drodze nie odezwały się syreny policyjne. Wówczas wstała, obmyła twarz i wzięła się w garść.

— Nie możemy dopuścić, żeby wyszła za tego człowieka. Nie mówię tego przez zazdrość. Chcę ją ratować, nawet jeśli jej sam nie będę miał.

— Ratować przed kim?

— Mówię poważnie. Wszystko wskazuje, że on jest poszukiwany przez policję. Podaje się za Francuza. Ni mniej, ni więcej, tylko za francuskiego arystokratę. Ale nikt naprawdę nie wie, kim jest i skąd pochodzi.

Ross Macdonald to pseudonim Kennetha Millara. Pisarz urodził się w San Francisco w 1915 roku. Studiował na uniwersytecie stanu Michigan. Jego żona, Margaret Millar, jest także znaną powieściopisarką.

Ross Macdonald jako autor powieści sensacyjnych stworzył ciekawą postać prywatnego detektywa, Lew Archera, człowieka z charakterem, nieprzekupnego, znającego swoją wartość.

W Polsce ukazały się dotychczas dwie książki tego autora: „Pasiasty karawan” (Iskry, 1974) i „Człowiek pogrzebany” (Czytelnik, 1975).

Cena zł 30

ISKRY